

J. KLEINER, A. BRÜCKNER
Z. ALEXANDROWICZ, J. BALICKI, ST. MAYKOWSKI

LITERATURA POLSKA

TOM PIERWSZY

CZĘŚĆ TRZECIA



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH

MATERIAŁY POMOCNICZE
DO LITERATURY POLSKIEJ

OMYŁKI DRUKU

<i>str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>jest:</i>	<i>ma być:</i>
13	22 od góry	Ktoś jest kolwiek biesiedzie	Ktoś jest kolwiek na biesiedzie
38	24 „ „	taedit	laedit
38	26 „ „	Utrumque	Utcumque
124	8 od dołu	nie stosowane	niestosowne

J. KLEINER, A. BRÜCKNER
Z. ALEXANDROWICZ, J. BALICKI, ST. MAYKOWSKI

LITERATURA POLSKA

DLA KLASY I LICEÓW OGÓLNOKSZTAŁCĄCYCH

CZEŚĆ I: WYPISY Z LITERATURY POLSKIEJ
CZEŚĆ II: A) ZARYS DZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ
 B) ZARYS DZIEJÓW JĘZYKA POLSKIEGO
CZEŚĆ III: MATERIAŁY POMOCNICZE



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1938

ZENON ALEXANDROWICZ

MATERIAŁY POMOCNICZE DO LITERATURY POLSKIEJ

TOM PIERWSZY

OD POCZĄTKÓW PIŚMIENICTWA
DO POWSTANIA LISTOPADOWEGO

Z 21 ILUSTRACJAMI

Cerek



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1938



154383

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

619 37

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
POD ZARZĄDEM ADAMA WIERZBICKIEGO

I

SZTUKA SŁUŻEBNICA BOGA

Według dzieła Mieczysława Gębarowicza: Sztuka średniowieczna

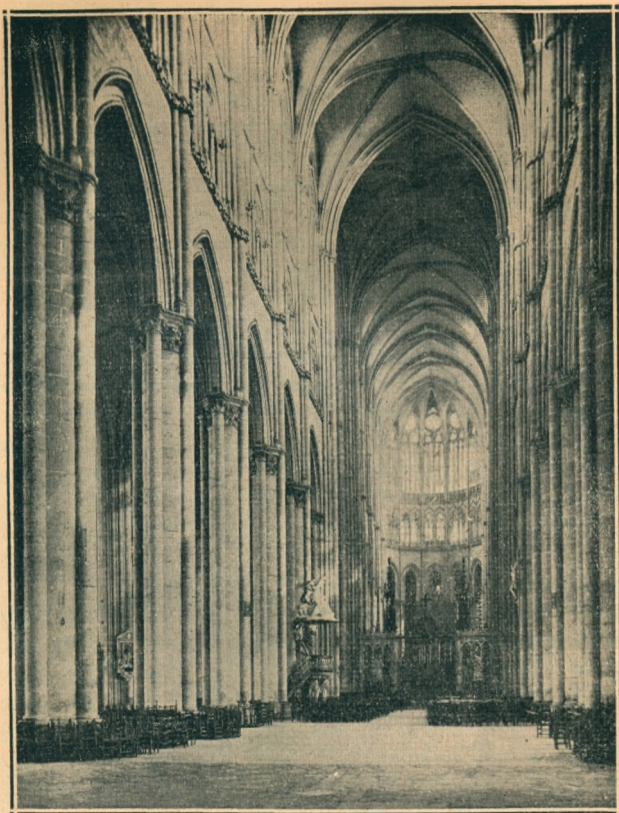
Podział sztuki na okresy znajduje uzasadnienie w zmianie podstaw ideowych, z których twórczość artystyczna w poszczególnych epokach wyrasta. Dotyczy to również sztuki średniowiecznej, która zewnętrznie i formalnie jest kontynuacją antyku, wewnątrz jednak różni się odeń zasadniczo wskutek przemian jakich w duszy zbiorowej dokonało chrześcijaństwo. Religia bowiem była tym czynnikiem, który decydował o całym życiu duchowym średniowiecza, a zatem i o jego sztuce.

Religijny charakter sztuki średniowiecznej wyraża się w tym przede wszystkim, że wyrasta ona z przesłanek abstrakcyjnych i ku takim również zmierza celom. Wpływa to w sposób rozstrzygający na jej kierunek i postać i przebija w każdej dziedzinie twórczości. I tak w architekturze uderza zupełny zwrot w porównaniu ze starożytnością klasyczną. Ta ostatnia bowiem świątynię uważała za mieszkanie bogów, dostępne tylko nielicznym składającym ofiary, toteż cała jej uwaga kierowała się ku artystycznemu opracowaniu strony zewnętrznej. Chrześcijaństwo w domu Bożym widziało przede wszystkim miejsce skupiania się wszystkich swych wyznawców dla nabożeństwa zbiorowego i dlatego wysiłki budowniczych zmierzały stale ku odpowiedniemu ukształtowaniu wnętrza; jego układ i ozdoba są główną wytyczną, stąd przez całe niemal pierwsze tysiąclecie naszej ery uderza kontrast między bogactwem wnętrza a zupełnym zaniedbaniem strony zewnętrznej kościołów. Kiedy zaś i na nią zwrócono uwagę, to i wtedy traktowano ją jako wstęp i przygotowanie dla wkraczającego w progi kościelne, o ile w ogóle nie jest ona tylko skorupą zewnętrzną, względnie rusztowaniem podtrzymującym konstrukcję wnętrza. Zjawisko to występuje najjaskrawiej w gotyku, który może w sposób najdoskonalszy urzeczywistnia średniowieczny ideał domu Bożego, w swej koncepcji tak biegunowo od starożytnego różny.

W sztukach figuralnych (tzn. w malarstwie i rzeźbie) punkt ciężkości spoczywa nie na formie, ale na treści. Ten rewolucyjny w stosunku do starożytności zwrot dokonał się pod wpływem religii już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i znalazł wstrząsający wręcz dokument w „Wyznaniach” św. Augustyna. Ich autor, wychowanek kultury klasycznej, który chrześcijaństwo przyjął nie mechanicznie, ale na zasadzie bardzo głębokich przeżyć wewnętrznych, opisując swe rozterki duchowe przy przechodzeniu od starożytnego światopoglądu do nowego, podaje, iż spostrzegł początkowo z przerażeniem, że np. w śpiewie kościelnym nie jego wykonanie, ale słowa tekstu wzruszyły go do głębi, a gdy później mu się zdało, że czasem znajduje upodobanie w samym śpiewie, miał uczucie popełniania ciężkiego grzechu. A tak traktowali te rzeczy wszyscy współcześni i pokolenia następne i pod tym względem nie było rozbieżności w żadnej dziedzinie. Od sztuki żąda się przede wszystkim treści, którą ustala i narzuca artyście teolog. Treść nosi zasadniczo charakter symboliczny, tak jak w sztuce starożytności, ale zakres jej w średniowieczu jest nieporównanie szerszy. Prócz Pisma św. obejmuje ona bowiem, podobnie jak teologia ówczesna, całokształt spraw ludzkich i wszystkie dziedziny wiedzy, które stanowią tylko podbudowę i przygotowanie dzieła Zbawienia.

Zresztą w operowaniu symbolem i formą wziętą z natury zauważyć się dadzą wyraźnie dwie fazy, odpowiadające na ogół sposobowi pojmowania stosunku człowieka do Boga. W okresie pierwszym, sięgającym do końca XII w., Chrystus jest pojmowany w duchu Apokalipsy jako król i sędzia, pełen grozy i majestatu, którego dobroci wyrazem jest raczej wspaniałomyślność aniżeli miłosierdzie. Od początku XIII w. stan ten ulega zmianie. Diadem królewski ustępuje miejsca koronie cierniowej, krzyż przestaje być tronem, a staje się narzędziem męki; Chrystus jest nie tylko Bogiem, ale i człowiekiem, którego miłosierdzia miarą jest wielkość cierpienia. Miejsce bojaźni Bożej zajmuje miłość, nad całą religią unosić się zaczynają uczucia bardziej ludzkie. W sztuce zaznacza się to wzmożeniem tendencji naturalistycznych. Ciało ludzkie, które przybrał Chrystus podczas pobytu na ziemi, staje się problemem artystycznym, ale choć je artysta obserwuje, nie jest w możności opanować zasad jego budowy; w ramach programu średniowiecznego urzeczywistnić się to nie da, więc choć wiele rysów trafnie z natury podpatrzonych przedostanie się do sztuki, nie zdołają one przeobrazić jej oblicza. Gotyk, po wielu nawet obiecujących próbach, zakrzepnie ostatecznie w pewnych schematach, które będzie się starał ożywić, potęgując wyraz życia wewnętrznego postaci (ekspresja).

Tendencje ekspresyjne sztuki średniowiecznej nie są wynikiem jakichś założeń artystycznych, ale wypływają wprost z jej charakteru dydaktycznego. Ponieważ forma jest tylko symbolem



Wnętrze katedry w Amiens

prawd wiecznych, musi posiadać własny wyraz, wychodzący poza piękno i poprawność zewnętrzną. Może ona być wiernym powtórzeniem natury albo jej jaskrawym zaprzeczeniem, ale nie to stanowi o jej wartości i pięknie, tylko zawarta w niej prawda duchowa. Wyraz zdobywa formą drogą odpowiedniej stylizacji, która dokonuje się zasadniczo nie wbrew prawdzie życia, ale w niezależności od tej prawdy.

O artyście średniowiecznym wiemy bardzo mało. Społecznie należał on do klasy wydziedziczonych, którym urodzenie nie dawało ani majątku ani przywilejów. Toteż szukał oparcia o możniejszych. Początkowo udzielały mu go klasztory, w których składał śluby zakonne albo z którymi wiązał się w inny sposób, potem w miarę ewolucji społecznej wyswobadza się spod tej opieki, aby odzyskawszy swobodę osobistą bronić swych praw jako rzemieślnik w ramach miejskiej organizacji cechowej, o ile los szczęśliwy

nie zaprowadził go na dwór monarchy, księcia lub biskupa-mecenasa.

Jego przeżycia artystyczne posiadają nikłe co prawda, ale autentyczne dokumenty w postaci napisów, jakie czasem kładł na swych dziełach. Przeżywał on prawdopodobnie te same tragedie zmagania się z formą, które są udziałem i warunkiem wszelkiej twórczości, a choć skrępowany w wolnym wypowiedaniu się, miał on jednak poczucie swej wartości. Wiedział, że tworzy dla szerokich kół społeczeństwa, którego najgłębszych przeżyć duchowych jest wyrazicielem; toteż uważał się za coś wyższego i nieraz snuł mu się po głowie myśli dziwne może, a jednak mające głębokie uzasadnienie w psychologii twórczości. Jeden z artystów XIII w. pomieścił na swym dziele takie wyznanie: „Gdybym ciała, które umiem kształtować, umiał do życia powoływać, zasługiwałbym na to, aby zasiadać wśród bogów“, a chociaż jest on wymowniejszy od innych, nie stanowi jednak wyjątku. Od tej dumy nie bronili artyści nawet habit zakonny, toteż cystersi w swej regule pomieszczają przepis, aby artyści-mnisi uprawiali swą sztukę w pokorze, a jeżeli który z nich z tego powodu wynosi się nad innych, powinien go opat od niej odsunąć na tak długo, dopóki się nie upokorzy. Uwagi te mogą brzmieć dziwnie na tle utartych poglądów na średniowiecze, a jednak nie są one niczym innym, jak tylko dowodem, że psychologia artysty-twórcy jest zawsze niezmienna bez względu na zewnętrzne ramy, które jej stwarza epoka.

Spośród wszystkich krajów na plan pierwszy wysuwa się Francja, gdzie kultura średniowieczna krystalizuje się w formie najpełniejszej i najdoskonalszej. Ale Francja wówczas, gdy zaczęła przodować całemu światu, nie była jeszcze narodem, pod względem zaś rasowym była cudownym amalgamatem pierwiastków galicko-romańskich i germańskich. Posiadała ona nadzwyczajną umiejętność przyoblekania wizji artystycznej w jasną i doskonałą formę, co zadecydowało o dziejowym znaczeniu tego narodu dla całej cywilizacji zachodniej. Błędem byłoby uważać sztukę średniowieczną za dzieło Francji, gdyż jest ona wytworem zbiorowego wysiłku różnych narodów. Zastługą jednak Francji pozostanie na zawsze, że od wieków stwarza ona warunki, w których najpełniej dojrzewa i formuje się to, co stanowi istotną treść życia duchowego ludzkości. Idee same rodzą się często poza Francją, a jednak tylko na jej terenie rozkwitają one w formie doskonałej. Nie dokonywa się to wyłącznie wysiłkiem rdzennych Francuzów, ale pod cudownym działaniem ich poczucia umiaru, smaku oraz równowagi między formą a treścią. Klasycznym tego przykładem są dzieje gotyku, owego najdoskonalszego wyrazu średniowiecza, a zarazem najwspanialszej emanacji chrześcijaństwa w sztuce. Idea „gotyku“ tkwi głęboko w duszy zbiorowej społeczeństwa średniowiecznego; toteż mimo że jej sformułowanie posiada wybitne piętno ducha francuskiego, ogarnia on cały świat

zachodni stając się kanwą, na której każdy naród haftuje swój własny desen.

Patrząc na sztukę średniowieczną z wyżyn kilku wieków, jakie nas od niej dzielą, dostrzegamy, że pod oschłą nieraz i szarą powłoką scholastyki wre i kotłuje gorąca lava uczucia, które raz po raz jasnym wystrzela płomieniem. Aby ją jednak zrozumieć, trzeba spojrzeć na nią „okiem wiary“, a wtedy dostrzeżemy w niej najdoskonalej w zwierciadle ludzkim odbite dzieło Boga.

WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO ODNAWIA AKADEMIEŻ KRAKOWSKĄ

Dyplom łaciński tł. S t. K r z y ż a n o w s k i, Rocznik krakowski,
t. IV, 1900 — wyjątki

W imię Pańskie Amen. Ku wiecznej rzeczy pamięci. Ponieważ wtenczas błędów i wątpliwości niedostatkom zapobiegamy roztropnie, gdy zdarzenia za naszych czasów zasze stwierdzeniem dokumentów i wypisaniem świadków uwieczniamy, przeto My Władysław, z Bożej łaski król Polski, oraz ziem: krakowskiej, sandomirskiej, sieradzkiej, łeczyckiej, kujawskiej, najwyższe książę litewskie, Pomorza i Rusi pan oraz dziedzic, do wiadomości wszystkich obecnych i potomnych niniejszym przywilejem podajemy... Słodkim dźwiękiem brzmiała w uszach naszych pamięć tych często nam przypominanych pobożnych monarchów, którzy w krajach swoich nauk zakładali siedliska i powołaniem uczonych osób wady i błędy ojczyzny swojej usunąć i wytępić usiłowali, przykładem ich krzepiło się serce nasze i do wykonania zamysłów przez nich w pobożnej myśli urzeczywistnionych poczęło całą siłą wewnętrzną dążyć. Widzimy bowiem i naocznie spostrzegamy, jak Paryż powołaniem i zgromadzeniem uczonych, biegłych i rozumnych Francję opromienia i szanowną czyni, jak Bolonia i Padwa Włochy wzmacnia i zdobi, jak Praga Czechy oświeca i wynosi, albo jak Oxford całe Niemcy objaśnia i użyżnia. Dlatego zaiste za zrządzeniem Najwyższej Potęgi rozlicznych ziem dostąpiliśmy panowania i królestwa polskiego otrzymaliśmy koronę, abyśmy je blaskiem uczonych osób oświecili, ich naukami jego niedostatki i cienie usunęli i z innymi krajami je zrównali.

Nie wątpiąc, że to poddanym rzeczzonego królestwa i ziem naszych zbawienny pożytek przyniesie, za zgodą, wolą, wiedzą i zezwoleniem najświętszego w Chrystusie ojca, pana i pana, Bonifacego z Bożej Opatrzności papieża IX, najświętszego rzymskiego i powszechnego Kościoła najwyższego biskupa, łaskawie zatwierdzającego ją wydaniem bull swoich, postanowiliśmy w mieście naszym Krakowie miejsce, na którym by szkoła powszechna w każdym dozwolonym wydziale kwitnęła, mianowicie w teologii.

tj. Piśmie świętym, w prawie kanonicznym i rzymskim, w fizyce i sztukach wyzwolonych, wyznaczyć, obrać, ustanowić, określić, urządzić i założyć, a mocą niniejszego przywileju utrwalamy je na wieczne czasy. Niech więc tam będzie nauk przemożnych perła, aby wydawała męże, dojrzałością rady znakomite, ozdobą cnót świetne i w różnych umiejętnościach biegłe. Niechaj otworzy się orzeźwiająca źródło nauk, z którego pełnioci niech czerpią wszyscy naukami napoić się pragnący...

Wszystkich w ogólności i każdego z osobna: duchownych, scholarów, studentów świeckich itd. do rzeczonoego miasta Krakowa, dla nauk w przyszłości przybywających, w przyjeździe do niego i odjeździe stamtąd ze wszystkimi ich rzeczami, to jest koźmi, książkami, pościelą, narzędziami, pieniędzmi i sprzętami spod wszelkich danin, opłat, przechodów, mostów, podwód, straż, ceł, podatków, pieszego, dziesięcin i ciężarów, jakimkolwiek imieniem nazwanych, wyjmujemy i powagą królewską od nich uwalniamy, chcąc, aby od pomienionych scholarów i uczniów, jeśliby sami albo przez przyjaciół albo przez inne jakiegokolwiek osoby w prowianty, mianowicie w pokarmy, napoje, artykuły żywności, ziarno zboża, mąkę, sład, piwo marcowe lub jakiegokolwiek inne, w wino i inne rzeczy potrzebne, ładem i wodą sprowadzone, jakie na obszarze królestwa i państw naszych się znajdują, zaopatrzyć się chcieli, żadnych zgoła ceł i danin lub dziesięcin nie wyciągano, i aby ich rzeźnicy, piekarze i młynarze nie uciskali i nie niepokoili, i nie odważali się od tychże scholarów i studentów za rzeźnię, mielenie i pieczenie chleba więcej niż od obywatelów i mieszkańców miasta Krakowa wymagać i wyciągać...

Ażeby zaś scholarowie porządku powinnoego i karnooci należytiej w szkole powszechnej krakowskiej ściśle przestrzegali, chcemy, aby wszyscy scholarowie i studenci do Krakowa przybywający i tam dla nauk bawiący własnego mieli rektora, który by ich w sprawach cywilnych sądził i miał jurysdykcję zwyczajną nad wszystkimi, jemu zaś wszyscy przysięgą związani należne posłuszeństwo i cześć oddawać powinni. I niech nikt nigdy w tychże sprawach cywilnych, studentów i scholarów Uniwersytetu krakowskiego, jakiegokolwiek stanu i kondycji, gdzie indziej przed sędziego obcego kościelnego lub świeckiego nie waży się powoływać. Od wyroku zaś rektora wspomnianego nikt nie może apelować, wypraszać się lub domagać przywrócenia do pierwotnego stanu...

Aby zaś doktorowie, mistrze, licencjaci, bakałarze i studenci rzeczonoego Uniwersytetu krakowskiego, swoje wykłady, ćwiczenia i czynności naukowe swobodniej i wygodniej mogli i zdołali odbywać, na mieszkanie mistrzów i na codzienne i powszechne zbieranie się studentów i scholarów dom nasz, który był i nazywał się domem Szczepana Panchirza, a który niegdyś i Gersdorf, obywatel krakowski, posiadał, na ulicy św. Anny położony, w swojej

długości, szerokości i obszarze wymierzony i oddzielony, postanowiliśmy wyznaczyć, uwalniając go od wszystkich płac, danin, podatków, ciężarów sąsiedzkich, poborów, opłat sądowych, prawnych i zwyczajowych, nakładania ciężarów i podwód; a dom ten Uniwersytetowi rzeczonemu oddajemy na własność, do niego wcielamy i przyłączamy na zawsze i na wieki, nic w nim prawa i dziedzictwa sobie i następcom naszym nie zastrzegając.

Chcemy zaś, aby dom ten na wieki w posiadaniu i własności doktorów, magistrów i kolegiatów pozostając, miał prawo wolnego schronienia dla zbiegłych i inne prawa, swobody i łaski, jakich Bogu poświęcane używają kościoły...

Aby zaś niniejsze pismo w swej mocy trwało i od następców naszych stale dochowane było, przywilej niniejszy majestatu naszego pieczęcią stwierdzić rozkazaliśmy.

Działo się w Krakowie, w poniedziałek po św. Jakubie Apostole, roku Pańskiego 1400.

STRÓJ ŻAKA KRAKOWSKIEGO

J a n P t a ś n i k, Obrazki z życia żaków krakowskich w XV i XVI wieku — wyjątki

W pierwszych czasach istnienia uniwersytetu i przez cały wiek XV jako nakrycie głowy służyła ówczesnemu studentowi zwykła kapuca, zupełnie złączona z suknią. Używano jednak równocześnie i czapek, zwanych myckami, ze zwykłego sukna lub też z kitajki czy czamletu. W w. XVI kapuce wychodzą z użycia czapki jednak, owe mycki (*mitra*), zostają i nadal. Na odzienie żaka składała się koszula (*interula*), obcisłe spodnie, serdak, czyli kaftan z rękawami, barwy czarnej lub czerwonej; na to wszystko wdziewał tunikę, którą przewiązywał w pasie. Tuniki zaś były rozmaite. Były i purpurowe i szare, zwane dzikimi, i niebieskie, zielone, brunatne, nawet żółte. Zwano je też rozmaicie. I tak tunikę szarą lub z sukna barwy purpurowej zwano „dziką“, barwy żółtej dołmanem, zaś podbite futerkiem szubami. Najtańsze jednak były tuniki czarne z sukna czeskiego. One też były przepiślowymi i one w czasie promocji składano magistróm w podarunku. Na tuniki dzikie, jak niemniej czerwone, zwane „czeczeradek“, niechętnie patrzyły władze uniwersyteckie. Tuniki te, a także i podbite futrem „szuby“, były zbytkiem, na który tylko bogaci mogli sobie pozwolić... Gdy dołączymy do tego treпки, które student w domu zwykle zdejmował, będziemy mieli żaka przed oczyma, tak jak wyglądał w w. XV i XVI. Bogatsi studenci zarzucali jeszcze na tunikę z elegancją jedwabną delię.

Długa tunika nie odpowiadała żywego temperamentu żakom, przeszkadzała im w ruchach. Widział to i uniwersytet, a

uznając słuszne potrzeby młodzieży, w początkach XVI w. skrócił tuniki, tak że teraz student mógł się swobodniej poruszać. Skrócona tunika zwała się germakiem lub topieniakiem. Tak się przedstawiało ubranie krakowskiego studenta w w. XV i XVI.

Zupełnie tak samo ubierali się i bakałarze i magistrzy sztuk wyzwolonych. Strój bakałarzów różnił się tylko tym, że zamiast kapucy lub mycki nosili czworoboczne birety, a nadto końce rękawów u tuniki były czerwono oblamowane. Magister również odróżniał się tylko biretem od zwykłego scholarza, ale biret jego był okrągły i tym się znowu odróżniał od bakałarza.

Do egzaminów i uroczystości uniwersyteckich używali oni stroju zupełnie odrębnego. Przywdziewali wtedy długą aż po kostki togę, zwaną „tabardem“, drapując ją w piękne fałdy. Biret przy uroczystościach pozostawał ten sam.

Jak widzimy, był to strój zupełnie duchowny; takim go też nazywają i rozporządzenia rektorskie. Co prawda, to studenci starają się o ile możności odjąć mu ten charakter duchowny, strojąc mycki w kitajkę jako też i rozmaite pióra złożone lub przepasując je złotą wstążką. To też miało na celu i używanie owych strojnych, z krzyczącymi barwami tunik i delij, a buciki takiego eleganta musiały bić w oczy swą czerwoną, brunatną lub zieloną barwą...

Pomimo zakazów, pomimo że seniorowie mieli nakaz czytania po bursach przepisów o strojach, pomimo że mieli nakaz nie przyjmować do bursy nie noszących się przepisowo, ale tylko *honeste vestitos*, przecież studenci nie stosują się do nich, ubierają się stosownie do swej woli. Zamiast tunik, już z początkiem XVI w. używają sukni krótkich, z rękawami przedziurawionymi i takimi, z których „cała ręka wyłazi“, tj. jak się wyraża ustawa z r. 1533: używają strojów na kształt zaciężnych żołnierzy lub dworzan, przez co student od świeckiego nie może być odróżniony. Zamiast zwykłych mycek duchownych, używano świeckich wełnianych lub barankowych, z ogonami na uszy spadającymi. A jeżeli używano biretów, to były w rozmaity sposób powycinane lub też wstążką przewiązane.

Takie stroje zaczęli nosić studenci w początkach XVI w.

Rzeczą też honoru ówczesnego studenta posiadać już to miecz, już to łuk czy włócznię, już też jaką rusznicę lub przynajmniej nóż dobry. Jeżeli nie miał pieniędzy, a zdarzyła się sposobność nabycia dobrej broni, to zastawiał wszystko, i książki i suknie, byle tylko ją nabyć...

Pomimo jeszcze kilku zakazów, pomimo postanowienia króla Batorego z r. 1578, z końcem XVI w. runął cały ten system trzymania studentów w dyscyplinie niejako klasztornej i choć specjalnego pozwolenia nie było, siłą faktu upadły przepisy o ubiorach.



P R Z Y S T O L E

Sredniowieczny tekst łaciński ogł. S t. G l i x e l l i w czasopiśmie
Romania, XLVII, 1921. Skrót — przełożył W ł o d z i m i e r z L e w i k.

Quisquis es in mensa, primo de paupere pensa:
 Nam cum pascis eum, pascis, amice, Deum.
 Nescit homo plenus, quam vitam ducat egenus.
 Nemo cibum capiat, donec benedictio fiat,
 Nec capiat sedem, nisi quam vult, qui regit aedem. — —
 Et mundi digiti tibi sint unguesque politi. — —
 Non tangas aures nudis digitis neque nares. — —
 Esse scias vetitum in mensa ponere cubitum.
 Lege mandatur, ne parapsis ad osque ponatur.
 Qui vult potare, debet prius os vacuare
 Et sint illius labia tersa prius.
 Nec tacere possum, ne dentibus laceret ossum.
 Non dicas verbum cuiquam, quod ei sit acerbum,
 Nec possit quis irasci, vel discordia nasci.
 In vultu sis hilaris, nullum tamen irridearis.
 Si pauce loqueris, gratior sodalibus eris.
 Mensa submota manus ablue, postea pota.
 Privetur mensa, qui spreverit haec documenta.

— — — — —

Ktoś jest kolwiek biesiedzie,
 w pierw nędzarza opatrz w biedzie:
 Boć to, jakbyś chleba kawał
 przyjacielu — Bogu dawał.
 Ów, co syty, nie wie o tem,
 jakim biedak mrze żywotem.
 Gdyś przy stole siadł, czy siadła,
 zmówże pacierz, nim tkniesz jadła.
 Miejsce zasię weźmij ono,
 które dla cię przeznaczono. — — —
 Bacz, byś palce miał najczystsze,
 zaś w paznoktach lustr niech błyszczce. — —
 W uszach, w nosie, gdyś w potrzebie,
 wiedz, że palcem się nie grzebie. — —
 Przy tym — rada moja szczerą —
 łokci o stół nie opieraj!
 Misy też, jak zwyczaj głosi,
 do ust niechaj nikt nie wznosi.
 Kiedy w szklenic zerkaśz głębie,
 przódzi zjedz to, co masz w gębie.
 A nim napój podasz ustom,
 wytrzyj przódzi wargi chustą.

Takoż — mówiąc między nami —
nie trza kęsać ust zębami.
Słowom nie folgować zbyt —
bo gdy słowa komu przytną,
Kiedy wprawia w gniew sąsiada,
miast rozmowy — jeno zwada.
W licach uśmiech zawdy miewaj,
lecz się z bliźnich nie naśmiewaj.
Bo im mniej cię wokół słyszą,
milszy jesteś towarzyszom.
Ręce myj, gdy już po wszystkim
i kontentuj się napitkiem.
Kto zaś mej nie słucha rady,
wierę, nie wart jest biesiady.



FILIPPO BUONACCORSI KALLIMACH

ŻYCIE I OBYCZAJE GRZEGORZA Z SANOKA ARCYBISKUPA LWOWSKIEGO

Przekład polski z oryginału łacińskiego, staraniem „Kółka Filologicznego“ we Lwowie, 1909 — wyjątki

(Z dedykacyjnego listu Kallimacha do Zbigniewa Oleśnickiego, młodszego, biskupa wrocławskiego):

Ten mój krótki opis życia i obyczajów człowieka, którego czyni nie tylko naśladowałeś, lecz omal ich nie przewyższyłeś, broniąc mnie przed ludźmi złej woli, Tobie przede wszystkim, sądzę — wypada przeczytać; poznasz bowiem z niego, że wyświadczyłeś dobrodziejstwo człowiekowi, który zawsze zachowuje głębokie uczucie wdzięczności i przynajmniej w ten jedyny sposób może i pragnie odwdziżyć się również Tobie jak i jemu. A także ze wszech miar godzi się, by to życie, które w pewnej części postępowaniem swym najwierniej przypominasz, było Ci znane w całości. Czytaj więc życzliwie te słowa, które najwyższe zobowiązanie kazało mi napisać i Tobie przesłać, i bądź dumny z tego, że podobnie jak wszystkie inne swe czynności uczyniłeś

niezależnymi od ludzi nieświadomych i gminnych, tak i w tym wypadku wzięłeś sobie za wzór wyjątkowego człowieka. Również ze względu na Twą ojczyznę i rodaków ciesz się niepomieranie, że z łaski Boga nieśmiertelnego mąż taki powstał; gdyby Grecja lub Italia wydała była na świat podobnego, czciłaby go jakby swą gwiazdę i chlubę. Gdyby zaś to miało być złą przepowiednią, że przedstawiam jego życie, jakby już umarł, podczas gdy on tym czasem szczęśliwie zdrowiem się cieszy i życiem, to Bóg zmieni ją w pomyślną wróżbę i w Swjej dobroci w najdłuższe lata zachowa przy życiu ten wzór prawdziwej cnoty. Jest też zwyczajem, że opisuje się w ten sposób czyny żyjących, jeżeli tylko godne są pamięci potomnych...

(Z właściwego życiorysu):

Grzegorz z Sanoka był szlachcicem po ojcu i matce. Urodził się w Polsce, w zapadłej wiosce niedaleko źródeł Wisłoki i tam spędził dziecięce lata. Jako chłopiec przeniósł się wraz z ojcem do pobliskiego miasta i tam począł się kształcić...

Przeto w miarę porywu i ochoty udawał się to do tego, to do owego miasta, nie zatrzymując się nigdzie dłużej, aż przybył do Krakowa. Tutaj jakiś czas pozostał oddając się nauce. Atoli spostrzegłszy niebawem, że wszystkie sprawy, tak publiczne jak prywatne, załatwia się w języku niemieckim, podążył za Łabę do Niemiec; w krótkim czasie, dzięki zdolnościom do języków, tak sobie przyswoił obcą mowę, że odtąd trudno było rozpoznać, którym językiem lepiej władał, obcym, czy ojczystym. Pięć lat stracił na tej wędrowce, i równocześnie, sam już dostatecznej nabrawszy wiedzy, prowadził po różnych miastach naukę szkolną. Lecz miał ponadto pewien dochód z przepisywania książek dla uczniów, w czym był niezwykle biegły. Bo oprócz tego, że miał wyrobiony, oryginalny charakter pisma, jeszcze, gdy chciał, bez trudu naśladował własnoręczne pismo każdego... Posiadał nadto jakiś wrodzony pociąg do muzyki, do której niemal stworzonym się zdawał, albowiem bardzo łatwo przyswajał sobie **zasady** tego rodzaju nauki; co do śpiewu, głos miał wyborny do **modulowania**, silny i dźwięczny, tyle mający wdzięku, ile okazałości...

(Po powrocie do Krakowa) zaczął publicznie objaśniać Bukoliki Wergiliusza, których ani tytuł, ani autor do tej chwili nie były nikomu w tym kraju znane. Nowość przedmiotu tak powszechnie wabiła słuchaczy, że w gronie ich nie brakło nikogo z ludzi wykształconych. Wśród wszystkich uczonych jedno było zdanie, że oto pierwszy raz zabłyśło dla nich światło, dzięki któremu wejść na prawdziwą drogę nauki; podczas gdy przedtem, błędząc po manowcach, prędzej mogli się doczekać starości niż jakiegokolwiek owocu umysłowej pracy. On też pierwszy począł ścierać z uczniów pleśń starzyzny i barbarzyństwa, hodowaną przez **nauczycieli gramatyki**, a natomiast wprowadził do Krakowa

wytworność i świetność starożytnego języka, ku takiemu zadowoleniu wszystkich, że nie tylko wbrew oczekiwaniu, ale nawet wbrew własnej chęci został wkrótce zamianowany magistrem nauk wyzwolonych; w rzeczywistości jednak nie zajmował się jeszcze dotąd umiejętnościami, które prowadzą do tego tytułu, lecz skupił swą uwagę na retoryce i poezji, do której czuł wrodzony pociąg i w obu tych działach dalej postąpił, niż na to pozwalał ówczesny brak podstaw naukowych w tym kraju...

Wszyscy inni uczeni tak wysoko cenili jego talent, że jaką kto tylko książkę nieznaną znalazł, niósł ją do niego w mniemaniu, że on wszystko łatwo wytłumaczy. I tak między książkami, których mu wiele codziennie przedkładano, znalazł niektóre komedie Plauta; ich dowcipem i żywością był tak porwany, iż nie tylko codziennie poświęcał się ich czytaniu, lecz nawet zaczął pisać na ich wzór nową komedię.

(Z kolei przedstawia Kallimach Grzegorza jako kapłana, proboszcza w Wieliczce, mówi o jego losach na Węgrzech, skąd wrócił po klęsce warneńskiej, wreszcie opowiada, jak objął arcybiskupstwo lwowskie.)

— — — Wobec cudzoziemców, zwłaszcza Włochów, którzy w jakimś uczciwym celu przybywali do Polski lub w miejscu się zatrzymywali, występował z największą uprzejmością i sprzyjał im, jak tylko mógł; opiekował się nimi, krzepił, odziewał i żywił w miarę możliwości; choć unikał obcowania ze swoimi, z nimi najczęściej zostawał w poufałości, zarówno przy stole jak w innych momentach życia dopuszczał ich do swego towarzystwa, i współzawodniczył z nimi w żartach i w dowcipach... Żywo zajmował się tym, co się w świecie dzieje, bo zapytywał się, co robią Włosi, a co Francuzi, jaki stan Niemiec, a jaki Hiszpanii, o czym donoszą z Afryki, a o czym z Azji... Tak postępując albo miał na względzie dostojeństwo Polski, by obce narody sławiły prócz gościnności i wysoki stan oświaty w tym państwie, albo poddając się urokowi obyczajów, w których najbardziej lubił naśladować Włochów, tak się nastrojał, że wszystko to, co już był zarzucił, znowu wywierało nań wpływ, jakby rozpoczynał nowe życie. To pewna, że nie szczędził nigdy trudu, ani kosztów, ile razy należało dbać o bezpieczeństwo lub cześć jakiego cudzoziemca...

Do poezji miał większe zdolności, ale i prozą w stylu pośrednim między dawnym a nowym pisał tak wyrobioną, że w swoim kraju nie tylko celował wśród wszystkich pisarzy ówczesnego wieku, ale był nawet przedmiotem podziwu. Jakkolwiek jednak wiele pisał, nie podawał niczego do rąk drugich, czy to dlatego, że to, co pisał, jego samego nie zadowalało, czy też wydawało mu się nie odpowiadającym jego godności. Tylko historię swą o powołaniu króla Władysława na tron węgierski i jego wyprawach przeciw Turkom, napisaną w dwu księgach, dał kilku przyjaciółom do czytania — prócz tego kilka epigramatów...

JEDNOSTKA W EPOCE RENESANSU

Jakub Burckhardt, Kultura odrodzenia we Włoszech,
przełożyła Maria Kreczowska — wyjątki

W ustroju (włoskich) państw, zarówno republik jak tyranij, tkwi nie jedyna wprawdzie, lecz najgłębsza przyczyna, która spowodowała wczesne przeobrażenie się Włochów w ludzi nowoczesnych. Stąd ich stanowisko pierworodnych pośród synów dzisiejszej Europy...

Już znacznie wcześniej spotykamy się tu niekiedy z rozwojem indywidualności jako takiej, gdy w ówczesnych krajach północnych indywidualność inaczej się kształtuje, lub w inny sposób przejawia. — U schyłku XIII w. zaczyna się nagle roić we Włoszech od indywidualności; czar uniemożliwiający rozwój jednostki znikł całkowicie, a spośród niezróżnicowanej masy wyłaniają się tysiące fizjonomij odrębnych...

Przede wszystkim rządy despotyczne w najwyższym stopniu rozwijają indywidualność tyrana, kondotiera samego, następnie protegowanego przezeń, ale też bezwzględnie wyzyskiwanego talentu: tajnego pisarza, urzędnika, poety, towarzysza. Umysł tych ludzi z konieczności poznać musi wszystkie swe duchowe źródła pomocnicze, stałe i chwilowe; także rozkosz używania życia potęguje się i koncentruje dzięki tym środkom duchowym, by krótkie-mu może okresowi potęgi i wpływów nadać wartość jak największą.

Ale także podwładni ulegali poniekąd temu popędowi. Całkowicie pominiemy tych, co strawili życie na skrywanym oporze i spiskach, a zajmiemy się tylko tymi, którzy się pogodzili z dola zwykłych ludzi prywatnych w rodzaju przeważającej liczby mieszczan państwa bizantyńskiego i krajów mahometańskich. Nie ulega wątpliwości, że np. poddanym Viscontich dość było trudno zachować godność domu i własnej osoby, a niezliczona ilość ludzi zatracala w tej niewoli część swej wartości etycznej. Nie osłabiało to wszakże tego, co zwiemy charakterem indywidualnym, gdyż właśnie na tle ogólnej politycznej bezsily tym silniej i wszechstronniej rozwijają się najróżnorodniejsze kierunki i dążności życia prywatnego. Bogactwo i wykształcenie, o ile się mogły przejawiać i współzawodniczyć, w łączności z wciąż jeszcze wielką swobodą municypalną i z istnieniem Kościoła, który w przeciwieństwie do stosunków w Bizancjum i krajach mahometańskich, nie identyfikował się z państwem — wszystkie te czynniki razem wzięte sprzyjały niewątpliwie myśli indywidualnej, a dzięki temu, że nie było tu walki stronnictw, ludzie mieli dość czasu na myślenie. Człowiek prywatny, politycznie obojętny, wśród swych zajęć na wpół poważnych, na wpół dyletanckich, najwcześniej prawdopodobnie doszedł w tych despotycznych państwach XIV w. do pełni rozwoju swej osobowości...

A republiki w inny znów sposób sprzyjały rozwojowi jednostek. Im częściej zmieniały się stronnictwa rządzące, tym bardziej jednostka widziała się zmuszoną do skupienia wszystkich zdolności przy wykonywaniu i używaniu władzy. I dlatego, zwłaszcza w dziejach Florencji, politycy i przywódcy ludu stwarzają sobie życie tak wybitnie indywidualne, jakiego — poza jedynym może Jakubem van Artevelde — nie znano w ówczesnym świecie.

Ludzie należący do stronnictw zwalczonych często znajdowali się w położeniu, podobnym do położenia poddanych w państwach despotycznych, z tą wszakże różnicą, że zaznana już swoboda czy władza, a może też nadzieja jej odzyskania, nadawała ich indywidualizmowi większy polot...

Jest to cechą wygnania, że albo człowieka niszczy doszczętnie, albo doprowadza go do najwyższego rozwoju. „We wszystkich naszych ludniejszych miastach — mówi Giovano Pontano — widzimy mnóstwo ludzi, którzy dobrowolnie opuścili swą ojczyznę wszędzie się wszak z sobą zabiera cnotę”. W istocie, nie tylko ludzie skazani na wygnanie, lecz tysiące innych opuszczało dobrowolnie rodzinne miasto, gdyż stosunki polityczne i ekonomiczne stały się wręcz nieznośne. Wygnańcy florenetyńscy w Ferrarze, lukkańscy w Wenecji itd. tworzyli całe kolonie.

Kosmopolityzm, rozwijający się u najbardziej wygnańców, jest najwyższym stopniem indywidualizmu... Z wyniosłą hardością podkreślają też artyści swą swobodę co do miejsca pobytu. „Tylko ten, kto się wszystkiego wyuczył — powiada Ghiberti — nigdzie nie czuje się obcym; nawet ogołocony z mienia, bez przyjaciół, jest jednak obywatelem każdego miasta i beztrwożnie może gardzić zmiennymi kolejami losu”. W podobny sposób wyraża się też humanista-wygnaniec: „Gdziekolwiek człowiek uczony założy swą siedzibę, wszędzie znajdzie ojczyznę”. —

A jeśli ten pęd do najwyższego rozwoju osobistości szedł nado w parze z naturą prawdziwie silną i wielostronną, która też opanowała wszystkie dziedziny ówczesnej wiedzy, kultury i władzy, wtedy powstawał „człowiek wszechstronny”, *l'uomo universale*, zjawisko będące wyłącznie tworem Włoch. Przez całe średniowiecze istnieli w rozmaitych krajach ludzie posiadający wiedzę encyklopedyczną, jako że wiedza ta nie była jeszcze zbyt rozległa; tak samo zdarzają się aż po wiek XII wszechstronni artyści, gdyż zagadnienia architektury były stosunkowo proste i jednostajne, a w malarstwie i rzeźbie dany temat górował nad formą. Natomiast we Włoszech z czasów Odrodzenia napotyamy poszczególnych artystów, którzy we wszystkich dziedzinach tworzą rzeczy nowe i w swoim rodzaju doskonałe, a ponadto jako ludzie największe czynią wrażenie. Inni, nie będąc twórcami w obrębie sztuki, wykazują jednak ogromną wszechstronność umysłu...



MICHEL ANGELO BUONAROTTI

TWÓRCA O SOBIE SAMYM

W ł. K o z i c k i, Michał Anioł, Nauka i Sztuka t. VIII — wyjątki

Neugiętym i pełnym mocy przedstawia się Michał Anioł w książce, którą w r. 1548 napisał Francisco de Holanda, pt. „Cztery rozmowy o malarstwie, prowadzone w Rzymie w r. 1538”. Ten portugalski malarz-miniaturzysta i architekt odbył z polecenia swego króla podróż artystyczną do Włoch celem studiowania malarstwa i sztuki fortyfikacyjnej. W ciągu dłuższego pobytu w Italii pozawiazywał stosunki z licznymi artystami...

Zetknął się także z Michałem Aniołem, któremu, jak wszyscy, największą cześć okazywał. Po powrocie do ojczyzny napisał traktat o malarstwie, ubrany w formę dialogów, w których między innymi biorą udział także Michał Anioł, Vittoria Colonna oraz wybitny humanista i polityk, Lattanzio Tolomei. Dialogi te opierają się na rzeczywistych rozmowach, które toczyły się pomiędzy wymienionymi osobami w Rzymie, w kościele San Silvestro na Kwirynale, gdzie Vittoria przysłuchiwała się naukom sienieńskiego kaznodziei, Fra Ambrosia, a po skończonych praktykach religijnych wszczyna z przyjaciółmi pogadankę o artystach i sztuce. Jasnym jest, że Holanda, który swój traktat napisał w dziesięć lat później, nie przytacza tych rozmów dosłownie, treści ich jednak nie można zaprzeczyć autentyczności, choćby dlatego, że wiele zapatrywań i uwag przerasta znacznie swą doniosłością niezbyt ponad przeciętność wyrastającą inteligencję autora dialogów. Na szczególną uwagę zasługują ustępy, które zawierają bystrą charakterystykę Michała Anioła, daną słowami Vittorii lub samego mistrza.

„Przyjaciele wasi — mówi markiza do Buonarottiego — stawiają was samych o wiele wyżej niż wasze dzieła, a ci, którzy znają tylko wasze dzieła, a nie was samych, znają to tylko z was, co mniej jest doskonałym. Podziwiam zawsze, jak umiecie odsunąć się od świata i od bezcelowych rozmów, wymówić się od ża-



Michał Anioł, Mojżesz. rzeźba,
Rzym, kościół św. Piotra w okowach

dań wszystkich tych książąt, którzy domagają się obrazów waszego pędzla, aby móc pracować nad jedynym wielkim dziełem, które jest zadaniem całego waszego życia”.

Nawiązując do słów Vittorii wygłasza Michał Anioł obronę swego samotnego życia:

„Tysiące głupich zarzutów robią ludzie wybitnym artystom: mówią, że są dziwakami, że trudno zbliżyć się do nich, że nie można z nimi żyć. Tymczasem nikt nie jest tak naturalnym i tak naprawdę człowiekiem jak wielki artysta... Nie przeczę, że malarze mają pewne dziwactwa, zwłaszcza tu, w Italii, gdzie maluje się lepiej niż gdziekolwiek na świecie. Jakże można jednak żądać od artysty, który cały tkwi w swej robocie, aby miał czas i ochotę bawić znudzonych ludzi”. Co prawda, mówi dalej Michał Anioł, tylko szczególnie ważny cel życiowy usprawiedliwia życie samotne. „Jeżeli sobie jakaś miernota nie mająca żadnych dążeń wyobrazą, że na samotności polega najwyższe szczęście, to niech go przyjaciele bez żalu pozostawią jego losowi. Są bowiem artyści i artyści. Lecz twierdzę, że artysta, który zamiast mozolnie wypracowywać swą sztukę, by odpowiedzieć jej najwyższym zadaniom, schlebia upodobaniom szerokiej publiczności, który w swym indywidualnym charakterze nie ma żadnej odrębności, żadnego dziwactwa, czy jak się to w świecie nazywa, że artysta taki nigdy nie będzie niezwykłym duchem. Zapewne, tych, co należą do przeciętnego tłumu artystycznego, nie potrzeba szukać z latarnią; tacy stoją gotowi na zawołanie na wszystkich targowicach całego świata”.

WAWEL

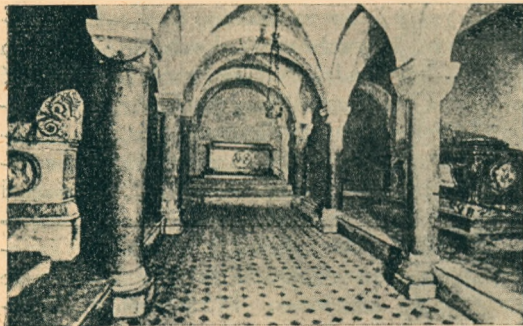
KATEDRY ROMAŃSKIE

T. S z y d ł o w s k i, Pomniki architektury epoki piastowskiej, wyjątki

Na wzgórzu wawelskim odkryte zostały resztki pierwszego k a t e d r a l n e g o kościoła... Pozwalają się one domyślać, że była to bazylika na planie łacińskiego krzyża, zapewne z dwiema wieżami od frontu. Obok niewielkich kościołów dotychczasowych pojawia się oto naraz budowla o kształcie bardzo rozwiniętym, w kompozycji swej dojrzałym i skończonym. Kształt ów nie wyrósł na gruncie miejscowym ze skromnych prób dotychczasowych, lecz przeniesiony został z Niemiec już gotowy niemal we wszystkich szczegółach. Było śmiałym zamierzeniem odtworzyć go w Polsce, tak mało jeszcze sztuki budowania świadomej. Założyciel nie liczył się z trudnościami; wpatrzony w obcy pierwowzór, zapragnął powtórzyć go i naśladować.

Więc popod prezbiterium, jak to było w owym czasie na Zachodzie we zwyczaju, wprowadzono kryptę podziemną, za- sklepioną krzyżowo na ośmiu wolno stojących kolumnkach i dziesięciu półkolumnkach przyściennych, rozstawionych w niewielkich odstępach. Kolumnkom podłożono bazy attyckie, które po tylu wiekach od swych narodzin dostały się na ziemię dalekiej północy. Kapiteliki otrzymały prostszy kształt kostkowy. Od wschodu wyokrąglono kryptę w sklepioną apsydę półkolistą, nad którą wznosiła się wyżej górna apsyda zamykająca prezbiterium. Prezbiterium nie odważono się sklepić, podobnie jak i naw, przykryto więc budowlę drewnianymi pułapami, o belkach zapewne kunsztownie rzeźbionych... Przylegała do niego nawa poprzeczna z apsydami dla bocznych ołtarzy. O korpusie przednim można przypuścić, że nawa główna była ku niskim bocznym otwarta arkadami rozpiętymi na mieniających się wzajem filarach i kolumnach, że wysoko nad arkadami jaśniał rząd wysokich okien, a za filarami w głębi prześwietlały mrok okienka naw bocznych.

Nie mamy bliższych podstaw do określenia czasu powstania tej, jak na nasze ówczesne stosunki, wyjątkowo pięknej budowli i możemy tylko ogólnie przypisać ją XI wiekowi... Nie jest pe-



Krypta św. Leonarda

wne, czy katedra ta była wykończona, czy miała swe wieże, czy też uległa runięciu już w ciągu wznoszenia, skutkiem błędów wynikłych z braku dostatecznego doświadczenia technicznego, jak się to zdarzało niejednokrotnie i w krajach o wyższym rozkwicie budownictwa. W ten sposób można by najłatwiej wytłu-

maczyć, iż po katastrofie nie ryzykowano już odbudowy, lecz zdecydowano się stawiać nową katedrę na miejscu nieco dalej na wschód posuniętym.

Ochronioną od ruiny część katedry zaadaptowano, być może, jako kościół św. Gereona. W połowie XIV wieku wmurowano



Wawel, romańska katedra
na pieczęć z XII w.

na miejsce tego romańskiego kościoła gotycką kaplicę zamkową, która istniała do końca XV wieku i z której zachowały się resztki murów...

Z każdym dziesiątkiem lat dokonywał się pewien postęp na polu budownictwa i gmach nowej katedry, wznoszonej za Bolesława Krzywoustego musiał być większy, okazalszy i solidniejszy. Świadczy o tym k r y p t a św. L e o n a r d a, która się zeń jedyna w całości dochowała. Trójnawowa, podobnie jak krypta pierwszej katedry, jest od niej znacznie rozleglejsza, wyższa, śmieiej założona i zasklepiona krzyżowo na masywniejszych kolumnach. Bazy i kapitele jeszcze równie prymitywne. Od strony zachodniej wyokrąglą się krypta w apsyde, w której ocalało jedno pierwotne okienko. Jedyna to zachowana u nas krypta romańska, zarazem najstarsze, piękne architektoniczne wnętrza wywierające dużo uroku. — — —

BIBLIOTEKA I SZKOŁA KATEDRALNA

S t. W i n d a k i e w i c z, Dzieje Wawelu — wyjątek

Najpiękniejszą kartą z dziejów tej katedry są wspomnienia odnoszące się do dziejów oświaty polskiej. Skromna budowla, nie dość widocznie świetna dla późniejszego stołecznego Krakowa i stąd następnie bez ceremonii usunięta, pozostawiła zaszczytne ślady w literaturze. W niewiele lat po przeniesieniu ciała św. Stanisława powstała w niej wcale zasobna biblioteka, pierwsza biblioteka na ziemiach polskich. W r. 1110 obejmowała 28 tytułów. Obok rzeczy kościelnych mieściło się w niej kilka wybitnych dzieł z literatury klasycznej, co wskazuje, że Kraków pozostawał już naówczas w dosyć żywych stosunkach umysłowych z zachodnim światem. Książka katedralni XII w. mogli tu czytać komedie Terencjusza, elegie Owidiusza, satyry Persjusza, Tebaidę Stacjusza, monografie historyczne Sallustiusza, dzieło Boëcjusza *De consolatione*, i *Ethimologiarum libri* Izydora Sewilskiego. Piękna biblioteka zachęcała do pracy. W r. 1122 powstał w Krakowie jeden z najdawniejszych roczników w Polsce, *Annales Cracovienses vetustí*, zachowany w odpisie w rękopisie świętokrzyskim z XII w. Za tym dziełem poszło inne przedsięwzięcie oświatowe. Z kościołem złączono około r. 1150 szkołę katedralną, która zmieniła się następnie w najlepszą szkołę polską przed założeniem Uniwersytetu krakowskiego. Wychowankowie jej wnieśli wiele ożywienia w poważne mury katedry i zapoczątkowali przedstawienia dramatu liturgicznego w Polsce. Począwszy od XII w. zaczęto w katedrze odgrywać na Wielkanoc zachowany do dziś dnia dramat liturgiczny *Officium Sepulchri*, który w niezmienionym kształcie dotrwał do XV w. i dał początek następnie rozwiniętym misteriom ludowym o Umęczeniu i Zmart-

wychwstaniu Chrystusa Pana. Dzięki tym wspomnieniom trwa pamięć o tej katedrze, choć kształty jej dawno z powierzchni Wawelu zniknęły. Spotkał ją los wielu budynków z drewnianymi sufitymi. Od żagwi, zaniesionych wiatrem z palącego się kościoła Wszystkich Świętych na Grodzkiej ulicy, zajęła się katedra i spaliła r. 1305 i następnie musiała być zburzoną. Mimo tego zniszczenia doczekała się jeszcze wielkiego zaszczytu. W katedrze tej, zapewne tylko tymczasowo uporządkowanej, odbyła się r. 1320 pierwsza koronacja krakowska: Władysława Łokietka i jego żony Jadwigi.

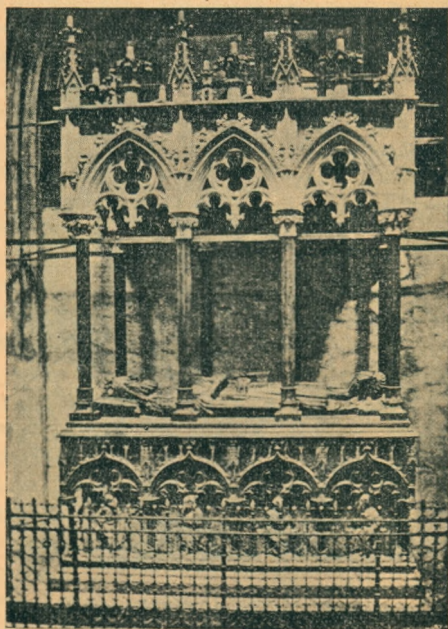
GOTYK

St. Windakiewicz, jw.

Dnia 9 maja 1305 r. spaliła się katedra Władysława Hiermana i drewniane budowle zamkowe z czasów Bolesława Wstydliego od ognia wiatrem przeniesionego z kościoła Wszystkich Świętych. W zniszczonym

budynku odprawiano jeszcze przez kilkanaście lat nabożeństwo, dokonała się nawet koronacja Władysława Łokietka i jego żony, ale tuż po koronacji biskup Nanker z kapitułą postanowili przystąpić do budowania nowej świątyni i zaczęli stawiać nowy gmach w stylu gotyckim, z ciosowego kamienia, „szerszy i dłuższy” niż dawny kościół romański. Z początku zamierzano właściwie tylko rozszerzyć dawną budowlę przez dobudowanie nowego chóru, ale z czasem urosła myśl zbudowania całego kościoła, z chórem, nawami i transeptem. Jest to katedra, która się do naszych czasów dochowała. Chór jej jest długi

23 m, szeroki około 10 m, z ambitem 21 m, wysoki 19 m. Z murów jej, filarów, żeber, dosyć ozdobnych okien, można ocenić wielką powagę i niezbyt jeszcze wygórowane wymagania założycieli, jak niemniej poziom artystyczny kolejnych budow-



Pomnik Kazimierza Wielkiego
w Katedrze wawelskiej

nicznych. Gmach jest dosyć kosztowny, bo przeważnie z ciosów wzniesiony, ale nie posiada tej smukłości i wdzięku, co współczesne kościoły ceglane w mieście, Św. Trójcy i Mariacki. —

Dnia 22 grudnia 1346 r. odbyło się poświęcenie wielkiego ołtarza. Kazimierz Wielki dał koszt na sklepienie, pokrył ołtarzem chór katedry i kazał go pomalować złotymi gwiazdami. Właściwie wielki nasz budowniczy dokończył tej budowli. Dnia 28 marca 1364 odbyło się poświęcenie skończonego kościoła, którego dokonał Jarosław Skotnicki, arcybiskup gnieźnieński. — —

Najwięcej ozdoby kościołowi w najbliższych latach po poświęceniu przyniosło uporządkowanie ołtarza św. Stanisława. Sprawiono nań nowy drewniany relikwiarz-sarkofag, pokryty blachami srebrnymi złożonymi, w którym spoczywało ciało świętego przez cały wiek XV i XVI aż do ofiarowania nowej trumny przez Zygmunta III. Fundatorką tego sarkofagu była królowa Jadwiga, która wprost prześcigała się w hojności dla katedry. — —



Kurza Noga (Stopka)

Zamek budował się zapewne równocześnie z katedrą. Ci sami murarze musieli tu i tam pracować. Zrazu musiał Władysław Łokietek postawić jakiś tymczasowy pałac, wobec spalenia się zamku r. 1305. Właściwym budowniczym zamku był Kazimierz Wielki. U Janka z Czarnkowa czytamy: *Castrum Cracoviense mirificis domibus, turribus, sculpturis, picturis, tectis nimium decoris ornavit*. Część tych przedziwnych pałaców zachowała się poniekąd do dziś dnia w północnej i wschodniej części pałacu zygmuntońskiego, na parterze i I piętrze. Sale te zawsze oglądamy z szczególnym zajęciem. Obok sali ze słupem Kazimierza

Wielkiego mamy salę z strzelistym sklepieniem i ładnym oknem do siedzenia, z herbami królowej Jadwigi, a nadto jeszcze na I piętrze wesolutki pokoik-belweder na Kurzej Nodze, herbami Władysława Jagiełły od strony zewnętrznej ozdobiony.

Zachowane części pałacu kazimierzowskiego pozwalają ustalić, że budowle drugiego założyciela zamku na Wawelu znajdo-

wały się również na wyższej części góry po stronie wschodniej, gdzie niegdyś zapewne stały mieszkania książąt dzielnicowych. —

Mury zamku krakowskiego wznosił zapewne wraz z pałacem Kazimierz Wielki. Władysławowi Jagielle wydały się za niskie i w latach 1393 i 1394 podniósł je znacznie ceglana nadbudowa. Wtedy także musiały powstać inne budowle na zamku za jego czasów wzniesione, a mianowicie sławny później w historii polskiej pawilon-belweder i baszta Kurza Noga, wsparta na strzelistej trójstopowej arkadzie. W średnich wiekach uchodziła za pięknieszą część zamku — *pulchrior arcis pars, quae a pede gallino cognomen habet...*

RENEZANS — PAŁAC ZYGMUNTA STAREGO

St. Windakiewicz, jw.

Zbudowany przez architektów włoskich, dzięki zamiłowaniu Zygmunta Starego w sztuce florenckiej i wybornym urządzeniom skarbowym, pałac dwupiętrowy objął przeszło 90 pomieszczeń, z górą po 30 na jeden poziom, albo — nie licząc małych pokoików, gabinetów, przedpokojów i sklepików — przeszło 40 wielkich i widnych sal (mniej więcej po 15 na dwa górne poziomy), zaopatrzonych w okna i wejścia szerokie, widne, przestronne, z pięknymi, kamiennymi obramieniami w stylu odrodzenia. Czasem tu i ówdzie odrzwia mają łacińskie napisy, niektóre dla odmiany — zależnie zapewne od kamieniarzy — mają ozdoby późnego średniowiecza; jedno od krużganków nosi dziś jeszcze piękną cyfrę założyciela.

Pokoje te za Zygmunta Starego nie miały jeszcze ustalonego przeznaczenia, zwłaszcza, że pałac był w budowie i coraz świeże skrzydła przybywały. Wiemy tylko, że część ich, zapewne najważniejszą, zajęto na prywatne mieszkanie króla — i to osobne pokoje zimowe, a osobne na wywczasy letnie. Inną część pałacu, zdaje się od zachodu, użytkowała królowa Bona. Poza tym kilka pokoiów oddano na mieszkanie *regis iuvenis*, młodocianego Zygmunta Augusta, a osobny dom, prawdopodobnie przed pałacem, stał się mieszkaniem *reginulae Hedvigis*, córki królewskiej z pierwszego małżeństwa, która potem wyszła za Joachima, margrabiego brandenburskiego. W pałacu Zygmunta Starego istniały już trzy pokoje reprezentacyjne, mianowicie: izba sądowa, *ubi Rex iudiciis vacare solet*; izba senatorska, *ubi consilarii conveniunt*, i izba poselska — ale położenia ich dobrze oznaczyć nie można, oprócz izby poselskiej. Główną ozdobą mieszkań wawelskich za Zygmunta Starego były bogate stropy drewniane z rozetami złożonymi, na które ogromne sumy pieniędzy przez kilka lat wydawano, a następnie fryzy malowane, tzw. w rachunkach „krańce”, którymi ozywiano ściany niektórych pokoiów u góry

pod sufitem. Przyozdobienia te były tak dobrze do budynku dostosowane, że wszelkie późniejsze przeróbki nie zdołały ich nigdy z wszystkich sal usunąć.

Ten improwizowany jeszcze i zmieniający się ciągle z postępem budowy rozkład mieszkań za Zygmunta Starego — ustalił się dopiero za następnych władców Wawelu, od Zygmunta Augusta do Zygmunta III, i wtedy pałac krakowski przybrał już tradycyjne wewnętrzne urządzenie, które do końca XVII w. dotrwało. Według tego układu parter, czyli — jak współcześnie mówiono — „gmachy niższe“, przeznaczono na najrozmaitsze kancelarie, z właściwym dworem nie mające żadnego albo tylko pośredni związek...

Wbrew tradycji średniowiecznej, pierwszego piętra, tj. „gmachów średnich“, nie uznano także za odpowiednie mieszkanie królewskie. Można by je nazwać chyba piętrem dworzan królewskich. Od zachodu była tu apteka i infirmeria — od północy izba wielka sreber stołowych, a od wschodu „izba wielka, gdzie fraucymer królowej Jej Mości jadał“. Za nią zaś na rogu, ku sadowi i winnicy, były dwa pokoje z pułapem staroświeckim złocistym z czasów królowej Bony, w których koło r. 1615 mieszkała królowna szwedzka Anna, siostra Zygmunta III. Pułap staroświecki w tych pokojach zachował się poniekąd do dzisiejszych czasów. Najważniejszym jednak pokojem tego piętra był przesliczny gabinet sześciookienny na Kurzej Nodze, w narożniku między stroną północną a wschodnią zachowany z pałacu średniowiecznego i szczególnie bogato za Zygmunta III urządzony. Miał on posadzkę marmurową, pułap rzezany złocistą robotą, w nim włoskie piktury. Miasto fryzu, umieszczono dokoła jedenaście obrazów włoskich z ramami złocistymi.

Dopiero drugie piętro, tzw. „gmachy wyższe“, *habitationes supremae*, uznano za odpowiednie na mieszkanie królewskie i tu zarazem urządzono główne sale reprezentacyjne. Drugie piętro budzi najwyższe zajęcie każdego zwiedzającego. Od zachodu były tu pokoje królowych, wśród nich tzw. w inwentarzach pokój Pod Panną albo Meluzyną, ozdobiony wielkim świecznikiem z rogów jelenich, z panną malowaną i aniołkami, zawieszonymi na łańcuszkach u stropu. Świecznik sprawiono w r. 1536. W tej części pałacu mieszkała i umarła bohaterka tyłu dramatów polskich, królowa Barbara Radziwiłłówna. Od północy mieściły się dwie najważniejsze sale reprezentacyjne, tj. sala senatorska, ośmiookienna, z podniebieniem złocistym, staroświeckim, z rzezanymi różami, zaopatrzona w ławy dla senatorów, używana jednak także na bale i zabawy dworskie... R. 1592 kazał w niej zbudować Zygmunt III biały ganek drewniany z balaskami dla muzyki i stąd widocznie zwano ją niekiedy „tanecznicą“. Druga sala reprezentacyjna na tym piętrze nosiła nazwę pokoju orłowego i była przeznaczona na sądy królewskie. Miała, jak wszyst-

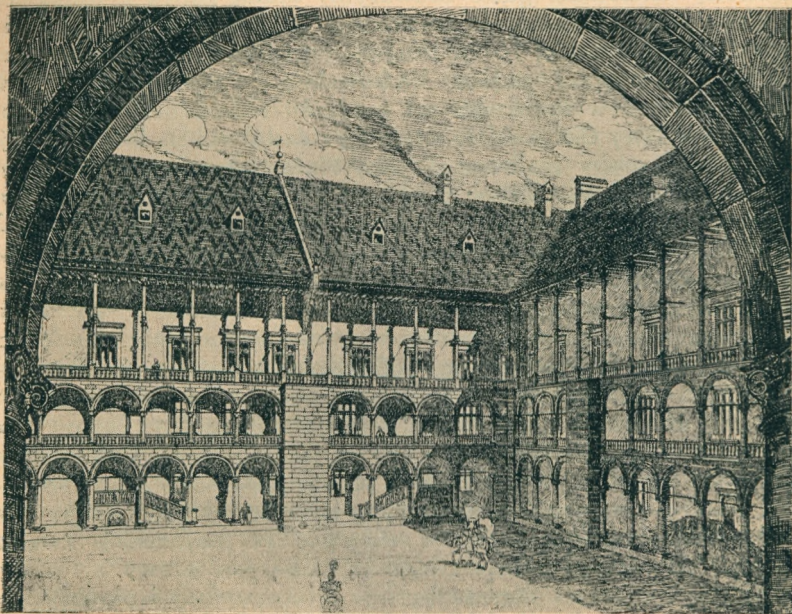
kie okazalsze sale zyguntowskie, podniebienie malowane złociste i ozdobiona była szczególnym orłem złocistym, poruszającym skrzydłami przy powiewie wiatru. Najozdobniejszym jednak pokojem północnego traktu był pokój pod ptakami, należący już do prywatnego mieszkania króla. Było w nim pełno obrazów w ramach złocistych, na suficie, wzdłuż sufitu i nad drzwiami, i jak inne pokoje miał zarazem sufit złocisty, z którego na drutach zwisały się rzezane ptaki i inne figury.

Opuściwszy prywatne mieszkanie królewskie z rozmaitymi gabinetami i maleńką kapliczką dworską, przechodzimy wreszcie na stronę wschodnią, gdzie zauważymy altanę-ganek z widokiem na Kraków — a następnie wejdziemy do najświetniejszej, sześciokiennej, przeszło 16 m długiej a przeszło 12 m szerokiej sali reprezentacyjnej pałacu krakowskiego, *stuba maior*, czyli izby poselskiej, w narożniku od wschodu i południa. Była zaopatrzona w ławy dla posłów, miała fryz ozdobny, na którym znajdowały się „osoby malowane“ ręką Hansa Duerera, brata sławnego malarza niemieckiego; przykuwała zaś przez dwa wieki wyobraźnię naszych posłów sufitem najwspanialszym ze wszystkich sufitów na zamku. Był on także w kasetony z różami, jak inne sufity krakowskie, ale w 190 skrzyńcach miał głowy rzeźbione najrozmaitszych pomysłów — idealne, portretowe i karykaturalne, pomyślane zapewne trochę w smaku odrodzenia niemiecko-frankońskiego. W środku tego sufitu były trzy Orły polskie, Pogoń i herb królowej Bony a spośród nich zwieszał się wielki świecznik mosiężny (lustr) ze lwem trzymającym herby Korony i Litwy... Urządził ją r. 1540 Seweryn Bonar, wielkorządca krakowski i zasłużony finansista i prawa ręka Zygmunta Starego przy budowie pałacu krakowskiego. Była to najświetniejsza izba zamku krakowskiego, zapewne dlatego, że najliczniej uczęszczana. W potocznej mowie zwano ją „izbą pod głowy“...

Pałac Zygmunta Starego był nie tylko zasobny i okazały wewnątrz, ale uzyskał niezwykłą ozdobę w krużgankach i arkadach (32), biegnących omal nie wokół całego wielkiego i przestronnego dziedzińca zamkowego. Wsparte na kilkumetrowych okrągłych kolumnach, z kapitelami na parterze jakoby jońskimi, a na pierwszym piętrze jakoby korynckimi, wszędzie wdzięcznymi i pełnymi smaku, na drugim piętrze tworzą strzelistą kolumnadę osobliwych koszyczkowych, podwójnych, niesłychanie lekkich kolumnienek, podpierających strop drewniany dachu i wywierających upajające wrażenie lasu jodeł, z pewnością i dumą wznoszących się ku błękitom. Pomysłem i wykonaniem tego krużganku utrwalił się na zawsze w historii budownictwa odrodzenia znakomici architekci zamku krakowskiego, Franciszek Lori, Benedykt Sandomierzanin i Bartłomiej Berecci. Tak piękny dziedziniec nie łatwo znaleźć na świecie. Nawet *Cortile S. Damaso* w Watykanie nie wywiera tak porywającego wrażenia. Był on

świadkiem licznych gonitw i turniejów, o których często czytamy w opisach wesel i koronacyj XVI w...

Dodać może nie zawadzi, że pałac Zygmunta Starego był kryty dachówką różnobarwną, którą następnie usunięto; że, dalej, dziedziniec jego był w późniejszych czasach oświetlany siedmiu kagańcami, przytwierdzonymi do słupów arkadowych, i że królowa Bona dla rozrywki własnej i wszystkich mieszkańców urządziła na stokach Wawelu mały ogródek, winnicę i ptaszarnię dla swych córek, a inni panowie zamku stworzyli sobie małą mezażerię, figarnię i plac gry w piłkę.



Podwórze zamkowe na Wawelu, rekonstrukcja Sławomira Odrzywolskiego

Za Zygmunta Augusta pałac na Wawelu nie doznał żadnych zmian, chyba co do wewnętrznych urządzeń, zwłaszcza że ten król w Krakowie na stałe osiedlić się nie myślał. Na wesele z Katarzyną mantuańską kazał ozdobić sześć pokojów, pokój średni i sypialnię, przepysznymi, jedwabnymi arasami złotem przetykanymi, pomysłu Bernarda van Orleya, sprowadzonymi z Flandrii. Przedstawiały one potop, zabójstwa Abla, pobyt pierwszych rodziców w raju i dzieje Mojżesza. W rysunku, układzie i krajobrazach tych arasów zachodzą pewne przypomnienia z Rafaela, bo van Orley był jego uczniem. Dużo bardzo miłych kolorów, pełno powietrza, pięknie narysowane główne figury, drobne szczegóły czasem zdumiewająco zgrabnie i dokładnie wy-

konane, prześliczne, bujne i bogate obramowanie, cechują te opony znacznych rozmiarów, na wielkie ściany sal krakowskiego zamku przeznaczone...

Współcześnie także sprawił Zygmunt August śliczne meble do salonów, ładnie rzeźbione i materia brokatową z herbem Polski i Litwy kryte. W garniturach znajdowały się kanapy, fotele, taburety, nieco innych wymiarów niż te, do których jesteśmy przyzwyczajeni, ale ostatecznie wywierające to samo wrażenie, co nasze wytworne meble salonowe.

KAPLICA ZYGMUNTOWSKA

Maks. i St. Cerchowie, Pomniki Krakowa, tekst Feliksa Koperę,
t. II — wyjątki

Dziełem włoskich artystów jest „perła sztuki odrodzenia z tej strony Alp“, Zyguntowska kaplica. Stała ona na miejscu kaplicy Wniebowzięcia Najśw. Panny Marii, którą fundował Kazimierz Wielki r. 1340. Zygmunt I kazał na tym miejscu wystawić nową kaplicę pod wezwaniem N. M. Panny.

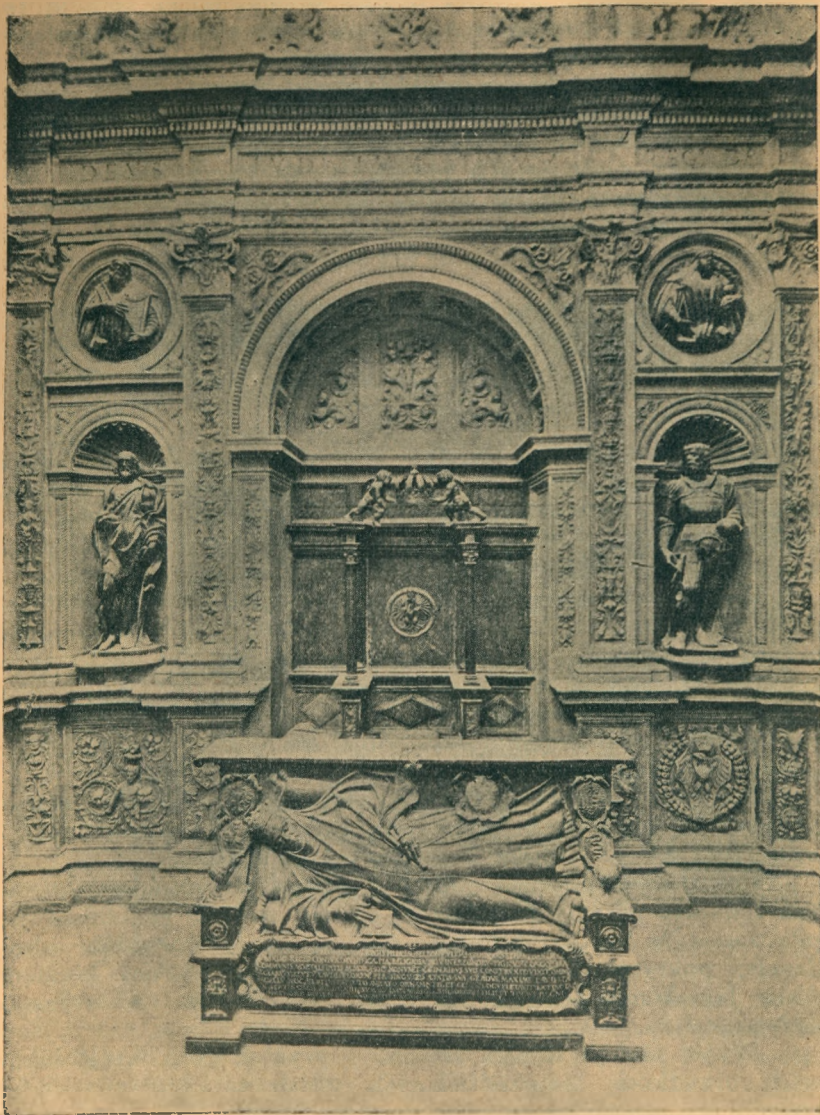
Zewnątrz w dolnej części przedstawia się kaplica jako budowla kwadratowa bez okien, poprzedzielana bardzo starannie opracowanymi pilastrami wspartymi na cokole. Na architrawie znajduje się data 1520 i napis: *Domine dilexi decorem domus Tuae*. „Panie umiłowałem ozdobę Twojego domu“. Inny napis brzmi: *Non nobis Domine, non nobis, sed nomini Tuo*. MDXX. „Nie nam, Panie, nie nam, lecz imieniu Twemu“ 1520.

Pomiędzy pilastrami mieszczą się rozmaicie ukształtowane pola, jedno wypełnione jest tarczą herbową z orłem przepasanym literą S, pod którym mieści się napis łaciński...

Ponad czworoboczną podstawą wznosi się ośmioboczny bęben z oknem okrągłym na każdej stronie, naroża ozdobione są pilastrami. Na bębnie wznosi się kopuła, ideał architektów odrodzenia, pokryta miedzianą łuską, pozłoconą później kosztem Anny Jagiellonki roku 1550, która też dodała trybowanego srebrnego orła.

Wyżej jeszcze stała latarnia o wydłużonych okrągłolukowych arkadkach poprzedzielanych pilastrami, których wnętrza wypełnione są sznurowym ornamentem. Dach latarni nakrywa metalowa korona...

Całej tej konstrukcji zewnętrznej odpowiada wewnętrzna, w ogóle każda ze ścian dolnej kwadratowej części dzieli się w kierunku pionowym na część środkową z nyzą, złożoną z łuku wspartego na impostach i dwu części bocznych, ujętych pilastrami, między którymi znajduje się nyzą z figurą stojącą, a ponad nią medalion z piersiem. W poziomym kierunku każda ściana



Kaplica Zygmuntowska, pomnik Anny Jagiellonki

składa się z cokołu, na którym wspierają się pilastry, a między nimi stoi nyża, a wreszcie gzyms i architrav.

We wschodniej nyży znajduje się ołtarz, naprzeciwko niej od strony zachodniej grobowiec Zygmunta Starego i później dodany grobowiec Zygmunta Augusta. Pierwotnie jednak na

wysokości cokołu znajdował się sarkofag z postacią Zygmunta Starego, który następnie podniesiono w górę, ażeby zrobić miejsce pomnikowi Zygmunta Augusta.

Od północnej strony zapewne znajdowały się stalle, od południowej, tj. od strony kościoła, wejście.

Figury stojące w niszach przedstawiają drugorzędnych patronów kaplicy, tj. Piotra i Jakuba apostołów, Floriana, Władysława, Zygmunta i Jana Chrzciciela, a medaliony czterech ewangelistów i królów Dawida i Salomona. Natomiast ołtarz wiązał się z głównym wezwaniem Boga i Najświętszej Panny Marii przedstawiając sceny z życia Matki Bożej i Jej Syna. Na ołtarzu także dodatkowo znajduje się jeszcze postać świętego Wojciecha, który należał do grupy patronów kaplicy, aczkolwiek pod względem treści nie wiąże się z całością ołtarza. Jako pendent dla wypełnienia przestrzeni na tym samym ołtarzu umieszczono św. Stanisława. W ten sposób dwaj patroni Polski znaleźli się na ołtarzu. W narożach umieszczono herby Orła, Pogoni, Orła literą S przepasanego i herb Sforzów.

Bęben i jego okna, kopuła zarówno jak i dolne części, w ogóle wszystkie pola, o ile nadawały się do dekoracji, zostały pokryte rzeźbionymi ornamentami, wreszcie na sklepieniu latarni jest napis:

Bartholomeo Florentino opifice.

„Dzieło Bartłomieja z Florencji”.

Rzeźby kaplicy zygmuntońskiej należą do najpiękniejszych objawów rzeźby polskiej, a dekoracja groteskowa w ogóle do najpiękniejszych zabytków w tym rodzaju.

Pod względem proporcji architektonicznych części, wywiązania się z konstrukcji kopuły, kaplica Zygmuntońska należy do arcydzieł odrodzenia. Wywarła ona też ogromny wpływ na sztukę odrodzenia w Polsce.

II

KSIĄŻKA POLSKA W XVI WIEKU

Aleksander Brückner, Dzieje kultury polskiej, t. II,
wyjątki

Czym był Kraków dla Polski szesnastowiecznej, dowodziła najwidoczniej książka, stojąca wyłącznie, do połowy wieku przynajmniej, jednym Krakowem. Księgarzy, bibliopolów, co zarazem np. winem handlowali, było sporo w Poznaniu, Lwowie czy Wilnie, ale nakładców i drukarzy znał tylko Kraków i starał się przywilejami królewskimi swój monopol wydawniczy zabezpieczyć, szczególnie Jan Haller, zrazu tylko księgarz i nakładca drukujący w Niemczech i Francji mszały, brewiarze itd. dla diecezji polskich, aż w końcu i drukarnie krajowe urządził. Drukarstwo to sztuka czy przemysł niemiecki, więc zalali drukarze Niemcy, szczególnie Ślązacy, Polskę: Ungler (Bawarczyk), Scharffenbergerów i Siebenajcherów rodziny w kilku pokoleniach, Wietor z Libentalu między nimi najznacniejsi; krajowe papiernie pod Krakowem i indziej dostarczały materiału, „bukstaby“ odlewano za granicą, a później i na miejscu, a drzeworytami zaopatrywano się obcymi, nim własni znakomici krakowscy „formkrawacze“ (po których zbiór klocków do dziś się zachował) dorosli. Dzieła drukowano w bardzo nierównej liczbie egzemplarzy, nakłady kalendarza liczyły od 3000 do 6000, dzieł uczonych od 300 do 500 egzemplarzy... Jeszcze w pierwszym dwudziestoleciu bito wyłącznie po łacinie dla duchowieństwa i żaków (podręczniki naukowe i wiersze łacińskie, pisemka autorów starożytnych — pierwszy druk grecki r. 1536) — dopiero od r. 1521 stale drukowano po polsku dla dorosłych dzieci; po łacinie dla dojrzałych.

Ale ruch wydawniczy był słaby, liczby druków roczne były stale niskie, dopiero za reformacji nagle wzrosły. Szerzyła się ona na razie propagandą książkową, którą tamowały edykty królewskie, rewizje biskupie, cenzura duchowna, stale obostrzane, ale mało skuteczne. Wychodziły za granicą... Od przybycia Jana Seklucjana do Królewca zaczęli drukarze królewieccy zalewać Polskę protestanckimi drukami, tak dalece obliczonymi tylko na

wywóz do Polski, że w całych Prusiech Książęcych, w Królewcu np., niemal ani jeden ich nie ocalał egzemplarz... Na lat siedem, osiem (1545—1552) stał się Królewiec centrem druków polskich. Jeszcze w r. 1551 mogły władze duchowne w Krakowie wycofać z druku księgi Fryczowe o kościele i szkole, które on wydał w Szwajcarii, ale niebawem zerwano wszelkie zapory, i pińczowskie, brzesko-litewskie (radziwiłłowskie) druki, w końcu i krakowskie Wierzbiczy-Weidnera zalały całą Polskę. W najdalszych zakątkach, Szamotułach, Grodzisku, Nieświeżu, Węgrowie, Łosku itd. urządzano drukarnie dla wszelkich zborów. Każda „sektą” bowiem dbała o własne kancjanały, modlitwy, wyznania wiary, jej apologię i polemikę z innymi...

Druki szesnastowieczne przedstawiają się okazałe, przynajmniej w znacznej liczbie: dobry papier, czcionki nie zużyte, staranna korekta zalecają je powszechnie; druki Łazarzowe, katolickie (Łazarza Andrysa lub Andrysowica), i Wierzbiczyne, protestanckie, równają się najlepszym paryskim. Do dzieł większych i kosztownych brali się jednak nasi drukarze mniej chętnie... Drukarstwo uchodziło za celną sztukę i nie podlegało cechom; nierzadkie też nobilitacje drukarzy: Paprocki w „Herbach” pisze o drukarstwie, „które jest *ars* między innymi, tak iż nie tylko *plebeium*, ale *vere ipsum nobilem* nie szpeci”. Drukarnie polskie zniszczyła w wieku XVII konkurencja zakonnych, szczególnie jezuickich, wolnych od podatków. Najbardziej popłacały kalendarze profesorów krakowskich, Mikołaja z Szadka i innych, przez cały wiek...

Wychodziły te kalendarze rok rocznie pod wszelakimi tytułami, np. „Wysłowienie znaków niebieskich... na rok 1528 złożone”. „Osądzenie spraw niebieskich sławnej nauki krakowskiej na r. 1529” itd...

Sława „almanachów” krakowskich przetrwała wieki, jeszcze w połowie XIX w. wydawano stale w Wiedniu obszerny *Krakauer Schreibkalender*.

W Poznaniu introligator, potem księgarz, Jan Patruus z Koła, szczególnie zaś syn jego Jan, byli obaj katolicy, gdy inni księgarze, np. Fenik, byli luteranie (z Fenikówną ożenił się Seklucjan); młodszy Jan, nakładca dzieł Hozjuszowych, drukowanych w Moguncji i Dylindze, jeździł z książkami po wszystkich jarmarkach polskich, a utrzymywał filie księgarskie w Łęczycy i in.; sam jednak mało drukował, człowiek bardzo ruchliwy, handlujący, jak inni „bibliopole” poznańscy, i innym towarem (lnem, futrami)...



ŻYWOT I SPRAWY POĆCIWEGO ŚLACHCICA POLSKIEGO, MIKOŁAJA REJA Z NAGŁOWIC

który był za sławnych królów polskich: Zygmunta Wielkiego, pierwszego tym imieniem króla polskiego, a potem za Zygmunta Augusta, syna jego, także wielkiego i sławnego króla polskiego; który napisał Andrzej Trzeciński, jego dobry towarzysz, który wiedział wszystkie sprawy jego.

(Skrót)

Ten to Mikołaj Rej wyszedł był z staradawnego a poćciwego domu, które zawsze Rejmi zwano, którzy się zawsze pisali z Nagłowic, ze wsi ziemie krakowskiej, powiatu księskiego, niedaleko rzeki Nidy. A ci to Rejowie byli z staradawna herbu Okszej, który to herb zaniósł był do Polski niejaki Nankerus Słęczak, który to jeździł w poselstwiech do królów polskich, i potem mu się w Polsce spodobało i tu był osiadł i był biskupem krakowskim i ten kościół wielki, jako teraz sam w sobie jest na zamku krakowskim, on z gruntu zbudował. I wiele potem to tych Okszców do Polski się za nim było przyniosło, których i po ty czasy dosyć jest. A był to naród tych Rejów zawsze cichy, skromny, poćciwy, nie bawiąc się nigdy żadnymi świeckimi sprawami, tylko zawsze spokojnego a poćciwego żywota swego szlacheckiego używali. — — —

A ten to Mikołaj Rej miał ojca Stanisława z tychże Nagłowic.

A ten Stanisław, ociec tego tu Mikołaja, udał się był na rycerski chleb do ziem ruskich, tamże się z młodości parał — i tamże się był pierwszą żoną ożenił z narodu Buczackiego. Która gdy mu umarła, pojął był drugą żonę, tamże w Rusi, z imieniem niemałym, Barbarę Herburtównę, z domu z dawna sławnego Fulsztyńskiego, siostrę rodzoną Herburta Odnowskiego, kasztelana bieckiego i starosty sądeckiego, herbu trzech mieczów w jabłku, która była została wdową po zacnym człowieku, po Żurawińskim, którego byli pojмали Turcy na Bukowinie za Aleksandra króla, który potem tamże w tym więzieniu w kilka lat umarł. — Tamże w Rusi potem mieszkał. Tamże się mu z tej Herburtówny urodził syn, ten to Mikołaj, w miasteczku Żurawnie, które dzierżał, nad Niestrem, niedaleko Żydaczowa, w mięsopustny wtorek roku Bożego 1505. Tam w tym Żurawnie ten Stanisław Rej umarł i tamże leży. A tu dzierżał w krakowskiej ziemi Topołą, Slanowice, Bobin, ale tu barzo rzadko bywał.

A iż to był człowiek pobożny, poćciwy a spokojny, a nie parał się żadnymi sprawami ziemskimi, także też i o wychowanie tego syna mało dbał, bo jednegoż miał, także ji przy sobie chował aż do niemających lat, że go byli potem ledwie namówili, iż go był dał do Skarmierza do szkoły, iż tam było blisko jego wsi Topolej. Tamże był dwie lecie, i nic się nie nauczywszy

wziął go był zasię do domu, i potem go był dał do Lwo-wa, i tam się też nic nie nauczył bawiąc się między przy-jaciami, bo już był podrosły, a był tam dwie lecie... Potem go dał do Krakowa, i był rok w bursie Jeruzalem, też mu mało albo nic nie pomogło, bo już rozumiał, co to jest dobre towarzystwo.

I zdało się ojcu, iż już był nauczony człowiek, a on przed-się, jako dawno, nic nie umiał; wziął go zasię do domu, do onego Żurawna. Tamże z rucznicą a wędką biegając około Niestru, aż do ośmnaście się lat ćwiczył bąki strzelając. A gdy przyniósł pełne zanadra płocic, laskowych i wodnych orzechów, a kaczora albo gołębia albo wiewiórkę za pasem, to go z onej koszule z pło-skonek roztrząsali, rozpasawszy, ano wszystkiego dobrego do-syć. To się tu w nim kochali mówiąc: „Nic nasz Mikołaj, nic, ba, nie zależyć ten na starość gruszki w popiele.“ Ano prawdę mówili, bo było prawie ze wszystkiego nic. Potem go posłali do Topolej do stryja, aby go był wyprawił gdzie na służbę, i kupili mu kitajki na kabat na wyprawę, a on się jął brogiem wron ło-wić, a nim mu uszyto sukniej, tym onę kitajkę wykrajał na pro-porczyki, a czyniąc drzewca z onymi proporczyki, przywieszował wronam do szyje, a do ogona, pod skrzydło, a żywo je puszczał, tak że z onymi proporczyki latając wygnały ine wrony i kawki precz, że szkody w gumniech nie czyniły. A ten dla kabata rok przy urzędniku musiał mieszkać, aż ojciec przyjechawszy, toż mu iny sprawił, a pan młody się ćwiczy koło brogów z wronami. I dał go potem już we dwudziestu lat do pana Andrzeja Tę-czyńskiego, który natenczas był wojewodą sędomirskim, a był to człowiek zacny i mądry, acz był wzrostem mały, ale głowę wielką miał.

Tam potem będąc, począł go pan w listy polskie wprawo-wać, bo łacińskiego języka barzo mało, albo nic nie umiał. Tamże potem z listów, z rozmów, między pisarzmi, z czytania, a snadź więcej z natury, jął się już był przegryzować po trosze i łacińskiego pisma czytać, a czego nie rozumiał, tedy się pytał. Także potem z onego zwyczaju począł po trosze rozumieć, co czytał, a Bóg a natura ostatka dodał, iż był przyszedł potem *ad iudicium*, iż wždy już rozumiał, co czarno, a co biało. Jedno już mu to wiele przekazało, iż był zawždy zabawion towarzystwem a mu-zyką tak z natury, że rzadkiej której nie umiał. Teksty dziwne a wirsze rozmaite tak nic się nie rozmyślając czy-nił. A był pan barzo ciekawy z młodu, że nigdy na jed-nym miejscu długo posiedzieć nie mógł, a myślistwo mu też wiele przekazało.

Potem zasię, odstawszy od onego pana, parał się znowu między przyjaciół w Rusi, ale nigdy nie służył, a wszakoż był zawždy pilen hetmana, który był natenczas zacny człowiek, Mi-kołaj Sieniawski, wojewoda bełski, potem ruski; rad by też był

widział, co ludzie zacni czynią, ale mu się tego nigdy pozdarzyć nie mogło. Bo był tak fortunny, albo też niefortunny, że powiadał, iż nigdy za żywota jego taka nań potrzeba nie przyszła, aby był powinien korda swego dobyć, chyba w rozwadzeniu. A to był pan barzo ciekawy, jedno iż był wielkiego zachowania a dworski, a nigdy żadnej przyczyny z siebie nikomu do złego nie dał; tak tego około siebie przestrzegał.

Potem się był ożenił, pojął był z imieniem niejaką Kościelnównę z Sędziszowa tu w krakowskiej ziemi, siestrzenicę arcybiskupa Rożego, który był, powinowatym swym niemało imienia nakupił; także się też jemu było dostało w chełmskiej ziemi Kobylskie imienie i Siennica. Tamże to w tym imieniu, więcej go potem dostawszy, przemieszkiwał, i tamże był założył miasteczko niedaleko Chelma, przezwiskiem Rejowiec. A wszakoż tu do krakowskiej ziemi barzo go zawždy przyrodzenie ciągnęło dla dworu, bo bez tego być nie mógł, a żadnego sejmu, zjazdu, ani żadnej koronnej sprawy nie zamieszkał. I był nań stary król barzo łaskaw, także i królowa Bona, i dał mu był jurgielt i stacyą skarmierską i wieś, także i wszyscy panowie barzo ji radzi widzieli i wiele mu dawali. Także potem od arcybiskupa Gamrata dzierżał Kurzelów i Biskupice. A urzędem żadnym ziemskim nigdy się nie chciał parać; powiedział, iż w zatrudnionym żywocie dwa to naślachetniejsze klenoty ociążone być muszą, wolność a sumnienie, które powiadał, iż w zabawionym żywocie nigdy bezpieczne być nie może. A wszakoż, kiedy rozumiał, iż tego była potrzeba, bywał posłem i barzo rad służył Rzeczypospolitej, bo już ze zwyczaju rozumiał i sprawy koronne i prawo pospolite. Ale się nie chciał żadną rzeczą bawić, tylko wolny a spokojny żywot sobie obierał, a z Polski też jako żyw za żadną granicę nie wyjechał, chyba w Księstwie Litewskim bywał i to barzo mało.

Potem się parał około króla onego sławnego Zygmunta Augusta, który mu też był iście miłościwym panem, i dał mu był jurgielt na chełmskim mycie, i wieś mu był dał. — — —

Potem tu w krakowskiej ziemi nad Nidą założył był miasto przy Nagłowicach, przezwiskiem herbu swego Okszą, i niemało był imienia tam potem przykupił. — — —

Pisał Postyllą polskim językiem, bo acz był nieuczony, ale z czytania i ze zwyczaju tedy mu to już snadnie przychodziło, w której niczym nie allegował dla lepszej pewności jedno Starym a Nowym Zakonem. — — — Pisał też przy tym Katechizm dyjalogiem, ludziom młodym potrzebny. Przełożył też Psalterz Dawidowy i z modlitwami, który też barzo radzi ludzie i czytali i śpiewali. Pisał też Żywot i sprawy onego Józefa, żydowskiego patryjarchy, cudnymi i ozdobnymi słowy, który też ludzie barzo radzi widzieli. Pisał też *Spectrum* albo nowy czyściec, aby się ludzie z starych błędów obaczali. Pisał też pod figurą Kupca na-

dobną sprawę człowieka krześcijańskiego. I pisał też *Apokalipsim* Jana świętego cudnym polskim językiem z wykładem zacnego a uczonego doktora w piśmie świętym, Henryka Bulingera. Pisał też książki nadobne o potopie Noego, dzisiajszym czasem barzo potrzebne a pożyteczne.

Napisał też dla dworskich ludzi nadobne księgi Wizerunk, z którego wiele każdy i nauczyć i obaczyć się mógł. Pisał też potem Zwierzyniec stanów ślacheckich, którzy natenczas żywi byli poćciwie, krótkimi słowy, które tylko w ośmi wirszach zależały, ozdabiając. Pisał też dla białych głów Zatargnienie fortuny z cnotą, z których snadnie mogły swym powinnościam zrozumieć. Pisał też dla dobrych towarzyszków dyjalogi rozliczne, Kosterę z pijanicą, Warwasa z Dykasem, Lwa z Kotem, Gęś z Kurem. Pisał też zasię dla kmiotków Wójta z Panem a z Plebanem, jako się też o swych doległościach rozmawiają. I wiele inych rzeczy pisał, co ich poginęło, i księgi niemałe *De neutralibus* w Brześciu Litewskim i z impresorem utonęły.

A na ostatek już we wszystko się ochynawszy, pisał księgi Żywota człowieka poćciwego, rozdzielony na trzy wieki jego, to jest młody, średni i stary, jako się ma poćciwy człowiek, na każdym stanie będąc, w swej powinności zachować. Napisał też Narzekanie na nierząd Polski. Przy tym *Apophtegmata* rozmaite. Przemowę do poćciwego Polaka stanu rycerskiego. Przy tym też Zbroję rycerza krześcijańskiego. Na ostatek Żegnanie z światem. A wszakoż na żadnym piśmie swym ani się podpisać ani swego imienia wspomnieć nie chciał, powiedział, iż się tego wstydał, iż był nieuczony, a miotał się prawie jako z motyką na słońce. A co tych pieśni i nabożnych i świeckich, wirszów rozlicznych, *Epitaphia* ludziom poćciwym, także też i na herby ich, to temu i liczby nie było, bo mu to ze zwyczaju a z natury tak snadnie przychodziło, że tego przez jedną noc napisał, co chciał, bo we dnie nie mógł, bo był barzo ludźmi zabawiony: panięta a ludzie młodzi zawždy się około niego bawili, bo był człowiek poćciwy, zachowały, dworski, znajomy wszem, a byli nań ludzie zacni barzo łaskawi. A żadnego stanu mieć nie chciał, tylko był sobie żywot wolny a spokojny obrał, będąc *nemini molestus*, tak że się nigdy nikt nie ozwał, kto by był nań kiedy o co poskarżyć miał; sam się każdemu osądził i usprawiedliwił. Także sobie wszystko tuszył, iż się już w żaden inszy stan ani w żadne zawikłane sprawy nigdy wdać się nie miał, jedno iż tak spokojnego a wolnego żywota swego używać miał. Bo acz to był pan z młodu barzo ciekawy a bezpieczny, a barzo mu świeatek smakował, ale już był potem skromny, trzeźwy, spokojny, tylko się już był na wszym na wolny żywot udał, a wszakoż co czas przyniósł i Rzeczypospolitej i przyjacielskiej posługi nigdy nie omieszkał. Tamże w tej Okszy, którą sobie fundował i kościół zbudował, powiedział, iż

miał wolą swe kości położyć, Panu Bogu wszystko poruczywszy, tak, jako o tym nadobnie w onych wirszoch, rozmawiając się z światem, napisał. A toć była wszytka sprawa żywota, postępów i spraw tego poćwięgo ślalczica polskiego.

JAN KOCHANOWSKI

LIST DO STANISŁAWA FOGELWEDERA

Mój Łaskawy Panie Fogelweder (a w tym imieniu wszytkie prelatury wszytkich kościołów zamykam), służby swe w łaskę W. M. zalecam. *Ille ego, qui quondam singulis fere septimanis tabellarium ad te Varsoviam mittebam*, teraz już rzędziej i to okurrentów czekam. *Qui fit Maecenas? Usque metu micuere sinus*, kiedym w liście nalazł: „Król JeoM. już pozwolić raczył“, ba, to już, rękę, nie śmiech; nie będzie mi ten mówił: radzę, rozmyśl się na to dobrze. Tak, żeciem chwilę był *raptus*. Alem przedsię z dawną swą fantazyją został. A iżeś mi W. M. napisał, że takie rzeczy *praesentiam postulant*, chciałem był tam W. M. tymi czasy nawiedzić. *Ale dum molior*, coraz tym bardziej około powietrza w Mazowszu ludzie coś natrącają. A tak, żebych nie został przed bramą, jako Bergamaszek, wolałem sam doma poczekać, zwłaszcza że i sejm podobno niedaleko i moja rzecz snadniej by tam poszła, kiedy będziem w kupie. Więc nie wiem, jeśli to dobrze wymyślił; *aveo scire, quid tu sentias. Solus viri molles aditus et tempora noras*. Psalterz, iżeś W. M. obiecał, dobrześ to W. M. uczynił; *quid enim promittere taedit*, ale póki go czekać? Ześ W. M. kresu nie założył, i to jest nieźle. Bo to Hessus trzy lata robił, a przedsię źle. *Utrumque est*, nie wiem, co za oracyją postowie na witanu królowi JeoMci przyniosą na sejm; ja się o trzydzieści psalmów staram, *tractant fabrilia fabri* (trzydzieści, mówię i z dawnymi, bych zaś w nieprawdzie nie został). Co się tycze reguły, którąś mi W. M. napisał, abych jej strzegł *in vertendo*, jest bardzo dobra i pewna. Jeno ja miewam czasem pisząc wizyje: ukazują mi się dwie boginie, jedna jest *necessitas*, *clavos trabales et cuneos manu gestans ahena*, a druga poetyka, *nescio quid blandum spirans*. Te dwie kiedy mię obścapią, nie wiem, co z nimi czynić. *Formido quid aget, da Venus consilium*. Wiem, że takich fraszek do W. M. uszu nikt nie przynosi, jeno ja sam, ani on Mojżesz, abo raczej Gdańszczanin, *in arduis illius Reipub. negotiis ad te amandatus*. Ale iż W. M. też w liście swym *Musas* nie przepominasz, tym śmielej ja też *earum* w liście swym *memini*. Wszakże, aby z onych wierszów *posteritas* czego takiego o W. M. nie rozumiała, miasto Mojżesza włożyłem Schenschmida, bo ten czasu swego był *in aula frequens*. *Et tibi Schenschmid haeret iam pridem, qua via cumque comes*; bo jeśli W. M. pom-

nisz, był silny importun. JeoM. księdza referendarza by pytać: jeno że snadź nie od Gdańszczan przyjeżdżał, ale od Elblązan, i zatem boję się, aby nie było *minus auctoritatis* w tej personie, iż to od mniejszego miasta. Wszakże jeszcze tego nie drukuję, będzie czasu dosyć poprawić, *si videbitur*. Tak my sam na wsi, kiedy już zasiejemy, komin wkoło obsiedziemy, a lada co i mówimy i piszemy. *Tu frontem nugis solvere disce meis*. Zatem bądź W. M. po staremu łaskaw.

Dat z Czarnolasu 6 octobris 1571

W. M. życzliwy przyjaciel i sługa

J. Kochanowski, proboszcz poznański.

SOBÓTKA

Oskar Kolberg, Lud, seria XX, Radomskie — wyjątki

...W wigilię św. Jana, na kilka godzin przed rozpoczęciem sobótki, każda z dziewcząt gałązkami bylicy oraz liśćmi łopianu przystraja czyli ubiera chałupę, w której mieszka, w taki sposób, iż gałązka bylicy i liść łopianu założone są na przemian i przeplatają się wzajem... Ziola te zwieszono tam są, póki nie zwiędną. Z pozostałych gałązek bylicy bierze jedną dłuższą, opasuje się nią koło bioder, i tak opasana idzie na sobótkę...

Tymczasem parobcy i starsze chłopaki udają się wraz z grajkami na obrany kawałek ugoru równego za wsią lub na łąkę, rzucają na ziemię chrust i suche gałązki i poczynają robić przygotowania do rozpalania ognia zdartą ze strzech słomą i starym płótem zabranym gospodarzowi mimo jego woli i wiedzy.

Gdy się wszyscy poschodzą (a przybywają i starsi, by się z dala tej zabawy przypatrzeć), skrzypek zaczyna grać, a chłopaki i parobcy biorą się do rozpalania ognia. Jedni go rozpalają, drudzy zaś psocąc i bijąc ich usiłują im ogień ten rozrzucić i zagasić. Dziewuchy, widząc, że chłopcy zbyt długo bawią się bitwą i psotami i ognia rozniecić nie zdołają, same chwytają leżące tuż obok pęki słomy i rzucając je na żar, duży rozpalają ogień. Bylicy jednak na ten cel nie używają. Wtenczas chłopcy poprzestają waśni i rozpędziwszy się, przez ogień ten przeskakują; dziewczuchy zaś biorą się za ręce i robią koło, a chodząc naokoło ognia śpiewają. Chłopcy przy przeskakiwaniu uważają dobrze na śpiew dziewcząt, głoszący: która z nich któremu ma się dostać.

Nadmienić tu wypada, że wtedy, gdy która z dziewczyn, trzymających się za ręce i chodzących wokół, ma śpiew rozpoczynając, całe ich grono stawa tak, aby śpiewająca była przed skrzyp-

kiem, który intonuje wiadomą mu już melodię; śpiewaczka piosnkę do niej stosowną odśpiewuje; po skończeniu tej piosnki całe dziewcząt koło obraca się na nowo dalej, chłopcy zaś skaczą jak poprzednio.

Dziewczęta chodząc w koło, śpiewają:

Sobótecka, mała nocka,	Haftowała, wysywała,
pałała się do półnoka.	komuzci ją darowała?
Marysia się nie wyspała,	Jakowemu, takowemu,
bo chusteckę haftowała.	Jasieniowi nadobnemu.

Po skończeniu tej pieśni rozpoczynają inną...

PIEŚNI DOŻYNKOWE

Ze zbiorów Oskara Kolberga

(Krakowskie:)

Niesiemy wian wedle ogroda,
wyjdź-ze jegomość, cyli to prawda.

Oj prawda, prawda, widzą to ludzie,
za naszym wieńcem gromada idzie.

Kłaniamy się jegomości, samej jimości.
niech wian odbierą do swojej garści.

Niesiemy wian, kole pańskich ścian,
wyjdź-ze jegomość, wyjdź-ze do nas sam.

(Lubelskie:)

Plon niesiem, plon,
panu naszemu w dom.

A żeśmy zbożeńka położyli,
będą paneńko szczęście żyli.

Chodzi nasz paneńko po sieni,
nosi talary w kieszeni.

Chodzi nasz paneńko po progach,
ma żółte buty na nogach.

Prosimy paneńka za wieniec,
nam w podolek czerwieniec.

Plon niesiem, plon,
panu naszemu w dom.

WYDAWCA O POECIE

(Dedykacja z wyd. zbiorowego dzieł J. Kochanowskiego z r. 1585 — skrót)

Wielmożnemu i Swemu Miłościwemu Panu,
Panu Janowi Myszkowskiemu z Mirowa, kasztelanowi żarnowskiemu etc. etc. J a n J a n u
s z o w s k i służy swe powolne zaleca.

Jan Kochanowski, on wielki, Wielmożny a mnie Miłościwy Panie, wielki — mówię — w naukę, w rozum i w sprawy, wojski sędmirski, poeta polski, dobrze przed śmiercią swoją, upatrując czasy niepewne pozad idące, w których wszystko rado się mieni, począł był wnetże zarazem po wydaniu Psalterza, przekładania swego, ze mną się namawiać, jakoby rzeczy pisania jego wszystkie, za żywota jego z drukarnie mej wynieść na świat mogły; częścią, aby te, co były gotowe, dobrze wyszły; częścią, aby o drugich co ważniejszych tym snadniej myślić mógł — i na tym było stanęło. Ale jako rzeczy wszystkie, które ludzie stanowią, nie są w mocy naszej, ale na wolej i łasce Tego, który wszystkim rządzi: tak i to paść musiało, jako się temu Panu spodobało, który zagroziwszy mu drogę do wszystkich rzeczy, które, rzecz pewna, z wieczną sławą jego być by były mogły, nie rzekę dalej postąpić, albo tego, co już było gotowo, na świat wydać nie dopuścił, ale i samego z oczu i z towarzystwa ludzi wszystkich wziąć raczył. Tak śmierć niezbedna przed czasem zapadła, która acz pod czas wiele ludziom szkodzi, tego przedsię przewieść nie może, aby pamięć człowieka tego z ziemi wymazała; a daj to, że samego światu zajrzała, godność przedsię jego w cale zostawić musiała; w cale mówię: bo gdzie kiedy w polskim narodzie, albo rzekę śmielej, w północnym kraju wszystkim był taki poeta zacny? gdzie kiedy w Polsce śmiał się kto zetrzeć z onymi poety tak greckimi jako i z łacińskimi, co rymy swymi bogi z nieba zwabiali, jako ten? — gdzie kiedy który zrównał z nimi? albo co by ze wszystkim tak być miał, jako ten? Było za czasów naszych poetów dosyć znacznych w Polsce, tak jest: ale przedsię acz z tych każdy miał i ma swą pochwałę, ten jednak wszystkich, z pochlebstwa nie mówię, rzeczy to same świadczą, przedszedzszy swe godnością, i obcych dosięgi; a z nim co by zrównać mógł, jeszcze go wieki nasze nie podają. Ten tedy wielki i zacny poeta polski, mnie wielce Miłościwy Panie, iż za żywota swego nie mógł rzeczy swych do tego końca przywieść, jako chciał i umiał, aby przedsię wiekom przyszłym żył wiecznie, zostawił po sobie, choć niewiele, jednak tyle, ile wszystkim dosyć: a podobno i rzecz mogę, więcej niż owi, co pisali wiele. Zostawił *Lyrica*, *Elegias*, *Foricaenia* łacińskie; zostawił *Aratum* i Psalterz Dawidów przekładania swego: nad co, co może być sztuczniejszego i piękniejszego? — zostawił *Treny*; lekkie, rzeką podobno — ja nie wiem — afektu ojcowskiego przeciw dziatkom w tej mierze upatruję,

którego nie widzę, by kiedy kto lepiej wyrazić mógł i umiał. Nuż insze rzeczy, Odprawę posłów greckich, *Drias Zamchana*, Zgodę i Satyr, Szachy, aza w tych nie znalazł koźdy, co by godnie pochwalić mógł? Mym zdaniem, co kto weźmie, gdzie wejźrzy, najdzie się czemu podziwić i z czego się ukochać. Wydał też był, mniemaniem ludzkim i rzeczą samą, *Fraszki*... Ale puściwszy na wolą i zdania każdego, gdyż oraz dogodzić wszystkim trudno, gdzieby się kto wszystkimi fraszkami bawić nie chciał, otóż teraz mieć będzie insze rzeczy ku tym, co już przed laty wyszły. Są *Phaenomena*, są *Musae*, jest *Monomachia* Parysowa z Meneausem, jest *Dziwosłab*, jest *Broda*, są pieśni, są rzeczy inne, z których z osobna każde, mym zdaniem, dodadzą dosyć uciesznej każdemu zabawy. Co gdzieby się komu nie podobało, mym zdaniem, człowiekiem by nie był. Te tedy rzeczy takowe, M. Panie, jakom wysszej pomienił, iż za żywota Pana Kochanowskiego, jako autora tych rzeczy, na świat wynieść wszystkie nie mogły, teraz Jej Mość Pani Dorota Kochanowska, żalonna po swym panie małżonka, wiedząc o tym, że sam nieboszczyk ze mną o tym stanowił, a że to wola jego była, zebrawszy część jego rzeczy pisanych i tych, co już w druku przedtem były, do mych rąk je posłała, abym jedne przy drugich, wszystkie, które wydać się godziły, kosztem swoim na świat wydał. Ja tedy, wzięwszy przedsię człowieka tak wielkiego i rzeczy jego żadnym wiekiem niezrównane, nie chcąc aby tak goło na świat wyszły, czego nie tylko wszystkie wespół złożone, ale snadź każdy wiersz jego z osobna dobrze godzien, ważyłem się tego W. M. je przypisać i ofiarować: jakoż przypisuję, ofiaruję, i pod imieniem W. M., mego M. Pana, do wiadomości ludzkiej podaję..

MIKOŁAJ KRZYSZTOF RADZIWIŁŁ

PEREGRYNACYJA DO ZIEMI ŚWIĘTEJ (1582—1584)

(Wyjątek)

(*Nawałnica morska — ś. Germanus*)

A dnia 17 października przed godziną wtórą a dwudziestą powstała straszna fortuna, iż już żadna nadzieja nie była, abyśmy wynieść mieli, bo dwa wiatry gwałtowne *Africus et Aquilo*, po włosku *garbino e greco*, przeciwko sobie powstały, który taki wichur ze dżdżem czyniły, iż kręciły w jednym miejscu nawę, tłukąc ją i przechylając, że aż maszt dotykał się wałów. Używaliliśmy nawy, jako mogąc, to jest wyrzucaliśmy kamienie (bo też kupi żadnej nie było); ale dla wichru gwałtownego mało pomogło, gdyż tak wpadały wały do saityi, że nas mało nie potopily, a iż noc była ciemna, grzmienie i łyskanie barzo straszne. Oba-

czyli żeglarze jednak insułę z dwiema szpicami skalistymi, którą gdy zoczyli, mniemieli, żeśmy byli już *in Archipelago*, gdzie dwie insule puste, zwane *Divonie*, są nie opodal od siebie. Więc że gwałt wielki widzieli, a saityja mała była, prosto podjąwszy wszystkie żagle, w pośrzodek ugodzić chcieli, aby dla tak wielkiej nawałności ratować się jakokolwiek mogli mając nawę między dwiema insulami, gdzie wiatry już by tak szkodzić nie mogły. I gdy już niedalekośmy byli, za osobliwą łaską Bożą jeden marynarz, ponieważ łyskanie gwałtowne trwało, obaczył z góry, że jedna insula; albowiem ony dwie szpicy blisko siebie były, a nie tak daleko, jako ony dwie insule, o których mniemieli. Za czym zaraz wszystkie żagle spuszczone, jeden tylko zostawiwszy, który zowią *trinchetto*, abyśmy jakożkolwiek insułę minąć mogli. Ale gdy już mało nie pogrążyła saityja dla wichru gwałtownego, a k temu, co ją wiatry stłukły, już barzo woda dziurami się lała, że ją jedno ustawicznie wylewali, sam patron zwątpiwszy, opowiedział nam, iż żadnej nadzieje nie masz, jeno że zginąć musim. Zatem każdy, pomyśliwszy o duszy swojej, ile jako z taką nowiną, czekał, rychło Pan Bóg koniec uczyni. A wtem już dobrze po północy obaczyliśmy ś. Germana; zaraz wiatr *Aquilo* trochę odpuścił, że już *Africus* lepiej popędził saityją, iż insułę minąć mogła. A potem siedmkroć ukazał się nam, a za każdym ukazaniem ten wiatr *Aquilo* mniej powiewał. Zatem świtać poczęło, a gdy się już rozedniało, ujrzelśmy, że była insula pusta *Casso*, skalista, do którejsmy to żagle byli rozpuścili i prawie byśmy beli trafili na wielkie skały, których w nocy nie było widać, bo i wały były wielkie, że jedno szpice gór wysokich zoczyć mógł...

Tłukliśmy się cały dzień między *Rodisem* a insulą *Carpathos*, po włosku *Scarpanto* (gdzie poetowie bają, że *Pallas* się urodziła i wychowana była); więc że patron nie wiedział położenia około insuly, przystąpić nie śmiał, aby się nawa nie rozbiła. Aż w wieczór poczęto na insule kłaść ogień u jednego *promontorium* (bo taki zwyczaj, iż gdzie widzą błędną nawę, ci, co na insule, niecą ogień, aby żeglarze wiedzieli, gdzie przystąpić mogą bezpiecznie), także przez całą noc wieszaliśmy się nad insulą, a jako o czwartej w noc za powstaniem burze strasznej bez dżdża ukazał się zaraz ś. *Germanus*. Za czym zaraz wiatr ucichał i noc pogodna być poczęła. Są niektórzy, co twierdzą, że ponieważ przyrodzona przyczyna ukazowania jest tego światła, iż jedno w deżdż to być może, więc przetom dołożył, iż wtenczas dżdżu nie było najmniej, a przedsię widzieć to było światło i zaraz wiatr ucichł...

Jeśli komu dziwno i nie podobna zdać się będzie, com tu napisał o ś. *Germanie*, łacwo mię w tym każdy wymówi, ktokolwiek na morzu żeglował, a trafiło mu się być w wielkich szturmiech, bo żadnego podobno nie masz, który by tego nie widział

i świadom nie był, zwłaszcza gdy już fortuna wielka i prawie niebezpieczna; jeśli to jest ś. Germanus, jako wiele wierzy, jeśliż też przyczyna jaka przyrodzona, jako chcą niektórzy, ja z nikim się nie spieram. Ale że to światło widzieć, to jest rzecz pewna, albowiem i ja i ci, co ze mną byli, widzieli to tyle razów, jakom tu wyżej napisał. Ukazuje się jako jasna gwiazda, albo jako lana świeca, ale czasem ciemniej, czasem jaśniej a trafia się, że barzo jasno widać ten ogień, a jest białasy jako u gwiazdy światło. Siedzie czasem na pół masztu, czasem gdzie indziej, wszakże zawsze wysoko, a skoro się go chce dotknąć, umknie się wzgóre; najwięcej jednak i najczęściej siada na samym wierzchu masztu; gdzie krzyż bywa, to na krzyżu siedzi. Trwa, jako kiedy: czasem, jako pacierz zmówi, czasem też i pół ćwierci i ćwierć godziny, ale raz całe pół godziny był w ten wielki szturm i tak barzo jasno, że jako świeca. Ale to rzecz prawie pewna, iż skoro się ukaże, zaraz wiatr znacznie poczyna ucichać, a im częściej się ukazuje, tym za każdym razem wiatr ustawa i prawdziwa to rzecz, skoro go ujrzą, tedyż ludzie bezpieczni od zguby i zaraz w każdego dobra nadzieja wstąpi, co niezliczonymi przykłady ukazać się może. K temu to też nam twierdzono za pewne i przykładów wiele przytoczyli, że w jednej fortunie, gdzie nawy w kupie były, na których się ukazał, nie zginęli; na których go nie było widać, potonęli. Też i to przed nami wspominali, że gdy się dwa ukażą (co rzadko bywa), wtenczas pewnie okręt zginie. Ale to powiadają, że gdy dwoje światło widać, są *spectra* albo czar-towie, którzy nigdy się w jednej postaci nie ukażą, jedno po rozu. Ci to nam twierdzili, co za takimi przypadkami bywali na okręciach, które się natenczas z nimi rozbijały...

LIST SIMONIDESA DO JANA ZAMOJSKIEGO

Jaśnie Wielmożny, mnie wielce Miłościwy Panie Hetmanie Koronny!

Uniżone służby me w miłościwą łaskę W. M., mego M. Pana, pilnie zaleciwszy etc.

Raczyłeś mi W. M. zlecić staranie o drukarnie; dosięgając z różnych miejsc rady, ci co ukazują do Niemiec po *matrices*, zgadzają się na to, że przedniego i osobnego co z trudnością dostać, bo każdy się doma z swym kryje; insze leda jakie dostanie i to nietanio, byłby i ten, co by po to jechał. Niektórzy radzą, aby tu doma nowe dać robić, co za takimże kosztem może być, k temu według upodobania: i mnie by się to barziej zdało, byłaby też wola W. M. Pana. Ukazują rzemieśnika na to w Krakowie, niejakiego Konrada Forstera, mieszka w domu pana Łazińskiego na Żydowskiej ulicy; człowiek, jako o nim piszą, stateczny i rzezania takowego dobrze umiętny. Januszowski dru-

karnią swoją przezeń sprawował, przezeń ruska i grecka, co tu we Lwowie jest; snadź i wrocławscy i frankforscy drukarze od niego *matrices* swoje miewają. Jużem go dał skusić, jeśliby się dla roboty takowej chciał dać do Zamościa przewabić. Nie odmawia. Ma przy sobie dwu towarzyszu: jednego, co formy rzeże na drzewie; drugiego, co litery odlewa. Bez tego być nie może, co litery odlewa; formsznajder nie tak potrzebny. Z tym samym, co stemple rzeże, targuję abo na całe pismo, abo na jedną literę z osobna, abo robotę na tydzień.

Na całe pismo lub na literę umówiwszy, iż poprawa i psowanie częste bywa, rad rzemieśnik narzeka i rad się rozmiata. Na tydzień barziej chwałą przy dozorze; także i z tym, co litery odlewa. Polskie pismo niechajby było według ortografii pana Kochanowskiego; tylko bym ja z niemieckiego charakteru na włoski raczej odmienił, jako Dalmatowie swoje słowieńskie drukują. Greckiego nie chciałbym lepszego jako *Henrici Stephani*, abo jak *typi regii* pańskie, łacińskie, jako Plantinowe, abo Nivelliusowe, abo Gorbinowe w Paryżu; i między włoskimi wiele pięknych najdzie. W każde z tych potrafi ten isty Konrad. Jaką naukę od W. M. P. będę miał w tej mierze, tak postąpię. We Lwowie też chromą drukarnią krzesimy, w której tę trochę wiersza mego teraz drukowano, który W. M., memu M. Panu, do przeczytania posyłam. Zalecając się po wtóre z uniżonymi służbami mymi w miłościwą łaskę W. M., mego M. Pana.

We Lwowie roku 1593, *Decembris* 13.

W. M. swego M. Pana, naniższy sługa

Simon Simonides

PIEŚŃ LUDOWA O KOŁACZU

Ze zbiorów Oskara Kolberga

(*Radomskie*):

Piekła Marysia kołac,
piekła nadobna kołac,
pod winem, pod winekiem,
pod rucyanym wianeckiem.

Jak na niego rozcyniała,
rącka jej się świeciiała,
pod winem, pod winekiem,
pod rucyanym wianeckiem.

Jak na niego pszenickę płukała,
wsytkie stawy zbiegała,
pod winem, pod winekiem,
pod rucyanym wianeckiem.

Od złotego pierścienia
do samego ramienia,
pod winem, pod winekiem,
pod rucyanym wianeckiem.

Jak ci go w piec sadzała,
łopata jej się złamała,
pod winem, pod wineckiem,
pod rucianym wianeckiem.

Jak go z pieca wysadzała,
małym działkom go dawała,
pod winem, pod wineckiem,
pod rucianym wianeckiem.

Wy małe dziatki jedzcie,
o Panu Bogu wiedzcie,
pod winem, pod wineckiem,
pod rucianym wianeckiem.

RZECZPOSPOLITA BABIŃSKA

DLA PAMIĘCI URZĘDNIKÓW BABIŃSKICH

REGISTR

(Wyjątek)

Jegomość pan Krzysztof Ziemacki, cześnik babiński, powiedział, iż u jegomości pana Ożarowskiego, ojca małżonki jego, jest strzelec, co jednym strzeleniem po kopie i więcy kaczek dzikich zabija i często mu się tego trafia. Co urząd babiński *in acta* referować kazał, jako urzędnika zacnego *dictum*.

Jegomość pan Wacław Zamojski powiedział, że tak był myśliwy jegomość pan wojewoda kijowski, książę Ostrogskie, że i w nocy, zaświeciwszy lanych świec co niemiara, lasy z nimi ostępując, przy onych świecach, jako we dnie szczywał zające. Dał się jegomości urząd *supremus venator* babiński.

Jegomość pan Stanisław Ożarowski został historykiem *peregrinationis* babińskim, z tej miary, iż powiedział, że przy bytności jego w Rzymie, w kościele ś. Piotra, trzech wilków wpadły, zjedli dwoje ludzi.

Jegomość pan Jan Wydźga będąc na ekspedycyi chocimskiej, na wojnie z cesarzem tureckim Osmanem, powiedział, iż gdy z obozu tureckiego strzelono z wielkiego działa do naszego obozu, wtenczas kucharz jegomości napadł, i kulę lecącą ułapił i zaraz tą kulą cisnął i trzy namioty tureckie obalił. Za co odniósł urząd: starszy nad cekauzem babińskim.

Jegomość pan Hiacynt Konstanty z Michałowa Michałowski powiedział, iż widział takiego charta u jegomości pana Stanisława Grodeckiego, który tak rączy był, iż jednego czasu zdarzyło mu się poszczwac takiego zająca, który miał ośm nóg. Ten uciekał w przód na czterech nogach, a potem zmordowawszy się, na drugich czterech i tak na przemiany czynił, a przecie ten chart go ugonił, którego zwano Sokolem. Za co szczywaczem babińskim jegomość zostaje.

III

STANISŁAW ŻÓŁKIEWSKI

TESTAMENT HETMAŃSKI

(1606)

(Wyjątki)

W imię przenajświętsze Trójce Świętej, Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego. Zawždy każdemu człowiekowi ma być przed oczyma niepewność żywota tego doczesnego, gdyż niezliczonej liczbie przygód jest podległy. Zatem i ja pamiętając na śmiertelność, a tym więcej będąc na terazniejszej Rzeczypospolitej postąpić nieprzezpieczeństwo ojczyzny, a położyć zdrowiem swym zastąpić nieprzezpieczeństwo ojczyzny, a położyć zdrowiem swym zastąpić nieprzezpieczeństwo ojczyzny, a położyć zdrowiem swym zastąpić nieprzezpieczeństwo ojczyzny; przeto tedy w obyczaj oświadczenia intencji i wolej swej ostatecznej *in vim* testamentu, umarzając insze, jeśliby się który z pierwszych nalazł, to, co jest niżej, napisałem.

Naprzód wyznawam, iż wiarę świętą chrześcijańską podług wyznania apostolskiego, synodu nicejskiego i ś. Atanazyjusza wierzyłem i wierzę wedle konfesyi Kościoła katolickiego; w tej to wierze do ostatniego skonania żyć mocną intencją mam, dla niej, co daj Panie Boże, umrzeć sobie za największą pociechę pokładam i życzę, *eiusdemque fidei merito*, przez zasługę męki Pana i Zbawiciela naszego odpuszczenia grzechów i wiecznego żywota oczekawam, a Pana Boga proszę, żeby mię w tej wierze świętej do ostatniego punktu żywota potwierdzać i umacniać raczył.

Rzeczypospolitej, ojczyźnie swej, i królom, panom swoim, których panowania zasięgiły dostalsze lata moje, tak królowi Jegomci Stefanowi, jako i teraz panującemu królowi Jegomci Zygmuntowi zachowałem całą i stateczną wiarę. Do praktyk żadnych, które by były przeciwko dostojności i zwierzchności Jego Król. Mci, nigdy się nie przymieszał, ani wiem o nich. A jako tak się czuję, zem cnotliwie, wiernie służył Jego Król. Mci, panu swemu, krwie i zdrowia swego dla służby Jego Król. Mci i Rze-

czypospolitej nie żałując, tak mam nadzieję, że u Jego Król. Mci będą w wdzięcznej pamiętce jakiegokolwiek atoli chętliwie zasługi moje...

Ciebie, moja najmilsza Małżonko, poruczam Panu Bogu. Jegoż i twojej opiece poruczam dziatki wspólne, pamiętając na to, w jakiej zgodzie i w jakiej miłości żyliśmy z sobą; niech nie gaśnie i niech nie umiera w tobie pamiętka moja... W baczeniu twym, któregom wiadom, nie mam wątpliwości, że dziatkom wspólnym, póki cię Pan Bóg chować będzie, dasz takie wychowanie i taką pieczę mieć o nich będziesz jako matka prawa, wiodąc ich do bojaźni Bożej, wszelkiej uczciwości. Syna, ponieważ z łaski Bożej chęć ma przedsię do nauki i ma już początki niezłe, nie odrywaj go od tego i słódź mu to co napilniej. W Zamościu się zaczęła nauka godna dzieci szlacheckich, i wołę, że go tu w Polsce, niżli gdzie indziej do cudzej ziemi uczyć dasz: bo to jest jawna, że nierówno większa liczba jest tych, którzy do cudzych ziem dla ćwiczenia jeżdżą, co więcej złych niżli dobrych obyczajów przynoszą; a zgoła rzadki z czym dobrym przyjeżdzie... Doma przy sobie nie chowaj go, do buty i do powagi nie każ go mieć... A gdy przyjdzie do lat dostalszych, albo królowi Jegomości na dworze niech służy, albo żołnierską służbę, jeśli będzie w dobrym porządku. Lat młodszych koniecznie doma nie daj mu trawić; byś go zanadru chowała, przygody, jeśli Bóg jaką przeźrał, nie uchronisz. Za domowym mieszkaniem próżnowanie, za próżnowaniem wszystko złe w człowieku się rodzi...

Starsza córka nasza już ma opiekuna, którego jej Pan Bóg z wolej swej przeźrał. Tę też drugą mniejszą Pana Boga Opatrzności i opiece Jego świętej poruczam...

Janie, synu mój najmilszy, do ciebie teraz mowa moja. Z tego świata mi nie żał z inszej miary, ciebie bym był rad wprawował do bogobojności i wszelakich uczciwych spraw. A jakom cię miał za żywota ćwiczyć, zostawuję na piśmie krótką tę instytucją swoją... Królowi polskiemu, panu swemu, wiernie słuź i Rzeczypospolitej, ojczyźnie swej; dla dostojęństwa, dla sławy króla, pana swego, dla dobrego Rzeczypospolitej krwi i zdrowia swego nie żałuj. Młodsze lata swe naukami poleruj, nie daj się nikomu w młodości twojej od tego odwodzić. Mnie wierz, z nauki wielką podporę i wielki ratunek do godności, do służby Rzeczypospolitej, do wszelakiego uczciwego życia mieć będziesz. Nie mów, jako wiele ich: nie mam chęci do nauki; w twojej mocy ta chęć, koždy, kto chce, może ją mieć... Gdy do męskiego wieku będziesz przychodził, rycerskie ćwiczenie jest szlachcicowi najprzystojniejsze; tym się paraj, próżnowania jako powietrza się strzeż. Mistrzem zaraz nie chciej być, byś nie pobłądził; przy hetmanie się pierwaj baw, rzeczom się przypatrzywszy, dopiero też rotę możesz wieść. — A jeśli się potrzeba jaka Rzeczypospo-

litej podała, nie zostawałem sam nazad; nie dla chluby to wspominał, ale żebym z mego przykładu w tobie tym większą chęć pobudził do naśladowania cnoty ojcowskiej. Z przednimi się bierz, miej się do pokazania cnoty szlacheckiej, do uczciwej sławy... A kiedy to dobrą intencją dla służby, dla dobrego Rzeczypospolitej czynić będziesz, pójdzie za tym uczciwa sława, będzie Pan Bóg błogosławił. Abyś też i umarł przy tym, nic osobliwszego potkać cię nie może. I poganie tak rozumieli, że śmierć dla ojczyzny słodka... Pana Boga między innymi rzeczami prosz, żeby do odmian w Rzeczypospolitej nie przychodziło za wieku twego, jako za mego żywota wiele tego Pan Bóg dopuszczał. Daj Boże, żeby to nie było. Ale skażony wiek, siła złych, niebacznych ludzi. Z tymi się nigdy nie łącz, jeśliby kto chciał do odmian rzeczy przywodzić, i owszem przy królu, panu swym, wedle możności się zastawiaj. Takowe odmiany panów, daleko nie chodząc, węgierską ziemię i wołoską do zniszczenia i do upadku przywiodły; i u nas najciężej, by to raz począć, nie byłoby temu końca, jeno upadkiem Rzeczypospolitej. Pomniąc na to, że wszelka zwierzchność od Pana Boga, choćby też i niedostatki jakie w panu, lepiej jest do jedności niżli na odmianę, która jest szkodliwa i bardzo nieprzeznaczona, rzeczy przywodzić. I królowie mają nad sobą większego króla, który ich będzie sądził, jeśli się co od nich *perperam* ku krzywdzie ludzi im od Pana Boga powierzonych dzieje. Jeśliby zaś przyszło z dopuszczenia Bożego, bo i królowie tejsze śmiertelności podlegli, jako i insi ludzie, napominam cię, nie daj się żadnym skazom ani żadnym wymysłowym perswazyjam uwodzić od tego, co będziesz rozumiał być z dobrem Rzeczypospolitej, z sławnym, pożytecznym jej. Pożytków żadnych swoich nie szukaj z tej miary, ani o nich myśl; za wieku mego dom rakuski osobliwie zażywał tych przekupieństw: najdziesz i w szkatule mojej listy ich z obietnicami. Ale ja tego do umysłu swego nie przypuszczał...

Co się tyczy pogrzebu ciała mego, przydaje się to i wielkim królom, że ciała ich bez pogrzebu zostają. Sławniejszy żywot i chwalebniejsza śmierć Władysława króla, co u Warny zginął, niżli wielu innych, co na ich nagrobki patrzymy. Ale to idzie wedle wolej i obiecania Bożego. Życzę pewnie sobie śmierci tak słodkiej dla wiary świętej, dla ojczyzny, ale nie wiem, jeślim tej łaski od Pana Boga godzien. Jakożkolwiek Pan Bóg przejrzał, jeśli będzie sposób, niech będę pochowany w grobie ojcowskim, a bez pompy, bez owych koni, kirysów. Jednak, jeślibym w potrzebie umarł, miasto aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumna przykryta będzie szkarłatem, na znak wylania krwi dla Rzeczypospolitej, a to nie dla chluby żadnej, lecz dla patriki i dla pobudki drugich do cnoty i nieszanowania się dla ojczyzny...



Lorenzo Bernini, Wizja św. Teresy, rzeźba

BAROK WŁOSKI

ARCYDZIEŁO BERNINIEGO

Kazimierz Chłędowski, Rzym, Ludzie baroku — wyjątki

W roku 1644 polecił kardynał Federico Cornaro, Wenecjanin, Berniniemu, aby ozdobił jedną z kaplic w kościele *S. Maria della Vittoria*. Niewielki, ale piękny ten kościół wybudował kardynał Scipio Borghese na pamiątkę zwycięstwa wojsk katolickich w nieszczęsnej dla narodu czeskiego bitwie na Białej Górze. Nad

ołtarzem chciał mieć fundator posąg św. Teresy, która wówczas zajmowała wszystkie pobożne umysły...

Św. Teresa była rzeczywiście niepospolitą postacią, wyróżniającą się od tych niezliczonych zastępów ówczesnych mniszek, które w umartwieniu ciała i bezustannej modlitwie widziały jedyną zasługę wobec wieczności... Św. Teresa, reformatorka zakonu karmelitanek w Hiszpanii, wprowadziła żywioł ożywczy do swych klasztorów, pracę. Sądziła, że człowiek bezczynny nie jest w stanie zbliżyć się do Stwórcy. Kazała więc zajmować się zakonnicom to domowym gospodarstwem, to ręcznymi robotami. Reformy jej wywołały prawdziwy entuzjazm w całym katolickim świecie...

Bernini musiał czytać autobiografię św. Teresy i zapewne na naradach z fundatorem posągu i z innymi czcicielami znakomitej Hiszpanki wybrał za temat grupy, którą miał wykonać, wizję, którą święta w ten sposób opisuje: „Zobaczyłam tuż przy sobie, po lewej stronie, anioła, zupełnie cielesną postać, jaka zwykle w mych widzeniach się nie ukazywała... Anioł nie był wysoki, owszem, mały, bardzo piękny, a jego oblicze takim jaśniało blaskiem, że musiał należeć do tych aniołów, którzy są całkiem rozpromienieni żarem miłości Boskiej, że musiał być jednym z tych, których zowią serafinami... Widziałam w ręku anioła długi, złoty grot i zdawało mi się, jakoby go utopił po razy kilka w moim sercu, tak że czułam, jak żelazo przeszywało mi wnętrzości. A gdy je wyciągnął, zabrał serce moje i pozostawił mnie całkiem płomieniącą miłością do Boga. Ból był tak wielki, że wydałam okrzyk, ale zarazem uczułam słodycz tak nieskończoną, że nie chciałabym, aby ten ból ustał... Nie był to ból cielesny, lecz duchowy, pomimo że do pewnego stopnia i na ciało działał. Była to najśodsza pieśczęta, jaką sobie między duszą a Bogiem wystawić można“...

Nasz Krasiński w ślicznym wierszu, w „Ułamku naśladowanym z glosy św. Teresy“, potrafił się przejąć stanem słynnej zakonnicy powtarzając jej modlitwę do Boga:

Slij mi więc męki jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tym mi więcej błogie:
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tym umieram, że umrzeć nie mogę.

KOMEDIA BAROKOWA

K. Chłędowski, jw.

Najsławniejsza komedia Berniniego ukazała się na scenie w karnawale r. 1637 i nosiła tytuł *Due teatri l'uno a specchio dell'altro*, „Dwa teatry, jeden przyglądający się drugiemu w zwierciadle“. Treść jej opisał Maksymilian Montecucoli w liście do księcia Modeny. Gdy odsłonięto kurtynę, widać było na scenie zgromadzenie ludzi, częścią żywych, częścią malowanych, zupeł-

nie podobnych do tych, którzy zapełniali salę. Pomędzy nimi stało dwóch Coviellów, blagierów, którzy trzymając kawałek papieru i kredkę udawali, że rysują, jeden prawdziwą publiczność, a drugi ową malowaną. Po chwili pierwszy z nich przerwał milczenie, a po kilku wymienionych słowach, które zdradzały, że się dawno znają, zwrócił uwagę towarzysza, że stojąc tak, jak stoi, nie okazuje zbyt dobrego wychowania. „Dlaczego?” pytał drugi Coviello. „Albowiem plecami zwracasz się do publiczności” odpowiedział pierwszy. „Wszak i ty obrażasz słuchaczy” odciął się drugi obracając swego towarzysza do malowanych słuchaczy. Nastąpiło między nimi wielkie zakłopotanie, nie wiedzieli, jak się ustawić, aby ani jednej, ani drugiej publiczności nie ubliżyć; wreszcie po dłuższej rozprawie zgodzili się na to, aby przeciągnąć płótno wzdłuż sceny i aby każdy grał przed swoimi widzami. Tak się też stało, każdy z osobna deklamował jakiś monolog, a po chwili znaleźli się obydwoj znowu przed sceną i opowiadali sobie wrażenia, jakie ich gra zrobiła na publiczności. „Więc pokaż mi, czym bawiłeś swych słuchaczy,” zapytał pierwszy Coviello. Na to drugi dał znak reżyserii i przed prawdziwą publicznością otworzył się przepyszny widok. Naprzód noc, księżyc na niebie zasianym gwiazdami, przesuwające się obłoki, następnie poranek, przeszliczna okolica pełna wiosennej zieloności, ogrody, domy i pałace. Na scenę weszły wiejskie dziewczęta wesoło tańcząc i śpiewając, następnie ukazywali się panowie na koniach, panie w karetach zaprzężonych w parę i sześć koni, w lektykach, a publiczność mogła w przejeżdżających poznawać mnóstwo osób ucharakteryzowanych na podobieństwo tych, które siedziały w krzesłach i łóżach. Ponieważ jednak wówczas nic się nie mogło obejść bez dziwaczności, więc na koniec przedstawienia wszedł korowód paziów ubranych w żałobę i niosących czarne, zapalone pochodnie. Za nimi wjechała śmierć na chudej szkapie, z kosą w prawej ręce i trzy razy okrążyła scenę. Przerażony tym widokiem jeden z blagierów zwraca się do publiczności z przemową tej treści, że śmierć przecina nić wszystkich komedyj i odbiera chęć do wszelkich światowych przyjemności. Na tej apostrofie skończyło się przedstawienie, któremu się przypatrywało czternastu kardynałów i nieokończona ilość prałatów i rzymskich znakomitości.

Prawdziwe baroko!

W następnym karnawale roku 1638 przedstawił Bernini w pałacu Barberinich drugą słynną swoją komedię *Inondazione del Tevere*, zastosowaną do okoliczności, gdyż rok przedtem wielki wylew Tybru nawiedził Rzym. Znow się zaczęła reprezentacja od wspaniałych dekoracyjnych efektów. Po odsłonięciu kurtyny widać było w dali kościół św. Piotra, zamek św. Anioła i inne gmachy za rzeką, a na pierwszym planie szumiał Tyber, którego fale coraz bardziej się piętrzyły. Dla powiększenia złudzenia Bernini tak rzekę urządził, że w części łożyska najbardziej zbliżonej

do publiczności przepływała prawdziwa woda, a żywi ludzie krążyli w łodziach z jednego brzegu na drugi, urzędnicy i słudzy miejscy pracowali nad utwierdzeniem wałów obawiając się, że rzeka wystąpi z brzegu. Ale nieszczęścia odwrócić nie mogli, wał pękł i fala przez wyrwę płynęła ku widzom, tak że publiczność bliżej sceny siedząca zaczęła uciekać. Popłoch jednak szybko przeminął, przekonano się bowiem, że Bernini wszystko dobrze przewidział i że woda tuż przed publicznością się zatrzymała.

Nie dość było autorowi tych dekoracyjnych wspaniałości; w ciągu komedii przedstawiała scena ulicę pełną karet, koni, ludzi, którzy się zatrzymali, aby słuchać muzyki; wreszcie słońce zaszło i ciemna noc, rozjaśniona tylko światłem gwiazd i księżyca, zaległa cały teatr...

COMMEDIA DELL'ARTE

K. Chłędowski, jw.

Signori comici sono arrivati! „Panowie komicy przyjechali!” — krzyczy jak może najgłośniejszy *facchino* teatralnej kompanii, idzie głównymi ulicami miasta i co chwilę uderza pałką w bęben przewieszony przez plecy. Za nim postępuje najpiękniejsza w „trupie” artystka, przebrana za mężczyznę w najdziwniejszym hiszpańsko-błażeńskim stroju i grzecznymi słowami zaprasza publiczność na komedię w pałacu albo w osterii, gdzie wędrownie towarzystwo wynajęło salę. Często wystarcza scena w kształcie jarmarcznej budy, z dekoracjami narysowanymi z zamaszystym artyzmem, ale węglem. Gdy się przedstawienie ma rozpocząć, artyści w strojach arlekinów i pulcinellów, z bębnami, tamburynami, grzechotkami, piekielnie wyprawiają hałasy, albo dwóch błaznów udaje rycerzy zmierzając się na szpady i najkomiczniejsze wydając okrzyki...

Ludowe komedie rozwinęły się w XVI wieku; wtedy wyrobiły się mniej więcej stałe typy sceniczne, a do najdawniejszych należał bezsprzecznie neapolitański *Pulcinella*. Nie zawsze był co do swego charakteru jednolity; zaraz w początkach rozdzielił się niejako na dwie postacie: jeden Pulcinella działał podstępnie, milczkiem, słyszał, jak trawa rośnie; drugi odważny, awanturnik, skłonny do bójki, złodziej, jakich mało, a nawet czasami dowódca rozbójniczej bandy. Typ ten sceniczny wyrósł niejako z krwi i kości neapolitańskiego ludu, w nim się zespoliły w sposób komiczny właściwości neapolitańczyka.

Ten neapolitańczyk z ludowej sceny stał się też najpopularniejszym typem komedii *dell'arte*, przyjmował z łatwością różne barwy narodowe, we Francji zwano go później Polichinellem, w Anglii nosił nazwisko Puncha, w Niemczech został Hanswurstem, a nawet Holandia miała swego Toneelgeka, wzorowanego na neapolitańskim błaznie.

Że Pulcinella często kochał w młodości, o tym wątpić nie można; w końcu jednak przyszedł do przekonania, „że człowiekowi źle samemu na świecie“, zwłaszcza jeżeli potrzebuje towarzyski nie tylko w domu, ale i na deskach teatralnej budy. Zdarzyło się, że na jednym z ludowych festynów spotkał on pokojową, C o l o m b i n ę, która mu się tak podobała, że zaprosił ją do tańca. W „tarantelli“ bliżej się poznali; Colombina była mała, ale pełna werwy, *piccola, ma tutta pepe*, dowcipna „kokietka“, często złośliwa, do wszelkich filuteryj gotowa. Pulcinella się zakochał i zaprowadził ją do ołtarza, a następnie na deski komediantów. Miał w niej wyborną towarzyszkę; Colombina zawracała głowy i kolegom i publiczności, może czasem więcej, aniżeli sobie małżonek tego życzył. Wkrótce stała się prototypem teatralnych „subrettek“, *fantesca*...

Obok Pulcinelli najważniejsze „stanowisko“ w komedii *dell'arte* zajął a r l e k i n. Urodził się w Bergamo i był murzy-nem, przynajmniej, zanim wszedł na scenę, malował sobie twarz węglem, sadzą, albo przywdziewał czarną maskę...

Arlekin odznaczał się szczególną giętkością ciała, skakał, tańczył, wyprawiał najrozmaitsze błazeństwa, słowem, był niemal praojcem dzisiejszych kłownów. Jego gra składała się z samych niespodziewanych konceptów, połączonych z komicznymi ruchami, mającymi w sobie coś z kociej zgrabności... Często występował w roli służącego, który jest wiernym swemu panu i tylko wtedy go zdradza, gdy widzi przed sobą półmisek z dobrze upieczonym kapłonem albo słoik z konfiturami. Smakoszostwo i kobieciarstwo to główne jego wady, ciągle się kocha i co chwilę w innej bogdance, zazwyczaj jednak w Colombinie...

„Syn pioruna i trzęsienia ziemi, brat śmierci i serdeczny przyjaciel Belzebuba“ to trzecia postać komedii *dell'arte*. Pomimo tego straszego pochodzenia i związków z mieszkańcami piekła zwano go pospolicie kapitanem. Ale nie kapitanem podobnym do innych: jego imiona wzbudzały już postrach, raz występował jako S p a v e n t a, to znowu jako B o m b a r d o n, M a t a m o r e s lub F r a c a s s a, a gdy podniósł szpadę, to świat drżał w swych posiadach. Gdy jednak ów bohater spostrzegł prawdziwego nieprzyjaciela lub uczył cudzą pięść nad sobą, ba nawet, gdy liść niespodziewanie koło ucha mu zaszeleścił, to łydki zaczynały pod nim drżeć ze strachu i szeptał jakieś niezrozumiałe słowa.

Kapitan ma wąsy, jak ryś, i straszną maskę cielistego koloru na twarzy, na głowie nosi kapelus z długim piórem, ostrogi ma przypięte wielkości kół młyńskich, a u boku przypasuje rapier, którym by głowy ludzkie można kosić jak łąn zboża.

Gdy z furią rzuca się na nieprzyjaciela, zamyka oczy, aby nie widzieć kawałków rąk, nóg, które pod jego ciosami padają jak trzaski. Żadna kobieta nie zdoła mu się oprzeć, romanse liczy na

tysiące. Nos jego niesłuchanie czuły na zapachy kuchenne; podobnie jak słońce ku zachodowi, tak kapitan zawsze tam dąży, gdzie się pieczeń obraca na rożnie...

Wenecja zanadto ważną rolę odgrywała pomiędzy państwami włoskimi, aby nie miała mieć swego przedstawiciela w *Commedia dell'arte*. Scena potrzebowała także człowieka wytrawnego, starszego, który by był komicznym ojcem. Stał się nim P a n t a l o n e i przeszedł do potomności, jako wynalazca ważnej części męskiego ubrania. Pantalone był zawsze weneckim kupcem, mieszczaninem ze wszystkimi śmiesznościami właściwymi mieszkańcom handlowego i wojowniczego miasta...

Pantalone występuje w brunatnej masce o długim nosie, ma siwą brodę i włosy czerwone, obcisłe ubranie i czarny płaszcz, strój kupców weneckich. Gra czasem rolę ojca, oszukiwanego małżonka lub starego kawalera chcącego się jeszcze podobać...

Pantalon występuje czasem w roli aptekarza, ale nie zmienia swego charakteru; swych pomocników tak źle żywi, że z głodu wyjadają mu rozmaite nieszkodliwe składniki leków. Jeżeli odprawia służącego, to zawsze w południe, aby nie dać obiadu. Klientów wyzyskuje, jak może, sprzedaje im włoskie orzechy zamiast muszkatułowej gałki, a wysuszony tort zamiast proszku z goździków...

Kupiec wenecki bywa, oczywiście, i bogatym człowiekiem, ma wspaniałe pałace i wille i nazywa się wtedy don Pantalone. Staje się doradcą doźów, członkiem Rady Dziesięciu, lecz nie bardzo się przydaje do wysokich urzędów i godności, każdą sprawę umie tak zawikłać, że z tego powodu powstają różnorodne spory, a nawet zawzięte bójki.

Wenecjanin przemienia się czasem w bolończyka, zostaje uczonym, doktorem lub prawnikiem. Bolonia jako miasto profesorów musiała także mieć swego przedstawiciela na deskach teatralnych. Pantaleon-doktor należy, jak przystoi, do najznakomitszej akademii florentyńskiej *della Crusca*, jest filozofem, astronomem, retorem i oddaje się czasem kabalistyce. Przede wszystkim wszakże staje się pedantem, utrzymuje, że wszystko wie, wszystko czytał, ale mimo to nieuk z niego, jakich mało, cytuje wprawdzie łacińskich autorów, lecz najfatalniej te cytacje przekręca. Parkom każe być garderobionymi Wenery, a trzy Gracje są u niego bóstwami, które rządzą losami ludzi. Jako adwokat zajmuje się zazwyczaj sprawami, które mu nie zostały powierzone, a przed trybunałem tak długo i tak nudno mówi, że sędziowie zasypiają. Łacińskie i włoskie wyrazy zupełnie mu się pomieszały; nikt go zrozumieć nie może...



OPERA WŁOSKA W POLSCE

S t. W i n d a k i e w i c z, Teatr Władysława IV,
wyjątki

Teatr polski, mający na celu zaspokajać nieco wyższe aspiracje artystyczne, rozwinął się dopiero pod wpływem teatru francuskiego. Ale zanim do tego przyszło, musiało nasze społeczeństwo przejść przez całą skalę wrażeń, ażeby w ogóle dojrzeć do recepcji tak doskonałych wzorów. W tej pracy, że tak powiemy, wychowawczej odegrały znakomitą rolę zagraniczne trupy aktorskie, które na dłuższy czas do Polski zawitały i już z gotową sztuką nasze społeczeństwo obznajmiały. Pobyt ich należy uważać za wybitne ogniwo w procesie asymilizacyjnym obcych literatur, który teatr nasz musiał przeżyć na równi z teatrami zagranicznymi. Po kolei więc bawiły u nas trupy aktorów angielskich, francuskich, włoskich i niemieckich dając nam w zamian za gościnę coraz większy zasób wrażeń i upodobań teatralnych...

Trupa włoska bawiła u nas przez lat piętnaście, od r. 1633 do r. 1648, i zawdzięcza powołanie do Polski predylekcji króla Władysława IV dla opery włoskiej. Władysław IV, podróżując jeszcze jako następcą tronu po Niemczech, Holandii, Belgii i Włoszech, miał sposobność zetknąć się z zagranicznym życiem teatralnym i zapalić się do niego z amatorem w właściwym rodzinie Wazów. Dziennik jego podróży podaje, iż na cześć królewicza dano po kolei sześć baletów, w Wiedniu, Brukseli, Mediolanie, Genui, Florencji i Vicenzy, i że widział trzy opery, z których każda stanowi znakomite dzieło w współczesnej produkcji muzycznej...

Z wstąpieniem na tron urzeczywistnił Władysław IV swe marzenia o posiadaniu trupy nadwornej i sprowadził sobie doskonałych śpiewaków i aktorów włoskich, którzy, sądząc według prawdopodobieństwa, zamówieni zostali zapewne z Florencji...

Powstał projekt postawienia teatru stałego na zamku warszawskim, i r. 1637 projekt ów urzeczywistniono. Jest to pierwszy stały teatr na ziemiach polskich, którego znaczenie cywilizacyjne łatwo ocenić. Mieścił się on na pierwszym piętrze pałacu królewskiego i zawierał łoże dla pań w kształcie okien, obszerny parter stojący dla panów, a wreszcie miejsca honorowe dla króla, członków rodziny panującej i posłów zagranicznych, umieszczone na parterze i odgródzone barierą od tłoczącej się publiczności. Miejsc tych, o ile ze znanych źródeł wywnioskować można, było pięć. W środku siadał król, po bokach kto z rodziny królewskiej albo który z przejezdnych książąt; o czwarte a właściwie drugie miejsce z prawej strony klócili się ustawicznie to nuncjusz, to poseł moskiewski, bojąc się, żeby przez zajęcie piątego, tj. ostat-

niego z lewej strony, nie uchybili godności osób, które reprezentowali. Krzesła owe były z aksamitu karmazynowego, ustawiano je na wspólnym dywanie, i było to oznaką wielkiego taktu, jeśli ktoś krzesło swoje trochę cofnął, tak żeby król niejako na samym czole publiczności teatralnej mógł usiąść.

Jak widzimy, rozkład tych miejsc i podział publiczności niejako na trzy warstwy pozostawał w pewnym związku z etykietą dworu polskiego, obowiązującą mianowicie przy obiadach i kolacjach, gdzie także zaproszonych na trzy klasy rozdzielano. Porządku w sali teatralnej pilnował marszałek dworski, a prawdopodobnie zaciągnano także straż przed królem; mimo to porządku nie zdołano zawsze zachować. Na parterze bowiem tłoczyła się publiczność dosyć natrętnie, jedni popychali drugich, co tak, jak dziś, wywoływało naturalnie kłótnie, karambole i hałasy zakłócające ciszę podczas przedstawień...

Właściwa scena była miernie podniesiona i nazywała się w technicznym języku *palco*. W niektórych razach, mianowicie gdy balet miał się odbyć na sali, dostawiano z obu stron sceny małe schodki, żeby baletnice parami zejść mogły i od razu odpowiednio ustawić się na sali. Naturalnie, że wtedy także przeistaczano teatr w odpowiedni sposób, bo w ogóle wszystkie urządzenia ówczesne były jeszcze prowizoryczne i zmieniały się ustawicznie, stosownie do humoru dyrektora i nadzwyczaj jeszcze nieustalonego programu widowisk. Orkiestra mieściła się albo za sceną (chóry niektóre z pewnością), albo, i to najczęściej, na balkonie tuż przy scenie, co wskazywałoby, iż sala teatralna była rodzajem przeróbki ze zwyczajnej w Polsce sali do tańców. Scena właściwa była oddzielona od publiczności dwiema kurtykami: jedna była pomarańczowa, którą podnoszono i spuszczano tylko przed i po przedstawieniu; druga była biała, płócienna, którą spuszczano po skończeniu każdego aktu lub z konieczności przed zmianą dekoracji.

Wreszcie co się tyczy urządzeń, to scena, a jak u nas mówiono, *theatrum*, było bardzo głębokie, żeby pomieścić mogło większe perspektywy, w których oko ówczesne się lubowało. Musiało ono także mieć wysoką attykę od sali teatralnej, żeby objąć te skomplikowane maszyny, które do spuszczenia i podnoszenia rozmaitych bogów, zwłaszcza w intermediach, były potrzebne. Dekoracje ustawiano pod kątem do widza, w środku zaś stawiano świątynię, róg ulic lub coś podobnego, w każdym razie urządzano się w ten sposób, iżby jak najgłębszą perspektywę osiągnąć. Raz wystawiono pałac z sześciu pokojami w szeregu, drugi raz obszerną panoramę Rzymu, złożoną z pałaców, świątyni, amfiteatrów i piramid. Często także przesuwano przez scenę okręty i wozy, które nieraz zwierzęta, automatycznie się poruszające, ciągnęły. Mistrzem tych kunsztów był A g o s t i n o L o c c i, architekt królewski...

Przedstawienia dawano u nas zazwyczaj po południu i za-
ciemniano w takim razie salę. Wszystkie lunety ponad galeriami
zostawały zasłonięte i licznymi kinkietami oświetcano salę. Wra-
żenie polskiego widza nieprzywykłego do podobnej wystawy
było od samego wejścia do teatru ogromne...

Do tych oper, które zaczęła wystawiać trupa królewska
w Warszawie, należy jako najwcześniejsza *Dafne*, recytowana
po raz pierwszy w dniu 10 grudnia 1635 r. i powtórzona 3 maja
1638 r. Zachowała się ona w sumariuszu oryginalnym i w prze-
róbce Samuela Twardowskiego na język polski, w której pier-
wotna forma canzony i madrygału została oddana przez oktawę...

W Polsce cieszyła się trupa włoska wielkim powodzeniem.
Wszędzie, gdzie wiadomości o Włochach można czytać, mówi
się o nich z wielkim podziwem. Nawet w dworskach szlacheckich,
gdy zamierzają jaką komedię przedstawić, to myślą, żeby ją od-
prowizować jak „komedianci włoscy”. Król zwłaszcza lubuje się
w swoich aktorach i otacza ich wielką troskliwością, sami po-
wiadają, że znajdują się u niego jak gdyby „w klatce złotej”...

PROMIENIOWANIE KULTURY POLSKIEJ

A l e k s a n d e r B r ü c k n e r, Dzieje kultury polskiej, tom II,
wyjątki

UKRAINA

Najznamienniejszym faktem w dziejach kultury ruskiej XVII
wieku jest zupełne jej przejęcie się wpływami polskimi. Ani róż-
nica wiary, ani klęski zadane Polsce szlacheckiej przez Ruś ko-
zacką nie powstrzymały zwycięskiego pochodu kultury polskiej
do Kijowa, za Dniepr, do Moskwy samej. Ta kultura oddziaływała
jednak tylko na warstwy jej przystępne, tj. na wyższe duchi-
wieństwo, na całą szlachtę (prawosławną czy unicką), na wyż-
sze Kozactwo, na zamożniejsze mieszczaństwo; nie uchylały się
przed nią, siłą faktu, nawet czerń i czerńcy. Starszyźnie kozackiej
przyświecała jako ideał zawsze tylko szlachta polska, jej stano-
wisko i wpływy: naśladowali ją, ile zdążyli, hetmani, pułkownicy
i pisarze pułkowi... Kulturalna Ukraina mówiła, myślała i pisała
po polsku; archiepiskopi, archimandryci, rektorowie kolegium
Mohiłowego pisali i po rusku, pisali to samo i po polsku: naj-
pierwszy zbiór legend o świętych peczerskich (kijowskich) wy-
szedł w druku po polsku, a nawet obronę kolegium Mohiłowego
przeciw ujadaczom prawosławnym napisał Sylwester Kossow po
polsku, z taką werwą, że mógłby mu być polemista polski poza-
drożnic. Kultura polska powlokła się pokostem ukraińskim.

Całe szkolnictwo ruskie (unickie czy prawosławne) przejęło
się łaciną i polszczyzną; na podstawie łaciny mogli nawet Niemcy

w szkołach ruskich uczyć, np. królewiecki profesor logiki, Wawrzyniec Weger, zmarły r. 1626, uczeń Królewca i Witenbergu, uczył poprzednio *in collegio religionis graecae apud Ruthenos Vilnae*, a więc w szkole przy bractwie Św. Ducha, szyzmatyckiej; inni Niemcy, Diplic, Gizel (ale ten pisał tylko po cerkiewnemu), podobnie się do Kijowa dostali. Piotr Mohiła, metropolita kijowski i założyciel kolegium, wychowanek kultury polskiej, wprowadził tryb jezuicki do szkoły kijowskiej, i kolegium kijowskie (w XVIII wieku dopiero akademią ochrzczone) odpowiadało w rozkładzie nauk zupełnie kolegiom jezuickim; urządziło widowiska sceniczne, deklamacje uczniowskie, przejęło się scholastyką średniowieczną. Wychowańcy tych szkół naśladowali spóczesną literaturę polską, kaznodziejską, polemiczną (walcząc z Mahometem, Żydami, Rzymem), panegyryczną. Wprowadzili wierszowanie polskie, acz niezgodne z wolnym akcentem ruskim, pomijając ten akcent, a licząc tylko zgłoski; dlatego nazwano te wiersze „sylabicznymi“, a panowały one i w Moskwie, nie tylko w Kijowie, aż je Łomonosow i Trediakowski jako przeciwne prozodii rosyjskiej wyrugowali; na Ukrainie panowały dalej przez cały wiek XVIII. Słownictwo, szczególnie abstrakcyjne, było całe polskie, nawet spójki (*wždy* i inne) zachowywano polskie, i wiersze te, jeszcze więcej niż proza, czynią wrażenie jakoby były polskie, z cyrylicą w druku, a ruszczyzną w formach gramatycznych...

Wpływ książki polskiej szerzył się niepowstrzymany, nawet wśród parochów unickich i prawosławnych, korzystających z poetyll polskich, mianowicie Rejowej, jako najpopularniejszej...

MOSKWA

Nierównie efektowniejszym, za to nierównie mniej trwałym, był wpływ kultury polskiej na Moskwę. Zawiodły wprawdzie nadzieje, które konkwistadorów polskich wiodły za Samozwāncem do „Białokamiennej“. Zdumieni Polacy ujrzeli przed sobą dorosłych wiekiem, dzieci umysłem, nic nie wiedzących o Bożym świecie poza swymi murami chińskimi, chytrych prostaków, obłudnych i kłamliwych, nieufnych i zdradzieckich, w szatach niby z obrazów średniowiecznych, bez kobiet (bo strzeżonych w zaciszu domowym), bez sztuki czytania i pisania, bez muzyki, rzeźbiarstwa, druku, bez aptek i lekarzy, różniących się od Tatarów chrześcijaństwem powierzchownym, przesądnym, brzydzących się katolikiem jak psem (po obu należało cerkiew oczyszczać), spodlonych do służalstwa, a zarozumiałych do śmiechu — opisali ich znakomicie Pielgrzymowski, Niemojewski i inni. Moskwa znowu gorszyła się orszakiem Samozwāńca, muzyką, maszkarami — co przeświadczyło ją o nieprawości Samozwāńca i rozjuszyło przeciw obcym,

opadniętym zniecka i albo wymordowanym, albo obłupionym i więzionym latami: cały szereg dzieł polskich powstał w zamknięciu moskiewskim. Chwilowa silna reakcja pogrążyła Moskwę w ciemnościach azyjskich, ale raz powzięty kontakt z Europą działał powoli swoje; nie można się już było obchodzić, jak Tatarzy, bez zbroi europejskiej, wojska zaciężnego, handlu angielskiego, specjalistów zamorskich (do których oprócz gorzałki wnet i „tabak” przystąpił), bez poselstw zagranicznych, bez szkoły i nauki, co w końcu powiodło do „roskołu” — rozdarcia jednolitego dotąd narodu na starowierców odtrącających wszelkie nowinki, zacofanych fanatyków, i na zwolenników „nowości” wszelakich. Dla nich była Polska pomostem upragnionym, Ruś polska i litewska (ta nazwa ogarniała i tamtą) była przyrodzoną pośredniczką między Azją i Europą. „Litwę” pokonała Moskwa orężem”, ale „Litwa” zdobyła ją sobie kulturą. Materiałną niósł napływ polskich malarzy, rzeźbiarzy, rękodzielników, ale jeszcze szerszym pozostał zasięg polskiej książki, mowy, myśli. Nieznana była Moskwie beletrystyka, nie było powieści krom kilku ascetycznych i „Aleksandreidy”; nieznane były dzieje powszechnie, krom kilku kompilacyj mniszych o dziejach starozakonnych i bizantyńskich; nie było żadnej nauki krom słów (kazań) o rzeczach wiary i przesadach (księgi, jak *gromownicy*, *trepetniki*, itd.); nie było wiedzy lekarskiej ani przyrodniczej; astronomia, matematyka itd. należały do *jeliństwa*, którego dla zbawienia duszy strzec się należało; nie byłoby też nigdzie sposobu do ich nabywania, bo szkoły prócz różgi diakowskiej nie było, a druk był monopolem patriarszym.

To wszystko odmieniało się powoli za rządów Aleksieja, syna głupiego Michała, za którego rządził ojciec-patriarcha, gdy się wydobył z niewoli polskiej. Ruś polska i litewska posiadała już szkoły, naukę, druki; była prawosławna i używała tego samego języka na piśmie, więc warunki wymiany, wpływów, zetknięcia były ułatwione i skorzystała z nich Moskwa, acz nie bez wahań i zastrzeżeń; najważniejszym było, że tylko niewielu na razie czerpało z tych źródeł. Dla Moskwy tłumaczyła Ruś beletrystykę ludową polską, „Siedmiu mędrców”, „Powieści rzymskie”, „Meluzynę”, „Magiellonę”, „Cesarza Ottona”, „Facecje” i in.; tłumaczenia ruskie pozbawiały się polonizmów i nabierały w swojej wędrówce rysów językowych moskiewskich. Kroniki Marcina Bielskiego i Strykowskiego weszły do Moskwy; przyswoiła ona sobie i zielniki i inne traktaty medyczne (nawet o wodach w Szkle); nie zawahała się przed legendami średniowiecznymi („Wielkiego zwierciadła”) i traktatami ascetycznymi Drekseliusza i in...

Na polu szkolnictwa wystąpiła najjawniej rola pośrednicząca Kijowa; łaciny wprost obawiało się sumienie prawosławne, ciężące ku grece obrzędowej, ale po wszelakich mniej udanych próbach przeszczepiono cały system szkół „litewskich” i kolegium kijow-

skiego do Moskwy. Wychodźcy litewscy zawładnęli sterem umysłowym...

Szymon z Połocka został nadwornym niby poetą, nauczycielem dzieci carskich, rugował on swoim psalterzem Kochanowskiego, a układał wiersze sylabiczne, czy ascetyczne, czy na witania rocznic carskich. Najwyżej stanął pracą i nauką Dymitr Tuptalenko, później kanonizowany biskup rostowski, który stworzył „Żywoty świętych” (niby jak Skarga) i seminarium duchowne całkiem wedle wzorów kijowskich urządził.. Uzupełniały te wpływy polskie na dworze cara Aleksieja i syna Fiedora, na dworze Zofii (opiekunki małoletnich Iwana i Piotra) i kniazia Golicyna, strój polski, stoły polskie, obyczaj polski, a chociaż Piotr W. niebawem nawę państwa w innym obrócił kierunku, do Holandii, Paryża, Wenecji, Wiednia wprost ją powiódł, pozostały do dziś w języku rosyjskim, już nie moskiewskim tylko, wyrazy świadczące o wpływie kulturalnym polskim, nawet wyrazy które my sami dziś pozapominaliśmy, np. *turma* (wieża, *tiurma*), *spina* (z łaciny przez nasze pośrednictwo), *kirka* (nasza *kircha*, z niemieckiego); wyrazy z dziedziny stroju, pożywienia, budowli itd., np. *panczecha*, *bułka* (*bułocznik*, *piekarz*), *pokoi*, *risować* (rysować, rysunek itd.), *rachować*, *malewać* itd., a w dawnym języku, jeszcze Piotra W., było tych wyrazów o wiele więcej, np. *szlacheckij*, *koruna* itd.

RUMUNIA

Jeszcze szczuplejsze niż w Moskwie, były w Jassach koła podpadłe zupełnie wpływom polskim. Stosunki polityczne między Polską a Wołoszczyzną były odwieczne, przychodziło do istotnego lennictwa, przerywanego krwawymi walkami — szczególnie na przełomie wieku XV i XVI. W drugiej połowie XVI i w pierwszych latach XVII brali magnaci polscy wbrew zamiarom królewskim czynny udział we wprowadzaniu i zrzucaniu gospodarów; najbardziej rodzina mołdawskich Mohiłów sprzęgła się z możnowładztwem polskim... W XVII wieku ci Rumuni, co się nie zadowalali nauką diakowską, sięgnęli do najbliższej wyższej, do polskiej, i pierwsi pisarze rumuńscy tego wieku byli wychowankami polskiej szkoły i literatury. Najstynniejszy z nich logofet Miron Kostyn, najwierniejszy Sobieskiego służebnik, który życiem tę gorliwość przypłacił, autor „Opisania ziemi mołdawskiej i multańskiej” z r. 1684, wierszami, i prozaicznej „Chroniki ziem mołdawskich i multańskich”, czerpiących z polskich historyków; jak na obcego, władał Kostyn znakomicie polszczyzną. Podobnie poprzednik jego, kronikarz Urechia, zostawał pod wpływem polskim. Równocześnie metropolita suczawski Desytej, uprowadzony czy towarzyszący Sobieskiemu z Jass do Stryja i Żółkwi (gdzie umarł r. 1693), przewierszował pierwszy psalterz wzorując się na

Kochanowskim. Nieudale pochody mołdawskie Sobieskiego, szczególnie z r. 1686, pozbawiły Polskę miru u Rumunów; przeważył wpływ rosyjski, uosobiony w Dymitrym Kantemirze (którego syn zagaił świecką literaturę rosyjską satyrami swymi). Jeszcze w XVIII i XIX wieku rodzina rumuńska (z polskiej szlachty) Hażdeu albo Hażden, słynna w literaturze rumuńskiej przez trzy pokolenia, należała, przynajmniej w osobie Tadeusza Hażdena, i do literatury polskiej, stanisławowskiej. Niemoc Polski saskiej zerwała dawne węzły, ale niezapomniane są początki literatury narodowej pod przewodnictwem i wzorem polskim.

LITWA

W tym samym wieku spotężniał i wpływ polski na Litwę etnograficzną, gdzie szlachecka przyjęła już dawno zupełnie kulturę polską z językiem i pismem, która jej zastąpiła miejsce ruskiej (litewskiej nie było nigdy żadnej). Gdy w pruskiej Litwie rząd ksiązęcy i pastrowie luterscy dla celów nabożeństwa starali się o przekłady psalterza, pieśni, agendy, podjęto się tego samego na polskiej Litwie przez panów akatolików i księży jezuitów. Język litewski wtedy nie był ograniczony do wsi i chłopów, głównie żmudzkich, albo do niewielu wyrobników i służących wileńskich; znamieny fakt, że tłumaczono postyllę Reja i Wujka, że drukowano litewskie katechizmy („księgi nabożeństwa”) kalwińskie i jezuickie, że jezuita Szyrwid ogłosił i „Punkty kazań” i słownik litewsko-polsko-łaciński (który kilku wydań doczekał); najważniejsza to praca dawnej leksykografii litewskiej...

Jezuici rokrocznie podejmowali z Wilna, potem i z Kroź, misje wśród Litwy, władając jej językiem, i w dorocznych sprawozdaniach z czynności każdego kolegium (nieraz i drukowanych, nie tylko składanych do archiwów zakonnych) opowiadali o tych misjach walczących z zabobonami; oni dopiero zupełną chrystianizację Litwy przeprowadzili. Tak samo działali wśród Łotwy. — W polskich Inflantach, skromnej resztki nabytków Batorego i Zamojskiego, przywrócili katolicyzm wieśniaków, gdy cała dalsza Łotwa protestancką została; tej Łotwie, z jej odrębnym narzeczem, nie poświęcili jednak jezuita tyle pracy, co Litwie, nierównie rozleglejszej i ludniejszej.

Nie przeszkodzili jezuita zupełnemu rozbratowi między inteligencją a gminem: aż do końca XVIII wieku pozostał szlachcie litewskiej język ludowy obcym; do nader nielicznych wyjątków należeli ci właściciele, co by się mogli porozumieć z ludem w jego języku: ekonom lub jaki inny urzędnik pański był tłumaczem; w szlacheckich *Silva rerum* niesłychaną rzadkością bywa zapisanie kilku czy kilkuset wyrazów litewskich, nie ma mowy o jakichś tekstach. Jezuita wprowadzając na scenę w intermediach chłopca litewskiego wyposażali go słowami luźnymi litewskimi... W Wil-

nie odprawiali jezuita w jedynym kościele nabożeństwo litewskie (kazania), ale od połowy XVIII wieku ich zaprzestali — nie było potrzeby. Na wsi ocalała litewszczyzna, chociaż granice jej szczyptały; z nazwisk miejscowych widoczny nierównie dalszy zasięg jej dawniejszy; ustępowała przed Białorusią przyjmując jej język, rzadziej polski, np. we wsiach podwileńskich, gdzie pod wpływem miasta gmin zupełnie spolszczał, tak że od dawna wieniec wsi polskich Wilno otaczał...

Pozostawała wtedy Litwa stanowczo w tyle, nie mogła się zrównać z Polską, bo jeżeli świecił dwór radziwiłłowski w Birżach i Kiejdanach polorem, to składali się nań przeważnie Polacy, Rysińscy, Naborowski, Morsztyni, Szlichtyngi, Karmanowscy itd. Wystarczy porównać, jak drobnym był wkład „litewski“ w literaturę i naukę siedemnastowieczną. Z Wilna i Wołynia, Połocka i Smoleńska, Nowogródka i Mścisławia rzadki był literat czy erudyt, a po tych niewielu raczej nazwiska niż utwory pozostały; Jagodyński (poeta), Wojsznarowicz (mówca), Dorohostajski, Szemiot — oto najznacniejsi.

Kultura, ogłada, obyczajowość nabrały w całej Polsce cech arystokratycznych — nie na próżno nadawała szlachta całemu życiu cechy właściwe. To uznawali sąsiedzi, imponowało to Niemcom śląskim czy pruskim, którzy się chętnie do Polski garnęli. Ślężacy pojawili się na dworze Wazów, Opitz, zawołany poeta, był na służbie u Władysława IV, a poeci śląscy tłumaczyli Kochanowskiego; szczególnie w opałach wojny trzydziestoletniej zazdrościli Polsce dobrobytu i pokoju. Niemcy gdańscy, zawiązujący wszystkie swe bogactwa wyłącznie roli pośrednika między producentem polskim a kupcem holandskim, warując zazdrośnie wyjątkowe swe przywileje, na które szlachta nieraz sarkała (choć na żaden krok stanowczy się nie zdobyła), wobec żywiołu polskiego zachowywali się bardzo ostrożnie, nie znieśli szkoły polskiej, ale publicznych jej występów nie ułatwiali, np. przeszkadzali wystawianiu dramatów szkolnych polskich. W Królewcu żywioł polski nie był liczny, ale szlachta pruska, a nawet mieszczaństwo spoglądali z nietajoną życzliwością na Polskę, gdzie samowoli panującego były nałożone najcięższe wodze, i tylko niemoć polityczna Polski po r. 1648, dręczonej zewsząd przez najęźdźców, przeszkodziła, że opór przeciw absolutyzmowi kurfirsztu nie przybrał form ostrzejszych, że nie przyszło do interwencji, jakiej sobie życzyli Kalkszteiny, że zrzekła się Polska praw swych lenniczych.



DWORY W DAWNEJ POLSCE

KRÓTKA NAUKA BUDOWNICZA

DWORÓW, PAŁACÓW, ZAMKÓW PODŁUG NIEBA I ZWYCZAJU
POLSKIEGO (1659)

(Wyjątki)

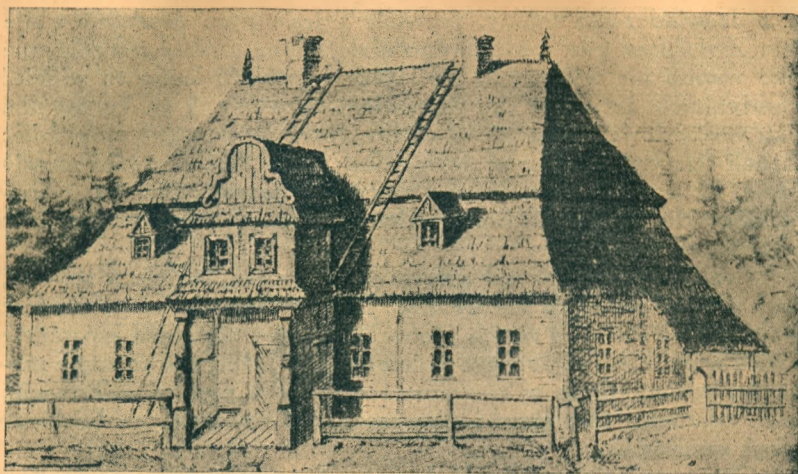
Naprzód, aby się speza nie przykrzyła, radzę budować *ad proportionem* dostatków. To jest, jako Polacy mówią: niech będzie według stawu grobla. Radzę tedy w przód komput i rachunek uczynić kosztu wszytkiego. Potem, jeżeli się będzie zdał zbyt, ująć albo wielkości albo ozdób budynku i wszytko *reducere* do tej miary, której pozwoli dostatek, już sobie postanowić sumę przyszłego wydatku, a możnali, mieć ją gotową, nim budynek poczniesz.

Co zaś do uprzykrzenia i zwłoki, na to jeden sposób: w przód mieć materyją, niż poczniesz murować. To ubędzie uprzykrzenia, gdy oraz o oboje starać się nie będzie potrzeba i nieleniwo robota iść i rósć będzie mogła.

Na koniec co do inwencyjej i umiejętności budowania, tę ja, a to pierwszy, podavam stosując ją *ad usum* Polski.

Każdy albowiem naród ma sposób inakszy i osobny budowania prywatnego, to jest *architecturae civilis*. I stosuje go w przód do swego nieba, a potem do swego zwyczajnego życia. Do nieba albo postanowienia powietrza naprzód. Albowiem, że dom na to jest, aby nas bronił od jego niepogód, dlatego trzeba go stawiać *secundum aëris constitutionem*. I stąd we Włoszech, gdzie gorąca panują, o to się starają, aby było chłodno. W Polszcze zaś, gdzie największa część roku albo zimna albo chłodna, aby było ciepło. Tam dach być może płaski, kamieniem położony, tak że po nim chodźć możesz. U nas dla deszczów i śniegów taki być nie może. Tam nie trzeba przystępów do palenia w piecu: u nas koniecznie potrzeba.

Co zaś do zwyczajów pospolitego życia i tenże w każdym narodzie jest różny, dlatego inakszej też w pomieszkaniu wygodę potrzebuje. Tak w cudzych krajach, że w miastach najczęściej żyją i mieszkają. Stąd pałace tamże budują najprzedniejsze, które więc stawiają w miejscu ciasnym i szczupłym dla niedostatku placu. A zatem być muszą o kilku piętrach wysokie. W Polszcze zaś na wsiach i w majątnościach panowie żyją, gdzie gruntu i placu do budynku, ile chcesz, dlategoż nie trzeba się ścisnąć i inaczej niż w mieście budować. Tam małym dworem mieszkają, w Polszcze ludzi moc, gdzie pan ma sługę, sługa czeladnika, a ten chłopca, a tak trzeba przestronności. Tam stołowej izby nie trzeba i wielkiej przed nią sieni. Ani izb dla gości osobnych, bo w mieście na



Dwór w Łopusznie, pow. nowotarski, rys. M. Cercha

noc nie zostanie, w Polsce, gdzie *hospitalitas* płuży i jeden drugiemu odjada, budynek bez tego być nie może.

Słusznie tedy osobna *architectura civilis* ma być, jako każdego narodu tak i polskiego. Bo kto chce po cudzoziemsku mieszkać, trzeba żyć po cudzoziemsku. A że trudno życie odmienić, które już dawny zwyczaj stwierdził, toć dom i mieszkanie do niego stosować potrzeba...

Dobre budowanie ma trzy mieć okoliczności. Naprzód moc i gruntowną trwałość; potem wczas i wygodę. Na koniec kształt i piękny pozór. Tych okoliczności dwie pierwsze koniecznie zachować trzeba. Trzecią, ile może być. A zachowasz, gdy będzie dobre budynku położenie, *materia*, forma. A potem umiejętny rzemieślnik i dobra jego robota.

W położeniu uważać w przód miejsce, które ma być zdrowe i przy suchym powietrzu. Wygodne, przy żyznym kraju, przy wodzie żywej, albo możnali portowej rzece, przy tym przy sposobności lochów i sklepów. Wesołe na koniec przy pięknym prospekcie. Lecz raczej te są *vota quam praecepta*. Trudno sobie miejsce stworzyć, ale jakie masz, takiego zażyć umiejętnie. Starzy Polacy albo na wysokich górach, albo w dole i w błocie mrowali, jako to dawne zamki pokazują. Ale góry wiatrom podległe, dla których okna trudno być mogą całe, potem zimno zbyt. Na koniec wody nie masz. Niskie zaś miejsca dla zbyt wilgotności niezdrowe i piwnic mieć nie mogą. Najwcześniejsza tedy albo równina albo niewielki pagórek z propektem wesołym.

Co zaś do obrócenia domu *ad certam plagam*. Tego się w Polsce, ile możemy, strzec trzeba, aby czoło budynku, weście i facyjata, która zwykła być najozdobniejsza, nie była na zachód.

Bo z doświadczenia mamy, że wiatr z jesiennym deszczem obije tynk. Zwłaszcza gdy mróz zwilgotniałą ścianę ścisnąć pocznie, nie tylko wapno nie wytrzyma, ale i żaden kamień; łącno to widzieć w budynkach, że ściany ku zachodowi obrócone z tynku opadły. A ku wschodowi i południowi całe... Toteż uważ, abyś mógł mieć możnali ogrody i sady pod okny albo (jako Kochanowski mówi) w tyle, aż pojrzyć mile. Więc i podwórze przestronne dla gospodarskiego domu, dla kuchni, piekarnie, stajen, wozowni i inszych potrzebnych budynków.

I to rozumiem nie od rzeczy *consideratio*, tak dom stawiać, żebyś z okna samsiada nie widział. Jeżeli włość wielka, to możesz na pagórku o dwóch i trzech piętrach. Bo gdy cię spyta kto: czyję to wieś widać? — odpowiesz śmieje: moję. Jeżeli zaś szczupła majątność, rozumiabym w równinie i o jednym piętrze. Albowiem, moim zdaniem, niepiękny i niewesoły jest prospekt na bliskiego nazbyt samsiada...

Obrawszy miejsce do budynku, więc już gotuj co prędzej materyją. Ale rzeczesz: jaką? Odpowiadam, jeżeli według zwyczaju polskiego, drzewo. Tym najwięcej budujemy, ale, moim zdaniem, źle i nieuważnie. Częścią dla nietrwałości, częścią dla niebezpieczeństwa. Gdyż dom drewniany (jako mówią) jest stos dreb dobrze złożony. Więc i koszt, gdyby do rachunku przyszło, nie wielą większy jest w murowaniu, zwłaszcza gdzie kamień jest bliski, zwłaszcza na jedno piętro, zwłaszcza gdy mury nazbyt nie szerokie...

Compartitionem nazywają umiejętne i rozsądne podzielenie budynku na różne do wczesnego pomieszkania gmachy, jako sieni, izby, pokoje, alkierze, komory, sale, galerie i insze. W tej generalne reguły do wszelakich budynków służące te są: naprzód, aby się *compartitio* zgadzała do kondycyjej tego, który tam ma mieszkać, to jest czy wielki, czy mały pan i z jakim dworem, z tej uwagi liczba pokoiów i wielkość izb ma pochodzić. Więc i insze budynku okoliczności. Ja, że dla dostatniejszych tylko, dla paniąt najwięcej tę pracą obracam, dlategoż tak rozumiem, że kto chce mieć dla siebie piękny i pozorny wczas, ma mieć przynajmniej te izby: zaraz z sieni antikamerę, jako Włoszy zowią, to jest pierwszą izbę, w której pokojowi zostawają. Potem z niej pokój, w którym przyjmuje gości. A na koniec retiratę, gdzie się odwieść na rozmowę z kim może. Łóżko lub w pokoju lub w retiracie bywa, ale i to by miało mieć osobny swój pokój, lecie chłodny, zimie ciepły, wolny od much, komarów, płech. W co wszystko łącno potrafić, kiedy w nim przebywać nie będą, kiedy go zamykać będą, kiedy okna w gorąco zasłonię, w zimno zawarte i dwoiste. Więcej nadto pokoiów dla gospodarza samego, raczej *ad magnificentiam* i do okazałości niżli potrzeby i wczasu. A tak możni panowie przyczyniać ich *ad arbitrium* mogą nieba naśladować, w którym *mansiones multae*. Przy pokojach gospodarskich zaraz mają

być pokoje pani samej. Ma mieć pani najmniej parę pokoiów z alkirzem, albo jako teraz nazywają *alcôve*. Ma mieć przy tym bliski wschód i przeście lub do górnego, lub do dolnego fraucimeru, aby nie przebiegając się po sieni, białogłowy łączny przystęp do niej miały. Trzecia: pod tymże dachem, to jest *in eodem aedificio*, ma być apartamentcik przynajmniej o paru pokojach dla gościa zacnego, gdy się trafi. Bo prowadzić go pod inszy dach przez podwórze nie kształt i nie polityczna dyskrecyja. Samemu zaś z izb swych ustępować i rumować się ze wszystkim, niewczas srogi. A tak trzeba mieć gotowy gmach gościnny. Czwarta: w tymże, gdzie mieszkaśz domu, ma być stołowa izba, żeby się do niej nie przechodzić przez podwórze. Te są izby w jednym budynku do wczasu i kształtnej wygody konieczne. Insze raczej dla pompy i okazałości...

FORTALICJE

W ł a d y ś ł a w Ł o z i ń s k i, Życie polskie w dawnych wiekach,
wyjątki

Nawet w czasach spokoju żyło się jakby na wojennych czasach. Da się to przede wszystkim powiedzieć o Ukrainie, Podolu, Wołyniu, o całym województwie ruskim. Stąd poszło, że w tych stronach Polski każdy ziemianin mieszkał jakby w małej forteczce. Każdy prawie nieco zamożniejszy dwór szlachecki był obronnym do pewnego stopnia zamczkiem i taką mu też dawano nazwę. W aktach publicznych XVII wieku spotykamy się ciągle z nazwą *fortalitium* w miejscach, gdzie jak dowodnie wiemy, nigdy twierdzy w najszerszym choćby znaczeniu tego słowa nie było...

Z inwentarzy dóbr szlacheckich XVI i XVII wieku, jakie się nam dochowały w aktach sądowych, da się powziąć wyobrażenie, jak wyglądał taki drewniany szlachecki zamczek. Przede wszystkim cechą jego główną była baszta, czyli, jak ją niekiedy nazywano, bojnica... Baszta taka służyła bardziej do straży niż do obrony, czuwali na niej zwykle chłopci, którzy na znak czujności musieli śpiewać lub dąć w piszczałki, zwyczaj, który się dochował do naszych czasów u nocnych wart wiejskich. Baszta miewała co najmniej cztery sążnie wysokości, a szczyt jej opatrzony był w strzelniczkę o sześciu lub ośmiu okienkach...

Sam dwór drewniany i jego podwórze obwiedzione były wysokim ostrogiem, czyli częstokołem, z silnych dębowych palów, które u góry zaciosane były jakby w groty dzid; u dołu ostrokół ten wzmocniony był podsypem ziemi i podgrodzony silnym płotem sięgającym po pas człowieka. To był pierwszy okrąg warowny. Za nim szło gospodarskie podwórze otoczone dokoła tzw. tynem, to jest bardzo mocnym i wysokim ogrodzeniem ociernio-

nym u góry, a poza tym ogrodzeniem opasywały i zamykały cały obszar siedziby wał wysoko usypany i głęboka fosa. Ale nawet po przesadzeniu okopu, po wyrąbaniu ostrogu, po przedarciu tynu, napastnik i najeźdźca spotykał się z oporem samegoż domostwa mieszkalnego. Okna bywały silnie żelazem okratowane, drzwi wchodowe grube, dębowe, gęsto okowane i mocno zamczyste, strzegły wnętrza, a sień wstępna bywała także niekiedy bardzo obronna...

Ale nawet i takie siedziby szlacheckie, które nie były zamczkami, ubezpieczone były dostatecznie od nieproszonego napastliwego gościa, o którego nie było trudno. Przestrzegano tego, aby, jak mawiano: pierwaj było „Otwórz”, a dopiero potem „Pomagaj Bóg”! — Obejście dworskie opasował wysoki płot, silnie grodzony, zamożniejsi zdobywali się na odyłowanie pokryte gontowym środkiem, lub na tzw. zamiot, po dzisiejszemu parkan, złożony z desek wpuszczonych horyzontalnie w dębowe słupy. Silna brama pilnowana przez wrotnych strzegła podwórza; drzwi wchodowe z grubej dębiny, okowane, i żelazne ostrowia, tj. kraty u okien, strzegły samego domu. Brama główna wiodąca na obejście miewała najczęściej tzw. samborze, tj. po obu bokach bramy i nad nią były pięterka przeznaczone na mieszkanie wrotnych stróżów, do którego schody prowadziły od wewnętrznej strony podwórza...

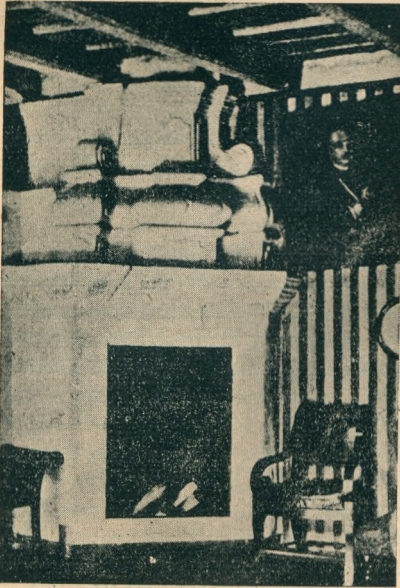
WNĘTRZE DOMU

W ł. Ł o z i ń s k i, jw.

Urządzenie wewnętrzne domu bywało w bardzo zamożnych nawet dworach przez długi czas, aż pod koniec XVIII wieku, wcale skromne i poprzestawało na najniezbędniejszych użytkowych sprzętach... Sień i izbę stołową, te dwie główne części każdego wiejskiego domostwa, obiegały dokoła ścian ławy, w innych komnatach były zydle. Ławki i stoły z gołego, najczęściej lipowego drzewa, co najwięcej malowane, a to najczęściej na zielono... Rzadko się znalazł sprzęt zbyt kowny, a za takie już uchodziły krzesła gdańskie, karła kordybanowe i w ogóle meble wyścielane i droższą materią lub skórą obite. Tylko niektóre sprzęty odznaczały się wyższą sztuką stolarską, a niekiedy bywały nawet bardzo kosztownej roboty, a mianowicie służba, czyli po dzisiejszemu kredens, almaria czyli szafa, sepet czyli skrzynia, późniejszy już nieco kantor czyli sekretarz, *sanctuarium* pana, i apteczka, *sanctuarium* pani domu. Na te sprzęty nie żałowano kosztu; bywały one „sztukwarkowe” i sadzone, tj. ozdabiane intarsjami w różnokolorowym drzewie, rzezane, czyli rzeźbione, niekiedy malowaną ornamentyką pokryte, a zawsze misternie i silnie okute i mocno zamczyste. W takich niekiedy potężnych rozmiarów sepe-

tach chowano najcenniejsze ruchomości, garderoby, futra, srebra i klejnoty, a co było większej objętości a mniejszej ceny, na to miał schowanie osobne w bezpośrednim pobliżu domu zbudowany, dobrze ubezpieczony, a nocą przez psy i wartowników strzeżony świerzeń, tj. mówiąc słowami inwentarza z roku 1630, „komora na podwórzu mocna, w obłę drzewo zbudowana, obwarowana na kształt skarbnicy“. Świerzeń, który niekiedy był jedynym murowanym budynkiem przy dworze, nazywano także klecią i lamusem.

Z pułapu świetlic zwieszała się mosiężna korona, czyli pajak, a czasem też Meluzyna z rogami jelenia, może trofeą myśliwską samego gospodarza, niekiedy zaś bardzo skromny świecznik drewniany o dwóch skrzyżowanych listwach, na których końcu tkwiły woskowe, czyli tzw. jarzące świece — sam pułap nie był gładko wyprawiony, ale miał belkowanie oparte na ozdobniejszym od belek siestrzanie ciesielskiej roboty, na którym wyciosał majster czasem datę budowy, czasem jakąś moralną dewizę, czasem domorodny naiwny ornament z herbem dziedzica. Okna były liczne — było ich niekiedy po 8 i 10 w izbie stołowej i w świetlicy — ale w uboższych dworach zamiast szkła miały tylko błony, tj. płótno woskowane przejryste lub nawet tylko papier rozpuszczony tłuszczem, i błony te służyły długo, bo aż w głąb XVII wieku, nim zastąpiły je drobne szybki z krajowego szkła o zielonawej barwie, wpuszczane albo w drzewo albo w ołów. U możniejszych szybki okienne były z białego, czystego i gładkiego szkła i miały nazwę weneckich... Podłoga, czyli tło albo pawiment, bo i tych nazw używano, bywała drewniana z prostych tarcic sosnowych, w wykwintniejszych dworach z dębowych. Dopiero w czasach saskiej dynastii spotykamy posadzki „w arkusze“ lub „w tabulatury“, a więc rodzaj parkietów... Drzwi bywały w przeważnej części pomieszkania jednoskrzydłowe i najprostszej roboty; drzwi dwuskrzydłowe, czyli podwoje, jeśli nadto były wytworniejszej, tj. nie ciesielskiej, ale stolarskiej roboty, a w dodatku jeszcze fladowane, tj. z szlachetniejszego drzewa i o widocznych słojach, jeśli miały klamki żelazne pobielane, zamki wewnętrzne, to znaczy w drzewo wpuszczane, i zawiasy żelazne — należały już poniekąd do rzeczy wyższego komfortu i elegancji, bardzo często bowiem były od siekiery i obracały się na drewnianych wieszach, a zamykały się na wrzeciędz, również drewniany, lub na zasuwę wiejskiej kowalskiej roboty. Olbrzymie kominy w sieniach i izbie stołowej, piece w komnatach miały także swoje stopnie wytworności; zazwyczaj były tylko murowane albo nawet z gliny lepionej; zdarzały się jednak często kominy z alabastru i kamienia, a piece z kafli polewanych i malowanych, najczęściej gdańskich, a wtedy były prawdziwą ozdobą i osobliwością mieszkania... Najdostojniejsze miejsce miał komin, szanowne ognisko, symbol rodzinnego życia, „przyjaciel duszy szlacheckiej“, jak go Rej nazywa. Piec



Kominiek w Letewszczyźnie,
pow. dzisieński

dawał tylko ciepło i był głuchy i niemy; komin dawał ciepło i światło i gadał do człowieka...

Komnaty sprawiały wrażenie bogactwa, a do pewnego stopnia nawet zbytku i uderzać musiały gościa bardzo malowniczą dekoracją, a to dzięki tej nieprzebranej niekiedy obfitości opon, szpalerów, makat, kobierców i kołtryn, w których się miłowano, a których nie brakło w żadnym dostatniejszym nieco dworze szlacheckim. Ściany w pryncypalnych pokojach nigdy nie były gołe; są wskazówki, że niekiedy były malowane w festony, kwiaty, drzewa... Kto lubił malowane ściany, ten uciekał się do tzw. kołtryn (z włoskiego *coltre*, *coltrina*), które były tym, czym są dzisiaj tapety papierowe. Były to płótna malowane klejo-

wo lub olejnie w ornamenta, kwiaty, widoki, a nawet osoby. Kupowano je już gotowe, a sprowadzano pierwotnie z Włoch, jak sama nazwa świadczy, później atoli przeważnie z Gdańska, Wrocławia i Norymbergi. Najpiękniejsze i najbardziej cenione w XVI i XVII wieku były zawsze przecież kołtryny włoskie, a zwłaszcza neapolitańskie i bergamskie... Obok kołtryn używano do pokrycia ścian także sukna zielonego lub czerwonego — częściej zaś szpalerów albo stref, tj. brytów materii o dwóch rozmaitych kolorach pionowo od pułapu do pawimentu zawieszonych...

Ale kołtryny i strefy były stałą dekoracją, musiały być dostosowane do wysokości, przestrzeni i formy komnaty, co utrudniało ich użycie w razie zmiany miejsca zamieszkania, mniej też odpowiadały smakowi i obyczajom szlacheckiego ogółu, którego siedziby w wewnętrznym urządzeniu miały zawsze coś z improvizacji i obozowej dorywczowości, przenoszono więc nad nie makaty, kobierce i kilimy, które łatwo zawiesić i łatwo zdjąć się dały. Makat i kobierców miewał najskromniejszy nawet dom szlachecki w obfitości, w zamożniejszych liczba i różnorodność ich była wprost zdumiewająca...

Dodajmy do tego, że chociaż — mówiąc słowami poety XVII wieku — „nie wisiał landszaft nowy na tych ścianach Rubensowy, kontrefektów też niewiele i nie dzieła Dolabelli“, to kontrefekty przodków, jakiegokolwiek były, przecież były, a rozwie-

szone nad drzwiami izby stołowej nadawały jej tę czcigodność, jaka się należy starożytnym tradycjom domu i rodziny. Daleko wszakże świetniejszą, aniżeli te portrety antenatów, daleko bogatszą dekoracją ścian była broń, niekiedy bardzo kosztowna, której cały arsenał bywał zawsze po dworach szlacheckich. Były to złociste szable, buzdygany, półbrojki, kolczugi, szyszaki i tarcze, rycerski splendor szlachcica, często o tyle dostojniejszy i cenniejszy, że był na serio wojenną trofeą gospodarza i jego synów. Bywały domy szlacheckie, których ściany były niejako wojenną historią całego stulecia; widzieć na nich można było pamiątki zdobywcze z całego szeregu wypraw, począwszy od tureckiego buńczuka i srebrnego tatarskiego jarczaka, od bogatego bojarskiego bechtera i złocistej moskiewskiej ikony aż do szpady szwedzkiej i niemieckich bandoletów...

T A Ń C E

Wł. Łoziński, jw.

...,Tam trefne pęsy z ukłony, tam cenar, tam i goniony“ — czytamy u Kochanowskiego. O tymże „gonionym“ i o „chwytanym kole“ wspomina Wacław Potocki; o galardzie dowiadujemy się od Opalińskiego; o „wyrwanym“ i „wielkim“ od Paska; o starodawnym lipku — o ulubionym przez żołnierzy hajduku, o świeczkowym i o młynku od Hieronima Morsztyna...

Laboureur, historiograf podróży poślubionej Władysławowi IV Marii Ludwici — tak opisuje taniec polski: „Tańcowali w okrąg; zwykle dwie kobiety były razem, potem dwaj mężczyźni i tak dalej. Pierwsza część polegała na pokłonach (*de reverence*), potem na kroczeniu do miary i taktu muzyki (*une cadence bien réglée*). Czasem dwie damy, które były na czele, nagle i zniemacka środkiem śpieszniej się wracały, niby chcąc wymknąć się dwom kawalerom postępującym za nimi“. Jest to jedna z figur do dzisiaj używanych w polonezie, tańcu *par excellence* polskim, który nabył prawa obywatelstwa w całej Europie, a którym zachwyca się jeszcze w ostatnich latach XVIII wieku Liwończyk Schultz przyznając, że wdziękowi i powadze tego tańca żaden inny europejski taniec nie dorówna, tak jak żaden cudzoziemiec nie zdoła przyswoić sobie tej gracji, jaką rozwijają w nim Polacy. Pod koniec XVIII w. dotarł polonez już i do salonów paryskich, nawet na dworze królewskim pozyskał sobie prawa obywatelstwa, a Kazimierz Nestor Sapięha opowiada w jednym ze swoich paryskich listów, pisanych w roku 1778 do matki, że tańczono tam poloneza w kostiumach polskich, „niezupełnie podobnych do naszych, ale bardzo ładnych, a królowa najpiękniejsza była ze wszystkich“. Znano go także w salonach niemieckich, ale autor bezimienny, piszący około roku 1759, sam Niemiec, po-

wiada, że polonez tańczony przez Niemców tak się ma do poloneza tańczonego przez Polaków, jak zająkliwa sylabizacja zączka do skończonej deklamacji artysty. Najstarszą oryginalną nutą poloneza, według poświadczonej przez Niemcewicza tradycji, miała być śpiewana do dziś dnia kolęda „W żłobie leży”. Według tej nuty, na miarę polskiego tańca ułożonej, lubił podobno tańcować król Władysław IV.

Skocznych i wirowych tańców nie lubiono, a może nie znano po domach szlacheckich; informator włoski, nuncjusz Marescotti, który bawił w Polsce w r. 1668, powiada, że taniec polski jest raczej rytmicznym, posuwistym kroczeniem do taktu muzyki aniżeli naprawdę tańcem (*può dirsi piu tosto passeggio che ballo*), i podaje o nim szczegóły, po których poznajemy nasz polonez. Poza tym polskim rodowicie tańcem, poza wymienionymi już tańcami, których nazwa wskazywałaby, że były także oryginalnie polskie, ale o których nie wiemy nic bliższego, i poza tańcami ludowymi, z których tylko bardzo mało i to bardzo późno przedostało się do warstw wyższych, nie spotykamy w Polsce XVI i XVII wieku tańców, że tak powiemy, wybitnie i popularnie swojskich, tradycyjnie żywych. Wspomniani powyżej cenar (niemiecki *Zeuner*) i galarda (francuska *gaillarde*) są obcego pochodzenia; a jak wcześniej — bo już w średniowieczu — przyswajano sobie w Polsce cudzoziemskie tańce, tego zachowało się świadectwo w języku, tym najstarożytniejszym źródle obyczajowej historii: że tu przytoczymy owe „reje” (staroniemieckie *Reie, Reige*) i „firlaje” (francuskie *virlei*), z których pierwsze żyją dotąd w wyrażeniu: „wodzić rej”...

JĘDRZEJ KITOWICZ

OPIS OBYCZAJÓW I ZWYCZAJÓW ZA PANOWANIA AUGUSTA III

(Wyjątki)

O STROJACH CZYLI SUKNIACH MĘSKICH

Kontusz, żupan, pas, spodnie i buty, czapka, to było całym ubiorem publicznym Polaka — szlachcica i mieszczanina. Szlachcic przypasywał kontusz pasem. Kontusze zimowe bywały podszywane lekkim jakim futrem, gronostajami, popielicami, królikami, susłami, kunami i sobolami...

Szabla była rozmaita. Szabla prosta, czarna *alias* w żelazo oprawna na rzemiennych paskach; i ta pospolita była zawsze szlachcie ubogiej; zamiast capy albo kurszu (są to dwa gatunki skóry, w które szable oprawiano) obszyta w węgorzową skórę; nic to nie szkodziło, bo głównie *alias* żelazo stanowiło cały szacunek i nie tylko między drobną szlachtą, ale też między najmożniejszymi pany szabla przechodziła od ojca do syna, od syna do

wnuka i tam dalej w sukcesji między najdroższymi klejnotami... Szabla czarna staroświecka była zawsze krzywa. Z kuźnic wyższych najbardziej popłacała; dobroci jej próbowano, kiedy się dała giąć niemal do samej rękojeści i gdy się po takim zgięciu wprost wyprężała... Rękojeści u szabel czarnych były z pałąkiem graniastym i małym skobelkiem, żelaznymi; ten pałąk nazywał się krzyżem, a skobelk paluchem, od wielkiego palca, który w niego wchodził. W dalszym czasie wymyślono do szabel takie krzyże, że całą rękę okrywały; i zwał się taki krzyż furdymment, składał się z prętów żelaznych jak klatka i z blachy w środku wielkości dłoni...

Do paradniejszego stroju używano karabelek tureckich, czezcugów tatarskich i pałasików w srebro oprawnych albo pozłacanych albo szmelcowanych; takich najwięcej wychodziło ze Lwowa, przez co zwano je zazwyczaj lwowskimi. Nawiązanie do szabel i karabelów było dwójakiej mody: najdawniejsze było z pasków rzemiennych, obszernych, z przączkami i centkami na końcach srebrnymi albo pozłocistymi; te paski utrzymywały szablę tuż przy pasie, tak iż krzyż szabli równał się z pasem; paski obejmowały sam bok lewy, schodząc się do węzła w tyle na krzyżu człowieka nad pasem, czyli na pacierzu. Takim sposobem nawiązywane były rapcie, które się tym różniły od pasków, że były nie rzemieienne, ale z jedwabnego sznuru, czasem same przez się, czasem srebrem lub złotem przerabiane, czasem z samego srebra lub złota...

Pasy do publicznego stroju, tak u szlachty jak u mieszczan, bywały jedwabne, siatkowe, szmuchiarskiej roboty, z końcami w sznurku kręconymi, w kolorach rozmaitych, lecz najwięcej karmazynowym... Na powszednie chodzenie zażywano pasów taśmowych, rzemieniem podszytych, na klamrę żelazną, mosiężną, srebrną, pozłocistą, według przemożenia i ambicyi każdego, na przodzie zapinaną.

Zarzucili niedługo takie pasy siatkowe i taśmowe, wzięli się do pasów tureckich, perskich i chińskich; te ostatnie były to z wełny tak delikatnej robione, że choć był taki pas szeroki na łokcie, przewiółk go przez pierścionek; nazywał się taki pas bawolim, służył do najbogatszej sukni, lubo nie miał żadnej innej ozdoby, tylko szlaki, czyli brzegi, dziwnie w miłe kwiaty wyrobione. Samego pasa takiego kolor bywał jednostajny, zielony, pomarańczowy, karmazynowy i biały...

Tureckie i perskie pasy były rozmaite, dłuższe i krótsze, szersze i węższe, sute i ordynaryjne, wszystkie jedwabne rozmaitych kolorów i deseni, srebrem i złotem bogato i skąpo przerabiane...

Nastaly potem pasy sluckie, bogactwem i pięknoscią perskim i tureckim bynajmniej nie ustępujące. Każdy pas takowy, bogaty lub ordynaryjny, miał na końcu wyhaftowane słowa: *factus est Sluciae*, którymi się różnił od perskiego i tureckiego.

Po słuckich pasach dały się widzieć pasy francuskie w gatunku tureckich i perskich, ale kolorami dobranymi i żywymi daleko wszystkie pasy wyżej wyrażone celujące, z napisem na końcu: à Paris...

Senatorowie i majątni szlachta wieku podeszłego na wielką paradę zażywali kołpaków sobolich z wierzchami aksamitnymi, karmazynowymi, granatowymi albo zielonymi, przypinając do kołpaka w środek opuszki sobolej nad czołem jaki kamień drogi świecący albo sygnet brylantowy, co Polaka dziwnie poważnego i ozdobnego wydawało...



Kazimierz Ossoliński,
kasztelan czchowski, (portret, Muzeum
im. Lubomirskich we Lwowie)



Krzysztof Zbaraski,
koniuszy koronny, starosta krzemie-
necki (portret, Muzeum im. Lubomir-
skich we Lwowie)

Spodnie były buchaste przestronne, do samych kostek długie, żeby się zaś w zuwaniu buta nie zmykały z nogi do góry, dawano do nich strzemiona krajczane...

Buty w używaniu były troistego koloru: żółte, czerwone i czarne. Cholewa u buta krótka, z tyłu łydkę całą, z przodu pół kolana dłuższym od tylnej części końcem, wichlarzem zwanym, zajmująca, z dwóch sztuk po bokach buta zszywanych składana, z przyczyny nogawic szerokich przestrona...

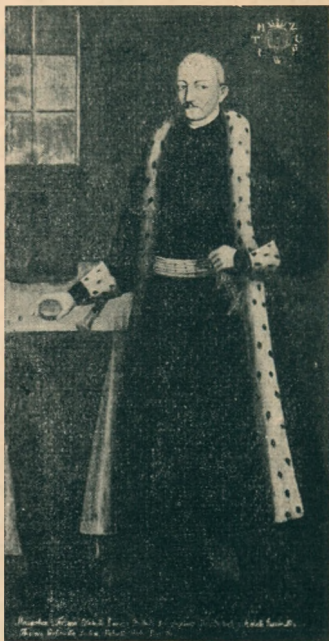
Kontusz i żupan, długi niemal do samej ziemi, w plecach wąsko podług miąższości człowieka przykrojony, od pasa do

dołu fałdzisty, z przodu opięty, kołnierzyk wążiuchny, tak u żupana, jak u kontusza, u którego zapinał się na jedną pętelkę. Od szyi do pasa spod kontusza wąskiego dawał się widzieć żupan. Rękawy, tak u żupana jak u kontusza, wąskie, wyloty u kontusza od pachy aż do łokcia otwarte, którymi wyglądał żupan...

Bekiesa jest suknią futrem podszyta, krojem kontusza zrobiona, z zaszywanymi rękawami, tak dostatnia, żeby mogła wnieść na żupan i kontusz, z pętlcami i sznurkami do zawiązywania... Po zgaśnięciu bekies nastąpiły kiereje karmazynowe, wilczym futrem podszywane; ta suknia jest bez stanu w pasie, z rękawami szerokimi, u niektórych przy pięści wąsko ścinanymi, u niektórych, osobliwie Niemców, równo od ramienia do końca szerokimi. Kiereja nie rugowała biekiesy; lubiący ciepło i podróżni odziewali się razem i bekiesą i kiereją. Karmazynowa kiereja przydawała honoru, póki była w modzie. Kto nie miał kierei karmazynowej, poczytany był za chudego pacholka. A co znaczyła kiereja karmazynowa, toż samo znaczyła opończa tegoż koloru, adamaszkiem albo atlasem błękitnym podszyta, takiegoż kroju jak kiereja będąca, z przydanym kapturem do nakrycia głowy; służyła od deszczu wszędzie i od kurzawy w drodze...

Delija niczym się nie różni od kierei, tylko jednym stanem, wciętym w miarę pasa, którego nie ma kiereja. Gdy nastąpiły delije, nastąpiły też razem i opończe wcinane rozmaitego koloru, atlasem błękitnym podbijane; i była to suknia, w której godziło się wnieść do pokoju, gdy przeciwnie w opończy bez stanu, choćby karmazynowej, wnieść do pokoju byłoby grubijaństwo. Lecz takich opońców, jako z przedniego sukna francuskiego robionych, nie nosił lud pospolity, tylko sami możni, a najwięcej dworzanie. Te delije przewali potem czujami, choć się przez to nazwisko w niczym nie odmieniły...

Suknią odświętną były: kontusz sukieny różnego koloru, żupan atlasowy, karmazynowy bez guziczków albo żółty. Kontusze i żupany sukienne bramowali Polacy sznurkami jedwabnymi takiegoż koloru, jakiego był kontusz i żupan, albo też srebrnymi i złotymi; w kontuszach najwięcej używali ciemnych kolorów. Mieszczanie pomniejszych miast zażywali żupanów żółtogorących,



Maksymilian Franciszek Ossoliński, łowczy podlaski
(portret, Muzeum im. Lubomirskich we Lwowie)

łyczakowych; a że ta materyja atlasowi podobna robi się z włókien, czyli łyków konopnych, dlatego mieszczanków pospolicie nazywano łyczakami; szlachtę zaś od żupana karmazynowego, najwięcej zażywanego, karmazynami

O STROJACH BIAŁOGŁOWSKICH

Panny senatorskiej i szlacheckiej kondycyi tudzież magistratowe i kupieckie córki nosiły głowy z warkoczami plecionymi, rozpuszczonymi, wstążką przeplecionymi. Skronie otaczała przepaska muślinowa z wąską koronką nicianą, wstążkami rozmaitymi w pukle powiązаныmi opięta. Nad czołem na wierzchu głowy przypinały kwiaty ogrodowe, rozmaryn, lewkoniją, goździk, tulipan, a zimową porą włoskie kwiatki albo też własnych rąk roboty jedwabne, naturalne kwiaty naśladowące. Te bukiety zdobiły bajorkiem srebrnym i rozmaitymi blaszkami świecącymi. Przypinały do tych bukietów czapki i kapelusze maleńkie, wielkości narparsztki, z materyi jedwabnej, także ptaszki rozmaite z jedwabiu wyrabiane. Potem warkocze obkręcały około głowy nie przydając wstążki do plecienia, a na ostatku postrzygły warkocze, krótkie włosy po karku, tak jak i mężatki, rozpuszczając. Już wtenczas strój głowy był jednakowy wszystkim niewiastom, pannom, mężatkom i wdowom... Rzuciły się wszystkie młode panny i nie panny do kornetów, których kształtu opisać trudno, ponieważ ten odmieniał się niemal co miesiąc. Zawisł zaś na rozmaitym składaniu, fałdowaniu, strzępieniu, wykrawaniu, bryzowaniu muślinu, rąbka, koronek i wstążek...

Po kornetach nastąpiły szeniony; były to czapki, haniebnie wysokie, z płótna szyte, bawełną albo pakułami wypchaną głowę dwa razy tak wysoką, jak była naturalna, czyniące. Te szeniony wsadziwszy na wierzch głowy okrywały dokoła włosami z przodu i z tyłu gładko w górę wymuskany i wypudrowany, a której nie wystarczały samorodne włosy, przybierała do nich innych takiego koloru, jakie miała która z przyrodzenia. Na sam wierzch szenionu nad czołem przypinały maleńki kornecik skrzydlasty na drutach upinany...

Sukien zażywały rozmaitych; najpierwej spódnicy, zwyczajnej po dziś dzień; bogate z materyj tęgich bławatnych w kwiaty, samych jedwabnych i litych, uboższe z atlasów, grodeturów, kitajek, a jeszcze uboższe z kamlotów; pod którą wdziewały drugą spódnicę atlasową na bawełnie przesywaną albo też kuczabajową.

Na wierzch brały sznurówkę, rogiem wielorybim, czyli fiszbieniem, przesywaną, z wyciętym gorsem, ściskając się tymi sznurówkami jak najmocniej dla wydania subtelności stanu, czasem aż do mdłości. Ta sznurówka była powleczone atlasem lub kitajką. Na sznurówkę kładły jupeczkę krótką, za stan cokolwiek dłuższą, z rękawami po łokieć krótkimi, z materyi takiej jak spódnica,

albo też i odmiennej, z tyłu fałdzistą, z połami przestronnymi, na przedzie krojem takim jak mantolety kanonickie. Zimowe takie jupeczki podszywane były futrem, w lecie kitajką albo płótnem glancowanym. Dalej te jupeczki były w stan wcinane opięto, na guziki z przodu zapinane, z rękawami do pięści sięgającymi... Łattem nie kładły nic na żadną z tych jupeczek, tylko chustkę na szyję muslinową, jedwabiem, złotem i srebrem w kwiaty haftowaną...

Zimą na takie jupeczki brały kontusiki futrem podszywane, z długimi rękawami wiszącymi, z wylotami szerokimi, do ręki wytknięcia sposobnymi, u ramion obszernie sfaldowanymi, u pięści wąsko ścinanymi...

Szyje zdobiły najprzód koralami z perłami przepłatanymi, potem samymi perłami, potem łańcuszkami złotymi, na ostatku wąską aksamitką czarną, od której spadał między piersi misternej roboty krzyżyk dyjamentowy lub inny jaki portrecik kamelizowany albo też bez żadnej figury drogi kamień świecący. Jakże zaś było noszenie na szyi, takie być musiały maneły na rękę; pierścionków zaś im więcej na palcach, tym lepiej ręka ubrana. Do uszów najprzód przypinały zauszniki małe perłowe lub rubinkowe, w złoto oprawne, potem większe w figurę róży z brylantów prawdziwych albo czeskich; te dwa gatunki przetykały przez brzusiec ucha, szpilką za młodu przekłutego. Na ostatek wymyślili zausznice wielkie jak grona winne wiszące, z pereł i brylantów, które, że uszy przerywały, przeto nie przez ucho, ale za ucho na stronie mocnej bywały zakładane.

Wychodząc z domów na otwarte powietrze używały na głowę i całą twarz spuszczonej kwefy czarnych, krepinowych albo też jedwabnych, w siatkę robionych; przez takie kwefy mogła dama dobrze wszystko widzieć i być widziana. — Na ręce kładły rękawiczki irchowe, po łokcie długie...

W średnich latach panowania Augusta III nastąpiły trzewiki bławatne, atłasowe i grodeturowe rozmaitych kolorów, gładkie, bez haftu, nie już jak dawniejsze tasiemką albo wstążką zawieszane, ale zapinane na sprzączkę srebrną, która przerobiona na wielką, cały niemal wierzch nogi okrywającą, miejsce miała niedaleko od palców, po które miejsce trzewik był wykrojony. Był to sztuczny wynalazek, przez który stopa, choć duża jak niedźwie-



Danfel Chodowiecki, strażnik
Czapski z starościna Ledó-
chowską, rysunek

dzia łąpa, wydawała się małą. Te trzewiki nagle się rozszerzyły po całej płci białej, tak szlacheckiej jak i miejskiej kondycyi... Majętna pleć, która przedtem obyla się, mówiąc o jednej osobie, czterema parami bucików skórzanych na rok, potem potrzebowała co miesiąc, a wymyślniejsza co tydzień inszych, bo lada plamka na trzewiku bławatnym zrobiona już go z garderoby pani rugowała...

Szewcy warszawscy niezmiernie profitowali na tym towarze, który z tego miasta rozchodził się po całym kraju; i choć po innych miastach robiono także trzewiki, nie miały jednak takiego szacunku jak warszawskie; co większa, z ręki tegoż samego szewca, który w Warszawie robił bardzo gustowne trzewiki, już się nie wydawały takie, skoro się przeniósł do innego miasta. Mężowie dla żon, ojcowie dla córek, kawalerowie dla dam, wyprowadzali takie trzewiki tuzinami i kopami; w prezentach nawet przedślubnych niepoślednie trzymał miejsce warszawski trzewik...

Rogówki były z początku małe, potem stały się wielkimi, do trzech łokci u dołu szerokimi. Nie zażywały rogówek innej kondycyi damy, tylko szlacheckie, senatorskie i tym służące panny. Wiele razy pokusiła się która mieszcza ustroić w rogówkę, zawsze jej afront zrobiono, dlatego w samym tylko dystyngwowanym stanie rogówki się rozdymały. Rogówka była to spódnica z płótna na trzech obręczach z wielorybiej kości obszyta, na jednej w pas, na drugiej w kolano, na trzeciej w pół łydki. Te obręcze nie były okrągłe jak na becze, ale spłaszczone do podługowatości na kształt wanny owalnej. Brały naprzód damy strojące się w rogówkę spódnicę materyjalną, lekką lub przesywaną, podług pory czasu; na nią kładły rogówkę, a na rogówkę dopiero wdziewały suknią wielką, jaka była w modzie. Nic nie było niewygodniejszego dla dam i mężczyzn nad te rogówki; wszędzie w tym stroju było im ciasno. Siadłszy dwie koło siebie w karecie, musiała jedna drugą przykryć skrzydłem od rogówki, gdy z nich jedna była wyższa, druga niższa. Toż samo działo się przy stole, osobiwie w ciasnym zasadzeniu...

Rogówki nie trwały dłużej w częstym zażywaniu nad 15 lat. Z początku żadna dama na publicznym widoku nie pokazała się bez rogówki, nawet i w domu przy gościu. Potem zaczęły brać rogówki tylko na wielkie publiki, na kompanije, na bale, a narzeczcie ku ostatnim latom panowania Augusta III te gmachy zawadzające wcale zostały zarzucone, wyjąwszy dni galowe niektóre u dworu, do całowania ręki królewskiej damom senatorskim przeznaczone; w takowe dni prezentowały się damy królowi w robach, a zatem na rogówkach. Roba jest czarna suknia, krojem kabata dziecinnego z tyłu sznurowana, mająca rękawy po łokieć krótkie, od tegoż łokcia aż do ramienia koronkami białymi jak najprzedniejszymi bryzowane, z tyłu ogon długi zmiatający pokoje.

IV

KLASYCZNY TEATR FRANCUSKI

REGUŁA TRZECH JEDNOŚCI

P. Corneille, Trzecia rozprawa, O trzech jednościach, 1660, fragment,
przełożył Włodzimierz Lewik

Reguła jedności czasu opiera się na powiedzeniu Arystotelesa, że „tragedia powinna obejmować czas trwania akcji w przeciągu jednego obrotu słońca albo też nie przekraczać go zbyt”. Słowa te wywołały sławną dysputę na temat: czy mowa tu o normalnym dniu dwudziestoczegogodzinnym czy też sztucznym dwunastogodzinnym. Oto dwa zdania, oba zarówno mające zwolenników znamienitych, ja zaś uważam, że istnieją przedmioty tak trudne do ograniczenia tą odrobiną czasu, że nie tylko przyznałbym im całe dwadzieścia cztery godzin, ale posłużyłbym się nawet ową wolnością, której filozof ten udziela, mianowicie wolnością ich przekroczenia posuwając je bez skrpułów aż do trzydziestu...

Wielu wykrzykiwało przeciw tej regule nazywając ją tyrańską i miałoby rację, gdyby opierała się ona tylko na autorytecie Arystotelesa. Kazała ją jednak przyjąć przyczyna naturalna, która jej służy za oparcie. Poemat dramatyczny jest naśladowaniem, albo — wyrażając się pełniej — wizerunkiem ludzkich czynności, a niewątpliwą jest rzeczą, że wizerunek tym jest doskonalszy, im bardziej podobny jest do oryginału. Przedstawienie trwa dwie godziny i wtedy byłoby doskonale podobne, gdyby akcja, którą ukazuje, nie wymagała więcej czasu w rzeczywistości.

Nie zatrzymujmy się więc ani przy dwunastu godzinach, ani przy dwudziestu czterech, ale streszczajmy akcję poematu możliwie do najmniejszego czasu trwania, by jej przedstawienie bardziej było podobne do rzeczywistości i doskonałe...

Co do jedności miejsca — nie znajduję na nią przepisów ani u Arystotelesa ani u Horacego. Na tej podstawie sądzą niektórzy, że reguła ta ustaliła się w następstwie jedności czasu i zdaje im się, że można miejsce rozszerzyć aż do przestrzeni, jaką człowiek może przebyć tam i z powrotem w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

Sąd taki jest jednak zbyt samowolny, gdyż jeśli kazalibyśmy aktorowi jechać dylizansem, dwie strony teatru mogłyby przedstawiać Paryż i Rouen. Chciałbym, by publiczności niczym nie razić, żeby to, co ukazujemy jej w przeciągu dwu godzin, mogło się dziać istotnie w dwu godzinach, to zaś, co publiczność widzi na scenie bez zmiany dekoracji, żeby mogło się ograniczyć do jednego pokoju czy jednej sali. Rzecz ta często napotyka jednak na takie trudności — by nie rzec, że jest wprost niemożliwa — że trzeba koniecznie rozszerzyć nieco tak jedność miejsca, jak czasu.

J. Racine, Przedmowa do Bereniki, 1671, fragment — przełożył
Włodzimierz Lewik

W tragedii wzrusza nas tylko prawdopodobieństwo. A także jest prawdopodobieństwo, że w jednym dniu zdarza się taka moc rzeczy, które zaledwie w wielu tygodniach zdarzyć by się mogły? Niektórzy sądzą, że owa prostota znamionuje ubóstwo pomysłowości. Nie zdają sobie z tego sprawy, że wprost przeciwnie — pomysłowość polega na robieniu czegoś z niczego i że cała ta mnogość wydarzeń była zawsze ucieczką poetów, którzy nie czuli w swych umysłach ani dość obfitości ani siły, by przez czas trwania pięciu aktów utrzymać widzów w napięciu akcją prostą, opartą o namiętności potężne, o piękno uczuć i wytworność wyrazu.

ORGANIZACJA TEATRU

Marcel Braunschwig, Teksty z literatury francuskiej, tom I.
wyjątki — przełożył Włodzimierz Lewik

Przedstawienia

Przedstawień bywało o wiele mniej niż dzisiaj... W r. 1672 na trzy zespoły aktorów francuskich, grających po trzy razy na tydzień, na zespół włoski, grający cztery razy — i zespół opery z trzema przedstawieniami — ogółem biorąc przypadało po uwzględnieniu przerw świątecznych rocznie około 800 przedstawień; cyfry tej w XVIII w. nigdy nie przekroczono, a rzadko nawet bywała osiągnięta.

Przedstawienia zaczynały się przez długi czas o 2 po południu, za sprawą jednak duchowieństwa przeniesiono je na 5 po nieszporach. Tragedie grywano najchętniej zimą, komedie latem.

Sala teatralna i publiczność

Sale teatralne były przeważnie ciasne. Niemniej jednak można było obliczyć, że sala Komedii Francuskiej, po przeniesieniu jej na ulicę *des Fossés-Saint-Germain*, dzięki „ściśliwości“ parteru

mieściła 1500—2000 osób. Oświetlenie, do którego używano łójówek, było marne.

Na parterze publiczność o wiele liczniejsza niż w lożach i mocno hałaśliwa zajmowała miejsca stojące (aż do r. 1782). Cena miejsca wynosiła tu 15 *sous*, jak o tym świadczy Boileau w *Satyrze dziewiątej*...

Od roku 1637 siedzieli widzowie na ławeczkach, nawet na samej scenie. Obecność ich szkodziła oczywiście dramatycznemu prawdopodobieństwu i często wywoływała zamieszania, nad czym ubolewał Molière w jednej ze scen „*Natrętów*”.

Ponieważ jednak za takie miejsce płacono po pół *luidora* i ponieważ dyrektorowie teatrów nie uważali za stosowne wyrzec się tego rodzaju dochodów, zwyczaj ów utrzymał się mimo niedogodności aż do r. 1759, kiedy to książę de Lauraguais, ulegając życzeniom Voltaire'a, kazał go znieść wyplacając aktorom tytułem odszkodowania sumę 12000 *liwrow*.

K o s t i u m y i d e k o r a c j e

Urządzenie sceny było zupełnie pierwotne. Dekoracje prawie nieodmiennie ukazywały dowolny pałac lub rzadziej plac publiczny czy krajobraz wiejski. Kiedy sztuka wymagała inscenizacji bardziej skomplikowanej, uciekano się do środków całkiem prymitywnych. I tak podczas przedstawienia „*Śmierci Cyrusa*”, czyli „*Zemsty Tomirydy*”, pana de Rozidor (1662) w scenie czwartego aktu, gdy Tomiryda woła: „*Do mnie żołnierze!*” — spuszczone po prostu płótno, na którym wymalowana była armia przechodząca przez most.

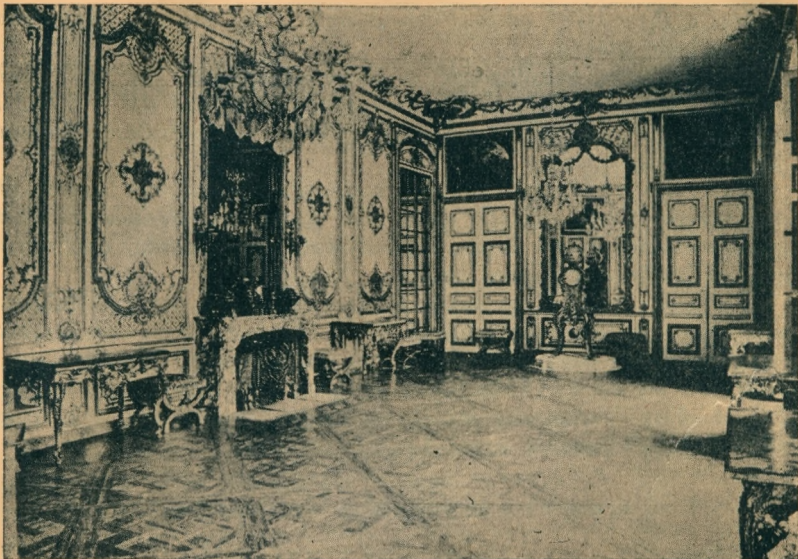
Także i kostiumy nie odpowiadały rzeczywistości. We wszystkich sztukach starożytnych aktorzy mieli strój *à la romaine* z pancerzem i peruką, nad którą unosił się szyszak. Dopiero w XVIII w. próbowano wprowadzać w stroju więcej ścisłości.

R O K O K O

Maks Boehn, Rokoko, Francja w XVIII stuleciu, przełożył Paweł Hulka-Laskowski

(*Wyjątki*)

...Śmierć Ludwika XIV jest grubą kreską pod uroczystym spokojem i pompatycznym dostojenstwem tej sztuki, która przez całe życie towarzyszyła Królowi-Słońcu. Sztuka wyzwala się spod wpływu dworu, a zarazem zrzuca z siebie wszystkie reguły, jakie narzucone jej zostały przez łokieć i ekierkę; zdaje się, że najchętniej wyzwoliłaby się także z pęt praw ciężkości. Ogarnia ją dziwny i niepojęty niepokój; prostej linii, której poddana była tak



Wersal, sala zegarowa

długo, wypowiada teraz wojnę nieubłaganą. Wyrwawszy się ze złotej klatki dworskiej łaski zaczyna cudownie igrać i swawolić niby ptak, który uciekł ze swego więzienia i na pierwszym napotkanym drzewie skacze beztrąsko z gałązki na gałązkę. Linia pionowa, równowaga, symetria, wszystkie dotychczasowe prawa podstawowe wszelkiej sztuki wyrzucone zostały między rupiecie lamusa, a tradycji odmawia się posłuszeństwa. Na miejsce spokoju, który stał się biernym i bezsilnym trwaniem, wstępuje ruch stopniujący się, aż dochodzi do gorączkowego niepokoju, ujawnia się nadmiar woli, której nigdy nie dosyć wysiłków i trudów. Wspinałość ustępuje wesołości, dostojeństwo cofa się przed wdziękiem, obowiązek przed radością. Wszystkie dotychczasowe formy stają się płynne, fragmenty, które miały przeznaczenie jedynie zdobnicze, biorą górę i usamodzielniają się całkowicie. Radosna wesołość zapanuje tam, gdzie dotychczas władawała powaga...

Gilles Marie Oppenort, który zmarł w roku 1742, i Juste Aurele Meissonier, zmarły w roku 1750, są mistrzami, których twórczej wynalazczości styl ten zawdzięcza prawie wszystko... Z polecenia regenta powierzono Oppenortowi dekoracyjne ozdobienie komnat w *Palais Royal*, on zaś z wielką i niezachwianą swobodą swej sztuki od razu utrafił w sedno rzeczy i w dekoracjach dał właśnie to, co odpowiadało w zupełności wymaganiom takiego sybaryty, jakim był książę Orleański. Jak dotąd, nawet dekoracje wewnętrzne stosowały się do praw, według których członowały się fasady zewnętrzne. Odróżniano dokładnie człony

dźwigane od dźwigających, częściom zdobiącym wyznaczano jak najściślej określone miejsca. Wszystkie te przepisy zignorował Oppenort całkowicie, liczenie się z członowaniem architektonicznym znika, ornament otrzymuje stanowisko dominujące. Granice swoje wysuwa on też natychmiast w dziedzinę dotychczas obce sobie i igra z wielką i swobodną ruchliwością, jakiej udziela mu artysta, aby z zuchwałym wdziękiem usunąć na bok pedantyczne różnice między dźwiganym a dźwigającym. Oppenort wprowadził do dekoracji muszlę ze wszelkimi możliwymi stylizacjami (*rocaille*, stąd nazwa rokoko), maski i girlandy, stylizowane swoiście, w takiej profuzji pół zwierzęcych, pół roślinnych tworów, że w sztuce zdobniczej stał się od razu mistrzem i panem sytuacji. Twory swej wyobraźni rozrzuca po ścianach i plafonach z taką swobodą i bez-troską wesołością, że zawsze i wszędzie wywołują one uczucie radości, jaka jeszcze dzisiaj udziela się widzowi. W dowolności posunął się Meissonier jeszcze o krok dalej i prześcigając Oppenorta wprowadził do dekoracji rozmyślną asymetrię, czyniąc z ornamentu dzieło fantastycznego kaprysu. Doznaje on po prostu uczucia wstrętu na samą myśl o linii prostej i dlatego schodzi jej z drogi szerokim łukiem. W ornamentach tego artysty odgrywają wielką rolę pierwiastki naturalistyczne i wszędzie spod jego dłoni wyrastają kwiaty, liście, gałązki, przewijające się z fantastyczną swobodą, nieuchwytną i kapryśną w najwyższym stopniu. Podobnie jak Oppenort, tak i Meissonier pracował prawie wyłącznie w dziedzinie sztuki stosowanej. Jego projekty służyły dekoratorom, stolarzom i rysownikom jako pożądane wzorce...

Najgłębszy wpływ na rozwój smaku artystycznego wywierał w owych czasach Antoine Watteau, młody malarz, którego dzieła klóć się w sposób dziwny z jego życiem. Pochodząc ze sfer ubogich, biedny i chorowity przez całe życie (umarł na suchoty w 37 roku życia), malował on obrazy, które są jakby syntezą życia wytwornego świata, obcego dłań i niedostępnego. W nim odbija się niefrasośliwe i wesołe życie epoki, która bezustannie doszukuje się tylko rozkoszy istnienia, a nic nie wie o jego powadze i powikłaniach. Dla czasów nowożytnych staje się on twórcą stylu życia. Wywodząc się z Rubensa dokonywa pomieszczenia krwi flamandzkiej z krwią francuską, a to połączenie się dwóch szczepów ducha daje francuskiemu malarstwu osiemnastego wieku nowe siły i zdobi je nowym kwieciami. Jako poetyczny marzyciel, pełen nieokreślonych tęsknot, przesyca wszystkie swoje dzieła pierwiastkiem piękna odczuwanego subtelnie, któremu nawet w najjaśniejszych i najweselszych chwilach nie brak cichej melancholii. Dziedzina tematów jego dzieł jest niewielka: ciche igraszki zakochanych par grających na lutniach, śpiewy i tańce. Jego wyraz jest prosty i niewymuszony, jego treść jest bezgraniczna, gdyż wybiega w krainę marzeń, które nęcą ku tysiącnym dalekim rozkoszom i cudom. Niewyraźne, z lekka tylko zaznaczone krajobrazy mają

w sobie coś tajemniczego, zagadkowego i czarującego, a osoby znajdujące się na ich tle, zdają się być czymś nierzeczywistym, wywołanym przez fantazję artysty i stają się postaciami z bajek...

Swój wielki i trwały wpływ na sztukę współczesną i późniejszą zawdzięcza Watteau nie tylko obrazom, lecz również licznym szkicom ornamentacyjnym do dekoracji ścian; zuchwałego wdzięku tych ornamentów bodaj że nic prześcignąć nie zdoła...

Watteau jest wynalazcą tak zwanych *chinoiseries*, bo on pierwszy włączył do ornamentyki motywy chińskie. Dotychczas Chiny znane były jedynie jako miejsce, gdzie fabrykowano porcelanę, bardzo wysoko cenioną i kosztowną... Mniemano zapewne.



Jean Ant. Watteau, Taniec, obraz olejny

że kraj, który wytwarza takie wspaniałości artystyczne, jak wyroby z laki i z porcelany, cenione tym wyżej, że nie umiano ich naśladować, musi być istnym rajem, którego szczęśliwy narodek żyje w słodkich rozkoszach. Można było oddawać się takim złudzeniom wyobraźni z tym większą swobodą, że istotna rzeczywistość, tak bardzo nie podobna do marzenia, nikomu nie była znana. Lecz oto zjawia się sztuka stosowana i zwraca się ku Chińczykom i Chinom czyniąc z nich najmilszy i najsympatyczniejszy naród, będący w gruncie rzeczy tłumem zamaskowanych paryżan i paryżanek. Jest on akurat na tyle zabawny, że można się uśmiechać, gdy się nań patrzy, nie jest jednak śmieszny. Chińczyka przedstawia

się z jego pocieszoną powagą, z fajeczką w ustach, zajętego herbata, a jego dziwaczny strój, kapelusz i warkocz tworzą czarującą całość, wzywającą do rozmyślań i marzeń. Watteau wprowadził ten pstrokaty świat do sztuki stosowanej, w której utrzymał się on przez całe stulecie. Ściany, wachlarze, parawany przed kominkami wypełniają sceny z życia chińskiego. Porcelana, którą właśnie odkryto, zapożycza od tej gałęzi sztuki liczne motywy, a nawet pisarze teatralni uciekają czasami z krainy klasycznej starożytności i czerpią swoje tematy z dalekich Chin...

Rokoko jest stylem ornamentacyjnym i w żadnej innej dziedzinie nie wyraziło się ono tak całkowicie, jak w dekorowaniu wnętrz mieszkaniowych. Jak wszystko, co stulecie osiemnaste wprowadza zamiast rzeczy dotychczasowych (zastępuje ono wielką operę wesołą operetką, heroiczną tragedię dramatem rodzinnym, komedię wodewilem, uroczyście aleksandryn wierszykiem swawolnym), jest pomniejszeniem wymiarów i deminucją piękna, tak i w ornamentyce piękne zostaje zastąpione przez ładne i ładniejsze. Wielkość, bezmierność i wspaniałość sztuki, w której sferę era Ludwika XIV chciała wnieść całą ludzkość, przystosowuje się teraz do rozmiarów jednostki, a to bez odpowiednich ograniczeń zrobić się nie dało. Dopiero co zmierzano do rzeczy nadludzkich, a oto już trzeba się dostosowywać do rzeczy ludzkich, arcyłudzkich... Oto wszystko staje się mniejsze, lżejsze i mniej liczne. Wnętrza maleją, stają się niższe i szczuplejsze. Wielkie obrazy plafonów, które rozpościerały się od ściany do ściany, kurczą się pośrodku stropu, sztukaterie, dawniej masywne, stają się teraz delikatną płaskorzeźbą, ściany nie dzielą się już na surowe prostokąty i nabierają swobody i życia. Zarazem znikają ciężkie, syte barwy i ustępują miejsca jasnym bladym tonom. Mocne akcenty jaskrawej czerwieni i szafiru znikają wobec tonów bladoróżowych, jasnozielonych i lazurowych. Ciężki przepych złocień na plafonach i ścianach ginie wobec migotliwego srebra... TafLOWanie ścian, w które wedle potrzeby zapuszcza się zwierciadła, nabiera tych samych kolorów. Wszystko staje się delikatne, pieśzcotliwe, rozszepiane.

We wnętrzach święci rokoko swoje największe tryumfy, w nich znajduje miejsce, gdzie może szaleć bez liczenia się z czymkolwiek. Na poły naturalistyczne i na poły stylizowane, nigdy całkowicie rzeczywiste i nigdy wyłącznie zmyślane, igrające, swawolne, fantastyczne, rozsiewa ono dziwactwa i kaprysy swoje po ścianach i plafonach, po posadzce i meblach...

Rzemiosło artystyczne, dzięki współdziałaniu wielkich artystów, doszło do zenitu, w którym już nigdy później nie stanęło... Gdy zasób mebli wieku XVII zestawiamy z wiekiem następnym, to zdumiewają nas postępy, jakie poczyniło dążenie ku wygodzie i komfortowi. Wszystkie meble przeznaczone do siedzenia, jak sofy, szezlongi i fotele, doskonała się znakomicie i liczba ich po-

mnaża się ogromnie, gdyż powstają coraz nowe sprzęty tego rodzaju. Powstało dużo różnorodnych stołów i stolików, a prócz tego komoda, biurko i wielkie mnóstwo szaf. Do upiększenia mebli używa się wszystkiego, czego technika dostarczyć może. Fornirowanie rzadkimi gatunkami drzew, intarsja drogocennymi materiałami, malowanie laki, inkrustacje z malowaniem, miniatury, porcelana, obicia brązowe, srebrne i złoczone dokonywają istnego przewrotu w technice meblarstwa i wszystkie sprzęty rokokowe przemieniają w prawdziwe dzieła sztuki...

DENIS DIDEROT

PROSPEKT ENCYKLOPEDII

UZYTECZNOŚĆ SŁOWNIKÓW

Fragmenty — przełożył Włodzimierz Lewick

Nie można zaprzeczyć, że od czasów nowego rozkwitu nauk i literatury naszej, tak ogólną oświatę rozpowszechnioną wśród społeczeństwa, jak i ów zaród wiedzy przysposabiający ducha prawie mimo woli do wiadomości głębszych — zawdzięczamy części słownikom. Jakże więc ważną było rzeczą mieć książkę w tym rodzaju, do której w każdym przedmiocie udać by się można — i która zarówno wskazywałaby drogę ludziom mającym odwagę pracować nad kształceniem bliźnich, jak też oświecała takich, co dla własnej tylko uczą się korzyści. Otóż i użyteczność, którą mieliśmy na myśli, lecz na tym nie koniec. Kiedyśmy w kształt słownika ujmowali wszystko to, co tyczy się umiejętności i sztuki, chodziło nam o unaocznienie niejako owej pomocy wzajemnej, której one sobie udzielają, o użytkowanie owej pomocy, celem ugruntowania ich zasad, oraz rozjaśnienia wynikających z nich skutków. Zamiarem naszym było dalej wskazać dalekie czy bliskie związki istot wchodzących w skład natury, a zajmujących umysł ludzki; udowodnić przy pomocy splotu korzeni jak i gałęzi, że niepodobieństwem jest zorientować się dobrze w niektórych natury dziedzinach bez wzniesienia się lub zejścia do wielu innych.

Pragnęliśmy stworzyć ogólny obraz wysiłków ludzkiego ducha we wszystkich dziedzinach i na przestrzeni wszystkich wieków; przedstawić dalej przedmioty one najpewniej, wszystkiemu rozległość przyznając godziwą — wreszcie zaś, w miarę możliwości, powodzeniem sprawdzić nasze motto:

*Tantum series iuncturaque pollet,
Tantum de medio sumptis accedit honoris.*

W niczyjej dotąd głowie nie zrodziła się myśl tak potężnego dzieła, albo przynajmniej nikt go dotąd nie wykonał. Leibniz —

najbardziej może spośród uczonych zdolny zrozumieć trudności takiego przedsięwzięcia, pragnął, aby je pokonano. Istniały już przecie encyklopedie, a jednak Leibniz znając je niewątpliwie domagał się nowej.

Większość dzieł tego typu ukazała się jeszcze w wieku XVI zdobywając sobie niejaka nawet sympatię. Uważano ogólnie, że jeśli nie zdradzały one zbyt dużego talentu, znamionowały przynajmniej wiedzę i pracę. Czymże jednak byłyby dla nas dziś one encyklopedie? Jakież postępy w sztukach i umiejętnościach od owych czasów nas dzieli! Ileż nowych odkrytych prawd, których nikt wówczas nawet nie przewidywał! Prawdziwa filozofia była dopiero w kolebce. Nie istniała w ogóle geometria przestrzenna. Fizyka doświadczalna pierwsze dopiero stawiała kroki... Nie ożywiały uczonych duch badań ani współzawodnictwa. Inny znowu duch, może mniej płodny, ileż jednak rzadszy, duch mianowicie słuszności i metody nie podbił jeszcze rozmaitych dziedzin literatury. Nie stworzono też jeszcze akademij, których prace tak daleko posuwały stan wiedzy i sztuk pięknych...

STYL STANISŁAWOWSKI

Opracowała Helena Blumówna

Klasycyzm w sztuce, który przybrał w drugiej połowie XVIII w. wszelkie znamiona samoistnego stylu, odpowiadał w pełni nowym prądom nurtującym ówczesną umysłowość. Człowiekowi nowej epoki coraz to bardziej obce się stawały pomysły rokoka, tej bogatej, pełnej przepychu, a zarazem czarującej epoki o rozigranej fantazji, nieraz kapryśnej, zdradzającej jednak pewien niepokój. Stworzył on sobie nowe pojęcia, gdy obcując z myślami racjonalistycznych filozofów szukał w świecie stałego oparcia. Do wyobraźni jego przemawiała wzniosłość czynów obywateli dawnego Rzymu, a poczucie jego piękna znajdowało zadowolenie w kulcie antyku.

Znakomity esteta niemiecki Winckelmann, zapatrzony w sztukę starożytnej Hellady, sławił jej szlachetną prostotę i wzniosłą wielkość. We Francji encyklopedysta Diderot głosił od r. 1761 kult starożytności. W żadnym też innym kraju klasycyzm w sztuce nie pozostawał w tej mierze związany z prądami duchowymi, jak właśnie we Francji, stąd też może tak silne oddziaływanie jej wpływu na całą Europę.

Najsilniej zaciężyła starożytność na rozwoju architektury tej epoki; nie bez wpływu zapewne pozostały tu wykopaliska w Herkulanum i w Pompei. Architekci XVIII w. wiedzę swą opierali na traktacie Witruwiusza, lecz budowle, które oni wzniesli, mają na sobie niezaprzeczone piętno ich epoki. Na prostym planie wznoszą się kościoły czy budowle świeckie, posiadają one portyk na ko-

lumnach na wzór antycznej świątyni. Kolumna bywa najczęściej jońska lub dorycka, porządek koryncki smukły w proporcjach i z bogatym kapitelem nie odpowiada „gustowi” czasu. W układzie i rozczłonkowaniu całości panuje prostota, jednolitość i harmonia, równe i proste linie określają całość jak i poszczególne partie. Motywy zdobnicze, często zapożyczone z antyku, zastosowane z wielkim umiarem, służą jedynie do podkreślenia linii architektonicznej i jej dopełnienia. Całość poważna, monumentalna, nosi na sobie piętno jakby zwartego systemu myślowego. (Panteon w Paryżu).

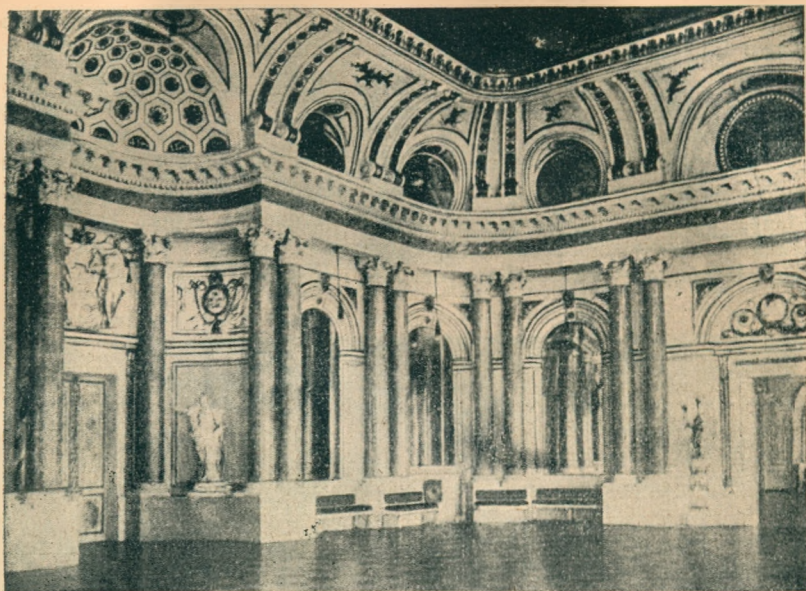
Silniej może zaznacza się związek sztuki z życiem w dziedzinie malarstwa. Jacques Louis David, malarz wielkiej rewolucji, a później cesarstwa Napoleona, ożywił antyk i zbliżył dawnych bohaterów do wyobrażeń epoki. Kult cnoty miał się stać bodźcem wzniosłych czynów i poprowadzić obywatela XVIII w. do nowych ideałów. Obrazy Davida: „Przysięga Horacjusów” i „Brutus” stanowiły gloryfikację poświęcenia dla wolności i ojczyzny.

Kult antyku przeniknął nawet do życia codziennego, moda à la grecque wpływa na urządzenie mieszkań, kształt sprzętów domowych, uczesanie głów i stroje.

Polska nie przejęła biernie nowych form i zdobyła się nawet na samodzielny wyraz artystyczny. Klasycyzm pojawił się w Polsce wcześniej, ściśle z datą wstąpienia Stanisława Augusta na tron w r. 1764. Stanisław August był świadomym propagatorem nowych prądów w Polsce, światłym mecenasem sztuki, który z całą konsekwencją zmierzał do wychowania młodych artystów polskich, przy czym starał się wyzyskać dorobek artystyczny Zachodu sprowadzając, zwłaszcza z początku, artystów z zagranicy; celowo zmierzał do uniezależnienia sztuki polskiej od obcych wzorów dążąc do zrealizowania własnych upodobań artystycznych. Stąd też słusznie zyskała architektura i plastyka z czasów tego wielkiego mecenasa miano s t a n i s ł a w o w s k i e j.

Stanisław August był przede wszystkim estetą, lecz jego umiłowanie sztuki nie wpływało tylko z chęci zadowolenia samych dążeń estetycznych. Sztuka w jego pojęciu służyć miała celowi wyższemu. Tendencje króla charakteryzują najlepiej jego własne słowa: „Chciałbym, gdyby to było możliwe, aby przy pierwszym spojrzeniu widz został uderzony ideami sprawiedliwości, rywalizacji, wspaniałomyślności i zgody”...

Styl stanisławowski wypowiedział się głównie w architekturze. Najświetniejsze realizacje króla to warszawski Zamek i Łazienki. Stanisław August zastał Zamek w stanie opuszczenia i zaniedbania, ponadto pożar zniszczył jego wnętrza w r. 1767. Przebudowy dokonano podług projektów Merliniego,



Warszawa, Zamek, sala balowa

pierwszego architekta królewskiego i architekta dekoratora K a m s e t z e r a. O ile strona zewnętrzna zachowała wiele z dawnego charakteru, wewnątrz są już czystym przejawem nowego stylu. Sale balowa, tronowa, rycerska, obie audiencyjne, pokój konferencyjny, sala Canaletta i sypialnia świadczą chlubnie o wielkiej kulturze artystycznej króla, który sam nadawał pracy swych artystów pożądany kierunek.

Sala balowa, czyli assamblowa, utrzymana ogólnie w białozłotym tonie, jest najobszerniejszą salą na Zamku. Reprezentacyjny jej charakter wypływa głównie z harmonijnego rozczłonkowania całości. Podwójne kolumny wspierające mocno wyładowany gzyms, ponad którym mieszczą się okna lunetowe, są głównym elementem dekoracyjnym. Lustra wypełniające poszczególne pola ścian podnoszą złudzenie perspektywiczne, a zarazem dodają blasku i świetności.

Czystym i szlachetnym przejawem stylu stanisławowskiego była biblioteka, zajmująca oddzielne, tarasowo zbudowane skrzydło. Dla ozdobienia Zamku sprowadzał Stanisław August brązy i marmury, zatrudniał liczne rzesze artystów i stworzył w rezultacie przybytek godny majestatu królewskiego. Nie oszałamia on jednak przepychem i bogactwem, lecz tchnie atmosferą wysokiej kultury i dostojeństwem prawdziwego piękna.

Przebudowa i urządzenie Łazienek stanowiły główny przedmiot zamiłowań króla i interesowały go nawet w chwili, gdy

poszedł już na wygnanie. Król powierzył Merliniemu również i budowę Łazienek. Mimo przebudowy i wyzyskania dawnych murów stanowią Łazienki w dzisiejszej swej postaci pod względem stylu jednolitą całość. Zwłaszcza fasada południowa rozczłonkowana na harmonijnie zespolone części odznacza się spokojną szeroką rytmiką pionów w kolumnach i pilastrach, poziomów zaś w gzymsach i balustrowanej attyce. W dekoracji wewnątrz pracowali artyści, którzy zajęci byli na Zamku. Lustra, złocenia, stiuki, malowidła służą do uświetnienia sal. Sale Salomona, balowa i rotunda stanowią główne sale reprezentacyjne. Ale i całe otoczenie pałacu (park,



Wilno, katedra, litografia z pierw. poł. XIX w.

ogrody i stawy) ujęte jest w architektoniczny porządek. Wznoszą się na terenach parkowych pawilony i amfiteatr, a piękne rzeźby dłuta Lebruna i jego pomocników znajdują odpowiednie pomieszczenie na tarasach i we wnękach.

W architekturze szukał Stanisław August siły, masy i monumentalności, lecz styl jego nie posiada nic z surowości i oschłości. Mnożą się więc i rozrastają kolumny, potężnieją łuki, uplastyczniają się gzymsy, a pola ścienne wypełniają rzeźby, ornamentacje, malowidła i złocenia. W dekoracji właśnie wewnątrz wypowiedział się styl stanisławowski najpełniej, w czym znakomicie współdziałał architekt Kamsetzer.

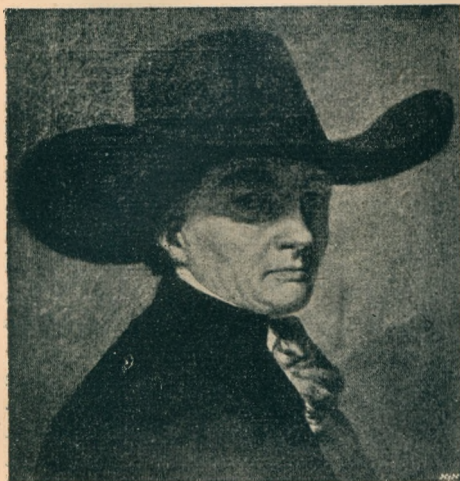
Odblask mecenatu stanisławowskiego pobudził żywą działalność budowlaną, a nawet współzawodnictwo. Czartoryscy (Puławy), Radziwiłłowie (Nieborów-Arkadia) wzniesli piękne pałace, stolica budowała gmachy monumentalne i koszary, a wszystko to w nowym stylu. Wielkopolska przejęła klasycyzm, zwłaszcza w budowie dworów wiejskich, Lublin zapatrzył się w wzory warszawskie. Znakomici architekci królewscy otrzymywali zewsząd zamówienia, na widownię wystąpiło już i nowe pokolenie architektów, które wyszło ze szkoły stanisławowskiej.

Niezależność i samodzielność zachowało jednak tylko Wilno, gdzie wykształcił się klasycyzm o odrębnych cechach. Wilno posiadało piękne tradycje architektoniczne, a klasycyzm przeszczepił na grunt wileński Knakfus, „architekt J. K. Mości” i profesor Uniwersytetu wileńskiego. Do samodzielnego wyrazu doprowadził jednak klasycyzm wileński **W a r z y n i e c G u c e w i c z**, architekt wykształcony na najlepszych wzorach zagranicznych w Rzymie i w Paryżu. Główne jego dzieła to ratusz wileński i przebudowa **k a t e d r y**, której początek sięgał gotyku. Budowę Gucewicza charakteryzuje surowy klasycyzm, wyrosły na bezwzględnym kulcie antyku, wielkie linie architektoniczne, pozbawione wszelkich zbędnych ornamentów i ozdób, całość monumentalna. Katedrę otoczył Gucewicz kolumnadą; portyk oparł na sześciu kolumnach doryckich. Wnętrze posiada surowość i przejrzystość antycznej świątyni, jedyne ozdoby to kasetony sufitów i laurowe festony. Wielki ołtarz jest jak portyk doryckiej świątyni. Zakrystia katedry, okrągła sala, przykryta sklepieniem podtrzymywanym ośmiu kolumnami, jest najświetniejszą realizacją Gucewicza, który zdołał architekturę antyku połączyć z wymaganiami kościoła.

Architektura nie była jedynym zamiłowaniem króla, który pojmował sztukę niezwykle szeroko. Chciał on mieć nie tylko „wielką sztukę” — architekturę, malarstwo i rzeźbę, ale i „małą sztukę”, która oznaczała dla niego przemysł artystyczny, tkaniny i ceramikę. Przedmioty te musiał jednak zrazu sprowadzać z zagranicy z powodu braku własnej produkcji w kraju. Założył więc fabrykę fajansów w Belwederze i manufaktury tkackie w Hornonicy pod Grodnem i sam czuwał nad ich rozkwitem. W ogóle był Stanisław August niezwykłym organizatorem życia artystycznego; istniało wtedy w Polsce, choć nieoficjalnie, ministerium sztuki, a mężem zaufania króla był jego pierwszy malarz **M a r c e l l o B a c c i a r e l l i**. Włoch z pochodzenia, przybył na dwór królewski, malował portrety króla, jego rodziny i bliskich mu osób, ale przede wszystkim malował obrazy historyczne, które służyły niejednokrotnie do dekoracji wnętrza Zamku i Łazienek.

Bacciarelli posiadał na Zamku „malarnię” i w niej kształcił młodych adeptów sztuki pod okiem samego króla, który czuwał

nad ich rozwojem i zdolnych wysyłał na studia za granicę. Stypendystą królewskim był również **A l e k s a n d e r K u c h a r s k i**, który z Francji już nie powrócił do kraju zdobywając sobie w Paryżu jako malarz królewskiej rodziny znane nazwisko. Tym,



Piotr Norblin, Autoportret, obraz olejny

który stworzył jednak podstawę rozwoju nowoczesnego malarstwa polskiego, był **P i o t r N o r b l i n d e l a G o u r d a i n e**. Norblin po przybyciu do Polski był zrazu przedstawicielem kultury dworu francuskiego. Interesowały go zabawy towarzyskie, zebrań i koncerty w parku, które przedstawiał z wielkim wdziękiem i swobodą. Watteau, malarz francuskiego rokoka, oddział na jego wyobraźnię, która każe mu żyć w świecie beztrojskich zabaw i uciech.

Wkrótce jednak wrażliwym się stał Norblin na otaczającą go rzeczywistość; obudził się jego zmysł realizmu. Odtąd malował prawdziwe zdarzenia — wielkie, historyczne, jak uchwalenie Konstytucji 3 Maja, rzeź Pragi, Raclawice, sejmy i sejmiki; ale zwrócił się również do życia potocznego. Tematem jego obrazów stały się przejawy życia codziennego i typy ludowe, a że Norblin był świetnym artystą, wskazał zarazem malarstwu polskiemu właściwą drogę. Drogę tę obrał przede wszystkim **A l e k s a n d e r O r ł o w s k i**, który znalazł się ze zmianą stosunków politycznych w Petersburgu, skąd sława jego dotarła aż do Anglii i Ameryki.

Inspiracja Norblina miała zaważyć na dalszych dziejach malarstwa polskiego. Mądra, przewidująca polityka artystyczna Stanisława Augusta wydała pożądaný skutek. Nie tylko doraźnie powstawały dzieła wysokiej miary, ale wytwarzały się warunki, które przygotowały samodzielny rozwój sztuki polskiej.



ADAM KAZIMIERZ CZARTORYSKI

KATECHIZM MORALNY DLA UCZNIÓW KORPUSU KADETÓW

(Wyjątki)

P. Co to jest kadet?

O. Jest to człowiek młody, dobrze urodzony, oddany pod dozór osób, którzy obyczajnie jego kształcić, rozum polerować i wiadomościami zdobić powinny na to, aby go uczyniły godnym zaszczytu szlachetnego urodzenia.

P. Pod jakim gatunkiem karności zostaje kadet?

O. Żołnierskiej.

P. Czy dlatego, aby każdy wstąpił w stan żołnierski?

O. Nie, każdemu wolno ten stan obrać, który mu skłonność i sposobność wyznaczy, i tym końcem wprowadzone są w tym zgromadzeniu nauki do wszystkich sposobujące stanów; karność zaś żołnierska obrana, bo najporządniejsza i najszlachetniejsza.

P. Jaki powinien być kadet?

O. Powinien mieć miłość, bojaźń Boga i przywiązanie do religii przed oczyma: powinien ojczyznę swą kochać i jej dobro nade wszystko, i sposobić się do tego, aby się mógł poświęcić na jej usługi; powinien być cnotliwy, pełen poszanowania dla zwierzchnich, dobroczynności i afektu dla równych, względu dla niższych...

P. Do czego najbardziej stosować powinien kadet zabawki swoje?

O. Do sztuk wojennych; dlatego niech się wprawuje w rączność w bieganiu z kolegami do mety; niech się kocha w ryzsztunkach wojennych; koniem niech toczyć lubi; słowem, niech pamięta, że wojowniczy ród dziadów naszych nie spodziewał się wydać plemię niewieściuchów, którzy zalegając pole sławę i kraj stracili...

DEFINICYJE RÓŻNE PRZEZ PYTANIA I ODPOWIEDZI

(Wyjątki)

P. Jakim być powinien prawdziwy patryjota?

O. Prawdziwy patryjota, o dobro powszechne jedynie dbały, wszystkie prywatnego interesu względy temu zamiarowi poświęca, w nim korzyść, w nim chwałę, w nim ukontentowanie swoje mieści, i na dokup powszechnego uszczęśliwienia ani życia, ani majątku, ani trudów nie żałuje; czyni w każdej okoliczności z zastanowieniem, waży stosunki wszelkie roztropnie, uprzedzenia odłącza od prawdy, determinacje bierze po dojrzałym rozpatrzeniu się, a raz wziętych niewzruszenie się trzyma. Nie zasadza się na swoich zdaniach, przystępny jest przekonaniu, miłości własnej ustawnych nie pali ofiar, nie popisuje się bez przestanku gorliwo-

ścią swoją w zgromadzeniach, nie bierze na siebie postaci nauczyciela, który lepiej czuje, lepiej wszystko zna od innych, nie wyrywa się gęstymi głosami końcem ulowienia poklasku słuchających i krótkotrwałej sławy gorejącego miłośnika ojczyzny; skromnym się i owszem zawsze okazuje, zimnym w radzeniu, jasnym i rozsądnym w mówieniu, w czynieniu gorącym.

P. Jakim jest fałszywy patryjota?

O. Bez żadnej z tych cnót, w których powierzchowności okazywać się usiłuje, dla tym pewniejszego ludzi zwodzenia, pod tym ujmującym pozorem ukrywa ambycję, miłość własną, własny interes. Tym jest zdradliwsza zasłona hipokryzyi albo udawania cnót, im trudniejsza jest do przeniknięcia. Zręczny wykręt, przybrany w szatę dobrych intencji, tających się do tego w masce przekonania, niszczy bezpieczne lub trudni najlepsze zamysły. Obnażyć mocą dowodów fałszywego patryjotę z ukrycia, w którym się chowa, staje się rzeczą najczęściej niepodobną, broni się on bowiem krzykiem rozżalenia i gniewu na podejrzenia niesłuszne, na ukrzywdzenie charakteru swego, piononuje żarliwie w takowym zdarzeniu i żywo grozi niebezpieczeństwem każdemu, skoro wolno będzie nicować myśli i nie dowierzać intencjom. Takimi idąc krokami będzie durzył świat cały fałszywy patryjota, ze wszystkich tworów najniebezpieczniejszy, osobliwie, jeżeli się w nim znajdują talenta i sposobność na wysłudze złym chęciom...

USTAWY KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ

(Wyjątki)

ROZDZIAŁ XVIII — UCZNIOWIE

Jako każdy z młodzi tym umysłem do szkoły przychodzić powinien, żeby oświecenia rozumu i dobrych obyczajów, na czym zależy edukacja, ku dalszemu ojczyzny i swemu dobru nabył, tak z szczerą swojej chęci i ochoty, a nie z dozoru i przymusu przykładać się ma do wszystkich powinności, jeżeli prawdziwy i trwały pożytek otrzymać żąda. Często zatem sam z sobą rozmyślać będzie: jak miła rzecz jest coraz więcej umieć, czego się nie wiedziało, poznawać; rodzicom, krewnym i nauczycielom pociechę, spółtrówiennikom przez dobry przykład zachęcanie, sobie chwałę przynosić; sposobić się do przyszłych usług w ojczyźnie i własnego swego szczęścia...

Zjednąją sobie uczniowie wzajemną między sobą miłość i szacunek, kiedy ani w słowach, ani w poruszeniach żadnej ku drugim pogardy okazywać nie będą, kiedy nie tylko nie będą odmawiali żądaniom drugich mogąc im zadosyć uczynić, ale owszem czuwać na okazyje wyświadczenia uczynności; kiedy majątniejsi uboższym pomoc dawać będą oszczędzając ich wstydu,

nie wyciągając od nich żadnych obowiązków, nie chępiąc się z swoich dobrodziejstw, gdyż okazanie wdzięczności od tamtych zawisło...

Mając w dalszym wieku swymi lub cudzymi potrzebami zawiadywać, za istotną część edukacji swojej poczytają starać się znać cenę rzeczy, sposób, jakim się robi, skąd się dostają (w czym od nauczycieli i dyrektorów kierowani będą) oraz mieć dozór rzeczy swoich, oszczędnie je szanować, registr onych trzymać.

Zabiorą wczesny wstręt miękkości, ospalstwa, delikatnego z sobą obchodzenia się, niewieściej lęklowości, jako rzeczy równie zdrowiu i dobremu ludzi mniemaniu szkodzących; a przeciwnym sposobem zdrowie i siły męskim ćwiczeniem, pracą, wytrzymywaniem niewygód, na dalszy bieg życia swego hartować i umacniać będą...

ROZDZIAŁ XXV — EDUKACJA FIZYCZNA

Związek i zjednoczenie najściślejsze duszy z ciałem gruntuje istotną potrzebę i okazuje równie ścisły związek edukacji fizycznej z edukacją moralną. Nie można być szczęśliwym, nie można nabierać oświecenia umysłu, dzielności duszy, łatwości w używaniu jej władz, zdatności i zręczności w wykonywaniu obowiązków swego stanu, bez mocnego i trwałego złożenia ciała: zdrowie zaś, czerstwość, moc zmysłów i siły, od pierwszego wychowania w niemowlęctwie, od sposobu życia w młodzieńskim wieku nieochybnie zawisły...

Za wzmagającym się wiekiem i wzrostem dziecięcia, pomnażać w nim należy rześkość, szykowność i siłę dając mu wolność biegania i skakania, wprawując go, bez zbytniego silenia, w okazywanie i nabywanie mocy przez gry trudniejsze, gonitwy, jeżdżenie na koniu męzczyzn, ugadzanie pociskami i innym tego rodzaju ćwiczeniem...

Kiedy już rodzice do szkół publicznych dzieci oddadzą, rektorowie, prefekci, nauczyciele, za jedną z istotnych powinności mieć sobie będą nieprzerwanie z edukacją moralną łączyć edukację fizyczną...

Ćwiczenia i gry, do mocy, szykowności, zręczności i szybkości ciała, do męstwa i odwagi poganiające, najprzyzwoitsze zdają się te: gra w piłkę z ubieganiem się i żywym obracaniem; balon, czyli gra w dużą piłę, ciskanie zręczne kamieni na wodę, gonitwy do pewnego kresu, wyprzedzanie się na wzgórki i przykre miejsca, potykanie się w palcaty, jeżdżenie konno, rozmierzanie ogrodów, pól, miejsc do przystępu trudniejszych, i tym podobne. Za godne szlacheckiej młodzi poczytać się powinny ćwiczenia takowe, które obrotów żołnierskich w ciągnięciu, szykowaniu, dobywaniu, i bronieniu jakiego miejsca naśladowa...

ZABAWY PRZYJEMNE I POŻYTECZNE

Tomu I, część 1, edycja druga, Warszawa 1775

PRZEDMOWA

(Wyjątki)

Jakimże czołem pismo to, pod imieniem zabawek, na publiczne wyprowadzamy światło? Przez jaką odwagę przywłaszczamy sobie przymiot rozerwania umysłu czytelnika naszego, przymiot tak określony w naturze, tak rzadki w przemyśle? Skłonność chwalebna, w narodzie górować poczynająca, do tego nas przywodzi zaufania; szczęśliwa, która w naukach nastąpiła, odmiana, od przywary zuchwałości nas uwalnia. Niech nam względem tego w głębsze godzi się wchodzić roztrząśnienia.

Gotycka dzikość, nie wiem jaką fatalnością po wiekach szczęśliwych, zaszczyconych imieniem wielkich Zamojskich, Kromerów, Tomickich, Kochanowskich, Karnkowskich, Skargów, przywrócona, niknąc tych ostatnich wieków zaczęła. Obcowanie z cudzoziemcami, potrzeba trefunkowa ćwiczenia się w zagranicznych językach, powieści, jakkolwiek niedoskonałe, tych, którzy zagraniczne zwiedzili kraje, otworzenie księgarni publicznych, powodem nam być zaczęły domysłania się, iż niewiadomość żadną się zasłaniać nie powinna preskrypcją. Uprzątniono zatem próżną onej starożytności marę, która nas ustrojona powagą do czci zniewalała; uznano potrzebę wydoskonalenia narodu najwyborniejszymi, już dawno u sąsiadów naszych kwitnącymi naukami.

Znaczny zaiste był ten krok uczyniony na wypolerowanie narodu, któremu sama nawet zazdrość odmówić ostrego dowcipu i sposobności do nauk nie może. Tym zaś początki te znaczniejsze były, że zadawniona nieumiejętność wspierała się na uprzedzonych zdaniach osób, które o całość rzeczy najszacowniejszych troskliwie, w każdej nauk nowości nową trwożenia się przyczynę upatrowały. Głębsze i pilniejsze w rzecz wejrzenie rozpędziło po części te chmury. Jedni bojaźń niesprawiedliwą, przekonani o jej płochości, złożyli; drudzy, u których ślepe starożytności poważenie przemagało, zachowali ją wprawdzie, ale pozbawioną kształtu onego powierzchniowego, powagą swoją wabić lub trwogą przerażać innych mogącego; przyszło z czasem do tego, iż zaciętość tę w utrzymaniu zadawnionych błędów za rzeczywisty upór i zaślepienie poczytano; zatem dawny postrach jedni w urąganie, drudzy w litość przemienili; w tym tylko pobłądzono, że bez przyzwoitego roztrząśnienia postępując urąganie to do tych nawet rozciągnięto, którzy dla rozropnej ostrożności swojej w przyjmowaniu nowych nauk, dla prędkich w nichże raz przyjętych postępów, na pochwałę najznakomitszą zasługowali.

Lecz kiedy mądrość nie tylko łaskawym z wysokości tronu wejrzeniem obdarzoną, ale też do niejkiej tego tronu społeczno-

ści przyjętą być się widziała; kiedy bojaźliwa przedtem i z wejrzenia ludzi uciekająca nauka poczęła najwyższą wspartą obroną otrzymywać panowanie, które jej dotąd od blasku oczy mamiącego wydarte było; kiedy między zasłużonymi policzono tych, którzy w zatajeniu gabinetu zostając z samych tylko uczonych prac swoich świata byli znajomi — wtedy nie przestając na samym uznawaniu potrzeby przykładania się do nauk, zaczęto rzecz samą, z wielkim umysłu natężeniem i pracy przyłożeniem do nich się przywiązywać. Stąd wyniknęło, ledwie ku wierzeniu podobne, ksiąg zagranicznych w wszelkich językach i wszelkich materjach przymnożenie; stąd tak liczne na ojczysty język autorów wykłady; stąd na koniec chciwość ona czytania pism najwyborniejszych, ćwiczenia się w naukach najprzedniejszych — chciwość po wszystkich się stanach rozlegająca. Niemało do tego przyłożyły się peryjodyczne albo pewnych czasów wychodzące pisma, bądź dawniejsze, bądź też nowe; z których jedne za cel mają obyczajów naprawę, drugie przełożenie ustaw i początków wszystkich najprzedniejszych nauk.

Więc to tylko dla nas zostało, natężonemu czytelnika umysłowi spoczynek jaki po zaprzątającym jego pracowitym czytaniu obmyślić, a spoczynek godny przeszłej jego pracy, godny chwalebnej skłonności. Kto zaś nie wie, jakie krasomówskiej i rymotwórskiej sztuki są powaby dla zmysłów wszystkich, prawdziwe do nauk przywiązanie mających, jak je mile bez uprzykrzenia zaprzątają, jak same zaprzątanie w rozrywkę przemieniają! Musi zaiste potężne nader ich być nad umysłami naszymi panowanie, przemagająca moc wdzięków, kiedy za świadectwem Cycerona i zasępione ponurej starości gładzą czoło i najskuteczniejszą są w przeciwnościach pociechą...

Odmienność rzeczy tu zawartych i przeplatanie ich satyrami, rozmowami i tym podobnymi pismami skutkiem jest tejże uprzejmej żądzy obmyślenia tym pewniejszej czytelnikowi rozrywki, im się bardziej jednostajności, źródła tęsknoty, ustrzeżemy.

IGNACY KRASICKI

LISTY

(Do brata i bratowej — wybór i wyjątki)

Warszawa 1764

Przyrodzenie zdarzyło cię człowiekiem, hazard Krasickim, szczęście Polakiem, łaska Boska katolikiem. Piastuj zatem, ale ostrożnie, te przymioty, ażebyś pamiętał, żeś człowiek, w przystojności podściwego życia pokazał się Krasickim, w miłości ojczyzny Polakiem, w całym życiu skutkiem, nie powierzchownością, katolikiem prawowiernym. Jeżeli pójdzie tymi drogami,

współbliźnich wesprze, dom swój przyozdobi, ojczyznę zachowa i siebie uszczęśliwi. A możeż być co pożądansego? Mówmy wszyscy: daj to Boże, Amen. Bodajemy to w dobrą godzinę wymówili, a to dziecic rosło nam na pocięchę.

Berlin, 2 stycznia 1781

Przyjęty byłem od króla z większą jeszcze łaskawością i dystynkcyją niż innych czasów. Bawię się dobrze, jak zwyczaj w miastach wielkich i tego mi tylko nie dostaje, żebyście byli ze mną...

7 stycznia t. r. ...Moje przyjęcie i codzienne uczęszczanie u króla nadzwyczaj, mogę mówić, ze strony monarchy łaskawe. Staram się, o ile możności, bawiąc go oświadczyć mu moję wdzięczność. Jeżeli zaś w waszym kraju macie jakowe pogłoski o jego słabości, powiedzże Wpan każdemu, a jeśliby i chciał i był niedowiarkiem, przeczytaj, żem go zastał czerstwiejszego i zdrowszego, niż był przed pięcią laty, tak zaś wesołego i raźnego, jakby miał lat ośmnaście. Piszę Wpanu ten list zjadłszy z nim obiad. Siedzieliśmy cztery godziny u stołu. Tak się dziadunio rozkomosił i mnie tak rozchichotał, żeśmy się śmieli jak dzieci, a naopowiadaliśmy sobie bajek z półtorej kopy, a między innymi był i Dubieck i Nienadowa i Nozdrzec. A ci, co stali za drzwiami, rozumieli może, że szło o *aequilibrium* całej Europy, co i on sam powtarzał i śmiał się *ut octo*, a ja, *per consequens*, tyle drugie...

Jadę do króla znowu na wieczerzę.

Heilsberg, 22 sierpnia 1783

...Proszę powiedzieć jejmości, że wiele odmian w ogrodzie tego roku, zamiast jednej, trzy kaskady, promenady przedziwne, a kwiatów bez liku. W ogrodach pod mostem fontanny za kilkanaście dni już bić będą. Półtora raza wyższe, niż są w ogrodzie. Oj! jakże to będzie pięknie! IMpani hrabina, a chcesz to pani widzieć? — przyjedźże pani do Heilsberga.

Berlin, 28 stycznia 1787

...A Wpani podobno się gniewasz, że ja, obywatel berliński, stołownik królów, książąt, nic o królach ani książętach, ani o rzeczach ważnych nie powiadam. Ale co ja mam powiadać o królach, o książętach i o rzeczach ważnych? A trzeba powiadać, otże ja powiem pani o królach, o książętach i o rzeczach ważnych.

Oto tak. Królowie są to ludzie bardzo wyniesieni nad innych. Patrzą z góry na dół, a my na nich patrzymy z dołu na górę, a że najlepiej patrzeć wprost, trafia się bardzo często, a ledwie nie zawsze, iż i oni nas, i my ich niedobrze znamy. W kamienicy, która ma cztery piętra, niedobrze być na czwartym, bo wschodów nadto, a wiatr śwista, a być na pierwszym, lada kto przez okno patrzy.

Berlin bardzo zabawny, rozrywek wiele, cudzoziemców znaczna liczba, król niezmiernie grzeczny, łaskawy, czuły, miły, poczciwy, ażebym się więcej rozszerzył, rozumianoby może, iż pochlebstwo, bo powiadają, iż łaskaw a bardzo łaskaw na kogoś, ale ten kogoś schronienia szuka i musi się zamykać przed innymi kogosiami, którzy by mu łeb zawrócili, zdrowie odjęli, żeby tak jak inni chciał korzystać ze swego kogosiostwa. Ale kogoś jednak coś z czasem zrobi, co nie zasmuci jego kogosiołów.

Berlin, 1 września 1794

W miejscu kwiatów, drzew, gustu, odpisuję, powróciwszy z Werlitz, najpiękniejszego ogrodu Niemiec, a może przewyższającego wszystkie angielskie. Przeciąg tego więcej jak cztery mile, zgoła kraj cały w najprzedziwniejszej ozdobie, nad rzeką Elbą. Gospodarz mój, ulubiony przyjaciel, ks. Anhalt-Dessau, przez ośm dni dawał mi przepyszne festyny i widowiska. Ah! JW. hrabio!

Co to tam za polowanie! Pędziłem dwakroć jelenie. Psów angielskich co niemiara. A-ja-ja, A-ja-ja, Alali-a-la-li! A tu waltorny, a one trąby, a one klarynety, a strzelców, pikijerów, myśliwców bez końca, a wszystko z galonami. A dopieroż konie — au! au! au!...

W STOLICY KSIĘCIA BISKUPA WARMIŃSKIEGO OPIS REZYDENCJI W HEILSBERGU PODŁUG LISTÓW WSPÓŁCZESNYCH PRZEZ KRASZEWSKIEGO SKREŚLONY

(Wyjątki)

Heilsberg prawie zawsze pełen był gości: ukochana rodzina, brat Antoni, bratowa, bratanki, bracia młodszy, pokrewni, wychowawcy, jak młody Fredro, otaczali księdza biskupa; młodzież, której dawał edukację i przyszłość starał się zapewnić, starsze panie z dziatkami, oddaloną rodzinę przypominające, krewni potrzebujący protekcji, na ostatek starzy, zasłużeni domu sładzy, których dzieci i wnuki książę wyposażał, chrzczył, mieścił...

Ogromne zamczysko, w którym sam książę miał apartamenty zimowe i letnie, długie na osiemdziesiąt kilka kroków galerie dla przechadzki, zimowy ogród, oranżerie i treibhauzy, mieściło w sobie zawsze kogoś z bliższych...

Mieściła się tu i sala portretowa biskupów warmińskich i galerie sławnych ludzi i jadalnie obszerne i teatr i kaplica domowa i mnogie gabinety, składy, apartamenty pomniejszych...

Zamiłowaniu swojemu w sztuce i rzeczach pięknych mógł książę dogodzić. Było to dla niego potrzebą życia. Sprowadzano mnóstwo gazet, książ, rycin, nowości wszelkich, ściągano kopie portretów. Niemal co roku inaczej przerabiano mieszkania, coraz je wygodniej i piękniej urządzając...

Nad wszystko jednak, nad malarstwo, teatr, muzykę, zajmowały księcia ogrody. Była to jego słabość, fantazja, upodobanie główne, namiętność niemal, dla którejłożył i poświęcał wiele...

Mieniali się ciągle sprowadzani z zagranicy ogrodnicy cudzoziemscy, wypisywano tysiącami cebule z Holandii, kupowano drzewa i nasiona. W wielkich oranżeriach i treibhauzach dojrzewały pomarańcze, z których dla dworu biszof ulubiony robiono; ananasarnia była ogromna. Z tych zakładów szły na stół owoce w porze dla nich niezwykłej, szparagi w styczniu, śliwki i wiśnie, gdy jeszcze na dworze śnieg leżał...

Ogrody w Heilsbergu i angielski fundowany w Smolanach, jak zamek, nieustannie przerabiano, ozdabiano, wycinano, przestawiano coraz nowym gustem. Były w nich obeliski, altany, statuy, kaskady i wodotryski...

W listach księcia do rodziny wspomnienia są nieustanne o ogrodach, krzewach, kwiatach, którymi się zajmował z pasją, i znał się na nich doskonale. Słynął też z gustu i umiejętności w tym względzie, dawał plany na ogrody, troszczył się nimi w Dubiecku i po dobrach familii zasilając je nasionami i cebulami; odbywał podróże dla zwiedzania sławniejszych w tym rodzaju plantacyj w Oliwie pod Gdańskiem i w Dessau. Śmiało powiedzieć można, iż go z potocznych spraw nic tak żywo nie obchodziło, jak ogrodnictwo; chociaż rozrywał się chętnie każdym życia widokiem i nic mu nie było obojętne, aż do manewrów wojskowych...

Do rozrywek należało także i polowanie, któremu jeździł się chętnie przypatrywać. Psiarnia, myślistwo, konie utrzymywały się liczne, a powodzeniem łowów interesował się książę, równie jak łowieniem ryb, któremu na brzegach stawu wesgilskiego często asystował.

Nareszcie, choć podrzędną zapewne, niemają jednak w tym życiu pańskim i stół grał rolę, nader wykwintny i obfity. Kuchmistrz i kucharczów było kilku, nie licząc cukiernika, do polskich potraw sprowadzał się osobny artysta...

Zastawa stołu w dni uroczyste była pyszna, z taflami zwierciadlanymi, figurami porcelanowymi, piramidami i kwiatami...

Na zamku dla ciągłych gości i licznego dworu, oprócz codziennych tych uczt, muzyki i innych zabaw, w karnawale teatr grywano (między innymi grano księcia komedię: „Po modnemu“, czyli „Krosienka“). Bywały i bale, nawet maskowe...

Rzadko spotykamy wzmianki o obowiązkach pasterskich i religijnych księcia, chociaż te zaniedbane nie były; objeżdżał diecezję, wizytował kościoły, bierzmował tysiącami...

Książę na pokojach często do jedenastej i dłużej się zabawiał, z rana w kaplicy bywał na mszy, mnodzy potem zawsze nachodzili go przyjezdni, następowały ogrodowe zajęcia, obiad długi, wieczerza, nie licząc obfitej korespondencji.

Prawda, że chwilki nie tracił ksiązę ani w domu, ani w podróży, czytając, pisząc, notując ciągle. W powozie miewał zawsze książki, na popasach i noclegach pisał lub dyktował, słowem nie spróżnował ani minuty. A miał też tę niezmierną łatwość pracy, którą daje i talent i wielka w niej wprawa.

Zamek zawsze prawie był pełen, ściągali się i mnodzy duchowni z diecezji zabiegając o odkrywające się wakanse i beneficja, rodziny ich, arystokracja niemiecka, wojskowi, którzy wiedząc, że ksiązę dobrze był położony u dworu w Berlinie, przyjmowali go z wielkimi honorami i honory mu wyrządzali w przyjęciach uroczystych i jeździli się submitować. Obiady, bale, wycieczki częste do Frauenburga, Gutstadtu, Królewca, Oliwy, Smolan i różnych w okolicy probostw zabierały też wiele czasu.

Tu jednak w Heilsbergu najwięcej się dzieł narodziło. Jest to przywilejem takich natur i temperamentów, jak Krasickiego, że starczą na wszystko. Nigdy prawie w listach i dziennikach nie spotyka się wzmianki o złym jakim humorze księcia, wesół jest i swobodny zawsze, nawet gdy mu spodziewane biskupstwo krakowskie z rąk się wyślizga. Uprzejmy nieskończenie dla każdego, pamięta o najmniejszych, obdarza, karmi, poi, rozsyła przysmaczki, myśli o miłych niespodziankach. Żartuje ze swojego wychudłego worka i prosi tylko myśli swobodnej, aby go nie opuszczała.

Rodzina, słudzy są ciągłej opieki jego przedmiotem; nie ma tygodnia prawie, żeby ktoś ze sług nie żenił się, nie chrzczył, nie swatał, nie chorował. Ksiązę lub jego dobroczytna ręka jest wszędzie; obecnością swą zaszczyca ich wesela, daje śluby, nawiedza chorych, chrzci dzieci, młodym każe tańcować, a w podróży nie zapomina o tym, ażeby zawsze spragniony dwór miał się czym pokrzepić...

Zdrowie księciu służyło wybornie. — Odbywał podróże wielkie, szybko, w różnych porach roku, nie uskarżając się prawie. Jednego dnia w Seeburgu bierzmował, drugiego był na polowaniu, a powróciwszy do Heilsberga stał nad ogrodnikami. Do korespondencji rzadko cudzej pomocy używał, mało się kim wyręczał, a pisał wiele.

FRANCISZEK KARPIŃSKI

PAMIĘTNIKI

(Wyjątki)

W drugim roku teologii mojej podnieśli jezuita lwowscy szkoły swoje na akademiją, a między inszymi studentami świeckimi i mnie także nauk wyzwolonych i filozofii doktorem, a św. teologii bakałarzem zrobili. Na dzień umówiony publicznej pierwszej pro-

cesyi akademickiej tłumni goście do kościoła jezuickiego zgromadzili się. Ja, doktor, ubrany byłem po wierzchu polskich modich natenczas sukien w płaszcz czarny po pas, z błękitną grodeturową podszewką, z takiegoż koloru obszegami naokoło, z pętlczkami srebrnymi na przodzie, w rękę berło wyślacane, a na głowę (jak wtenczas była moda golić się), zupełnie prawie ogoloną i tylko kilka włosków na samym wierzchu mającą, biret mi włożono. Rektor akademii jezuitów w pasowym aksamitnym ze złotymi frędzlami płaszczu i inni doktorowie prawa i teologii jezuita w płaszcz także poubierani. Ledwie co zaczęliśmy po kościele procesyjną, akademik zamojski, w ławkach siedzący, umyślnie przysłany na to z Zamościa, ogromnym głosem zawołał: „Protestuje się nieważność tego aktu“. Jezuita, strwożeni i zagniewani, w rozruchu niezmiernym akademika protestującego się z kościoła wytrącić kazali, a ja pewniejszej się rzeczy chwytając berłem moim w głowę go uderzywszy, dobrze go przygłuszyłem, drugi zaś kolega mój, nowy doktor, także filozofii, już go był za łeb zahaczył i byłoby może co gorszego nastąpiło, gdyby jezuita, w płaszczach akademickich przybiegłszy, nie ratowali protestującego się, który spokojnie tylko za drzwi kościelne wyprowadzony, a my tymczasem po otrzymanym zwycięstwie swoim *Te Deum laudamus* kończyliśmy; przyczyną miało być tej protestacyi zgwałcone dawne prawo Akademii Zamojskiej, którym warowano, ażeby o 20 mil od Zamościa żadna akademija podnoszona nie była. Prawo zapewne nieprawne, jak gdyby to więcej oświecenia w narodzie szkodliwszym być miało narodowi...

...Wjechałem na koniec w stołeczne narodu polskiego miasto w roku 1780, gdzie w domu księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, jako łaskawie zaproszony, tak i przyjęty byłem; po kilku dniach przez księdza Naruszewicza, natenczas koadyjutora biskupa smoleńskiego, na rozumnym (jak nazywano) obiedzie królowi prezentowany byłem, który mi powiedział: „Wacpana sielanki we Lwowie drukowane dawniej go nam zaleciły; kochanek Justyny będzie i w Warszawie kochany“. Kazano mi siedzieć i słuchałem tłumaczenia pięknej ody Horacyjusza do Postuma, którą ja także przetłumaczyłem...

Wyjechałem na koniec z Warszawy po trzyletnim bawieniu do Galicyi...

Czwartego dnia po moim powrocie i siostra moja, wdowa Jankowska, z kilkorgiem dzieci swoich do mnie przyjechała. Rozrzewnienie, które czułem witając się z tą poczciwą kobietą, jej stan ubogi, zawiedziona nadzieje moje w kwapieniu się do Warszawy były okazją wierszów, które napisałem pod tytułem: „Powrót z Warszawy na wieś“, a te na niemiecki język wierszami przetłumaczone i wydrukowane widziałem wkrótce we Lwowie...

...Kiedy to w Polsce w czasie 3 maja dzieje się, ja tymczasem bawiący w Warszawie i często widując króla, raz mu stan mój ubogi przypominałem, a on mi na to najpochlebniej odpowie: „Honor wpan robisz panowaniu mojemu, że wtenczas żyjesz, kiedy ja na tronie jestem“. To królewskie oświadczenie, chociaż mi nie dało pieniędzy, ale jakże wielką dało nadzieję polepszenia losu mojego, którego około dwóch lat czekając nadaremnie, znowu się królowi przypominałem, a on mi rzecze: „Krzywdę mi wpan robisz tą prośbą swoją, ja bez przypomnienia o wpanu myśleć powinienem i proszę nigdy prośbą swoją mnie nie pokrzywdzić“. Słuchałem króla nic mu o sobie nie mówiąc i on też nic mi o mnie nie mówił do śmierci swojej; żeby mi datek jaki z siebie ofiarował wtenczas, kiedy marni pochlebcy jego brali biskupstwa, pensyje dożywotnie, królewszczyzny, dobra pojezuickie albo kaduki rozbierali. A tak widząc marność nadziei moich wyjechałem na wieś do Suchodoliny w Litwie, po ogłoszeniu w Warszawie Konstytucyi 3 Maja...

...Po skończonym sejmie grodzieńskim, ja nie mając już domu inszego (bo klucz ekonomiczny Suchodolina, puszczonej mi sześćioletnim kontraktem od przyjaciela Badeniego, przenosząc się do małoletniego Radziwiłła subarendowałem był na drugie *triennium*), sprowadziłem się do mojej kolonii w brzeskim województwie, przy lesie białowieskim sytuowanej, na którą to koloniją, czyli kawał ziemi pustej z lasu wyrąbanego pozostałej, a o włók 20, tenże poczciwy Badeni bez mojej o to prośby jeszcze w r. 1791 wyrobił mi przywilej u króla, kiedy każdemu, kto chciał (a odbierali Tatarzy i Żydzi nawet), pustą ziemię do wyrobienia na gruntach królewskich na lat 50 rozdawano, ażeby po upłynionym takim terminie taż kolonija do króla polskiego, jaki natenczas będzie, powracała, bez żadnej nagrody za zabudowanie wszelkie i osadzenie wieśniaków. — Przyjaciel Badeni, jak się rzekło, i dla mnie takiż przywilej zyskał, o czym król i zapomniał, bo dziwił się, za dwa lata potem, kiedy mu w Grodnie, już po upadku Polski, powiedziałem, że mieszkam w kolonii.

Pobudowawszy się w tejże kolonii, chociaż ubogo, ale wygodnie, zacząłem szczerze myśleć o sobie, ażeby na starość swój mając kawałek chleba po cudzych kątach nie poniewierać się, i nie mając majątku żadnego, prócz dwóch tysięcy dukatów na procencie, ciężko mi było bez żadnego poddanego wytrzebienie dzikiego gruntu kolonii wszystko robiąc najemnym cudzym wieśniakiem. Wziąłem się tedy i sam, więcej 50 lat mający, do roboty, widząc, że próżno pokładałem nadzieję w obietnicach królewskich i w łaskach pańskich; tyle wieku marnie przepędziwszy zacząłem uprawiać rolę i kilka morgów wycinając i wykopując korzenie krzaków, sam wytrzebiłem. Najem-

nicy, którzy przy mnie pracowali, z tym większą robili mi ochotę, im szczerzej i mnie też przy sobie pracującego widzieli; skutek tej pracy mojej był najlepszy, bo zawsze w czasie tych robót moich jadłem i spałem smaczniej. Nie masz wstydu za robotę około roli, co pierwszym człowieka jest powołaniem... Raz jaśnie wielmożny sąsiad sześciami końmi kareta przejeżdżał, a ja blisko publicznej drogi krzaki na gruncie w moim szlafroku wycinam; niemniej, którzy przy mnie robili, przestrzegli mnie, że pan jakiś nadjeżdża, ażeby roboty mojej poprzestał; jam odpowiedział, że tym bardziej robić będę, bo to mi jeszcze chwałę robi. Poznał mnie przejeżdżający pyszny jaśnie wielmożny i wysiadłszy z karety, z pół godziny zabawiwszy ze mną, kiedy się dziwił pracowaniu mojemu razem z chłopami, a ja jemu toż samo, co i najemnikom moim odpowiedziałem, dodałem jeszcze, że piękniej jest daleko pracować, niżeli szachrajstwem majątek robić. W tych czasach, ażeby mnie widział, przyjechał do kolonii przyjaciel mój Badeni poczciwy — i kiedy mu o mojej pracy powiadałem około roli — ażeby mi jej ulżył, wypuścił mi pańszczyznę blisko mnie wsi ekonomicznej, Kletno nazwanej, a tak przez ten rok do 7 włók gruntu, licząc w to i najemnika jeszcze liczniejszego, wytrzebiłem; wieśniaków do tego uboższych z bliższych kluczów ekonomicznych siedmiu na gruncie moim osiadło i jak można naprędce za przyłożeniem się moim pobudowało się z umową pięcioletniej wolności, po których upłynionych dwa dni na tydzień pańszczyzny robić mieli albo czynsz od pół włóki swojej siedziby zł 60 na rok płacić. Tak już blisko wioskę mając mieszkanie moje w kolonii nie zdawało mi się być dzikim. Tam wieśniakom nowoosiadłym prawa ich, na których grunt mój osiadali, czytałem, a w nich między innymi było umieszczono, ażeby w przypadku, jeżeliby jeden drugiego ważył się w złości uderzyć, pobity oddawać mu wzajemnie nie miał, ale zaraz do dworu na skargę przychodzić, wtenczas dwór zawsze jednostajnie osądzi, że bijący będzie publicznie ukarany kilkunastu różgami, nie przez dworskiego ekonomę danymi, ale tenże sam pobity różgi bijącemu dawać będzie. Tym sposobem nie było u mnie bójek między sobą wieśniaczych i po takiej karze na jednym z bogatszych, a tym samym pyszniejszych wieśniaków wypełnionej, skończyło się. Jeżeliby się z czasem między nimi pokazał złodziej jaki, tedy za pierwszą poszlaką różgami spośród wsi ćwiczony musiał być, za drugą z utratą wyrobku, pola i zabudowania ze wsi wypędzonym; jeden z tych wieśniaków, nazwiskiem Jakub Mosiej, padł mi ze łzami do nóg dziękując za to prawo, czyniące mu nadzieję, że sami tylko cnotliwi osiadać będą w tej kolonii; jakoż pokazało się potem, że tenże Jakub był człowiekiem w każdym zdarzeniu najpoczciwszym i od wszystkich wieśniaków szanowanym, a ode mnie nad innych kochanym. W kilkanaście lat potem, w roku 1808, umierał on; przez tydzień

choroby najweselszym go widziano, a płaczącej żonie i dzieciom, widzącym śmierć jego bliską, śmiejąc się mówił: „Oto wojska obce wkrótce przechodzić mają i ciemiężyc was będą; ja się zapewne pokwapię i umrę pierwej, a wy się tu nacierpicie, jam szczęśliwszy od was, bo pójdę na praznik do Ojca“. Winie-
nem był wspomnienie rzadkiej cnotcie wieśniaka tego, nad któ-
rego grobem płakałem...

...Piszę ja ten rękopism w roku 1822, zaś 81 życia mego, i będąc tak już na siłach słabym żegnam się z wami najpierwej, krewni moi, Franciszku Kozierowski, z żoną i sześciorgiem dzieci twoimi; żegnam się też z wami, najdawniejsi, bo więcej od lat 40, przyjaciele moi: Karolu Prozorze, obożny litewski, i Ignacy Sieheniu, starosto krzemeńczucki; jakże mi miło będzie z wami jako ludźmi poczciwymi i na tamtym świecie obaczyć się! Ale obaczę ja i ciebie wkrótce, cnotliwy i kiedyś tak groźny dla mnie, ojczcie mój! Nie wszystko ja to, nie wszystko wypełniałem, w czym ty mnie w młodości mojej napominałeś, ale przynajmniej nikomu, jak sobie przypominam, krzywdy nie zrobiłem. Szedłem ile możności prawdą na świecie, jakoś mnie, konając napominał, i chociaż ta droga wiodła mnie czasem do umartwie-
nia, ale też ta sama prawda wyznana, jakieś mi to przepowie-
dział, słodziła potem smutki. Ty pewnie u Boga naszego do-
brego jesteś położony; powiedz za dziecięciem twoim, żem był ułomny, ale przynajmniej starał się, aby zbrodniarzem nie był.

TEATR W EPOCE STANISŁAWOWSKIEJ

Ludwik Bernacki, Teatr, dramat i muzyka za Stanisława Augu-
sta, tom I — wyjątki

AFISZE TEATRU NARODOWEGO

1783

Wrzesień

7. *Niedziela*. Na zaczęcie nowej antreprzyzy, przy odgłosie trąb i kotłów, oraz iluminacji całego teatru, jako w anniwersarz elekcyi Najjaśniejszego Pana, opera w 3 aktach, z muzyką Piccini „Czekina albo Cnotliwa panienka“, po czym nowoskomponowany balet Kurtza w 3 aktach „Apollo i Dafne albo Zwy-
cięstwo miłości“. Spektakl zakończy się chórem, śpiewanym przez aktorów i stosownym do dnia tak wielkiej gali. Opisanie baletu będzie się *a parte* drukowane wydawać. Anterprzyza no-
wego teatru publicznego za najpotrzebniejszą to sobie poczytuje
powinność polecić się w początkach swoich względem *publici*, bez których, jak i inne, upaść by musiała, a zarazem zawi-

damia, że nie przestanie na komedyi i operze, ale przedsięwzięła uformować balet, który miłą zawsze w tym mieście bywał rozrywką. Tak sprowadzeni świeżo dobrzy tancerze, jak i ci, którzy wkrótce z zagranicy przybędą, widowisko to uczynią doskonałym. Wielka ekspenza jest przyczyną podniesionej ceny miejsc, co *publicum* wybaczyć raczy.

1787

Grudzień

17. *Niedziela*. Pierwsza reprezentacja komedyi nowej, z francuskiego przetłumaczonej, w 5 aktach, przeplatanej piosneczkami i tańcami, prozą, „Dzień swywoli albo Wesele Figara”. Komedya ta pana Beaumarchais, autora znajomego z tylu dzieł pierwszych i dowcipnych między dziełami dramatycznymi, zdawało się, iż tylko dla samej Francyi była napisana. Wiele anegdot, tam tylko znajomych, będąc po części pochopem żartu i zasadą intrygi w tej sztuce, tym więcej wzmacniały to zrozumienie. Mimo to wszystko, sztuka, już dotąd niemal na wszystkie języki tłumaczona i wszędzie grana, dała pochop i tutajszemu teatrowi do dania onej w narodowym języku dla prześwieanego *publicum*. Oczekiwana była tylko edycja dzieła taka, jaka jest zgodna z manuskrytem samego autora; wiele albo-wiem poprzednich edycji sfalszowanych nie okazywały go jak tylko niedoskonałym i przez połowę niemal co inszego prócz myśli i wyrazów autora mającym. Ta sztuka, ozdobiona rozrywką w IV akcie z powodu ceremonij weselnych, zakończy się baletem mającym związek z tą samą sztuką.

1790

Wrzesień

(Skrót)

7. *Wtorek*. *Doniesienie*. Antrepyza Teatru Narodowego, która dotąd w niepewności utrzymania się zostając, nie mogła prześwieatną publiczność w żaden sposób o dalszych reprezentacyjach swoich zapewnić, gdy teraz dobrotliwą łaską Najjaśniejszego Pana (pozwalającego jej baletu, kosztem swoim płatnego, tak dla zjednania publiczności większej zabawy, jako i dla utrzymania równie narodowych jako i zagranicznych widowisk) wspartą została, ma honor donieść, że do następującej Wielkiej Nocy nieprzerwanie równo z operą włoską trzy razy w każdym tygodniu reprezentacje swoje dawać będzie, z których dwie z baletem zawsze dawane, jedna zaś wielką sztuką, albo dwoma mniejszymi zapełniona zostanie. Antrepyza, przejęta dozonną wdzięcznością za łaskawe na nią monarchy swego względy i pra-

gnąca zjednać jak najmiłszą zabawę prześwietnej publiczności swymi widowiskami, zapewnia ją, że w każdą przypadającą na siebie niedzielę nową sztuką nieomylnie jej się przysłuży, a zostawując śpiewanie oper zagranicznej kompanii, która wrodzonym talentem tak miłą publiczności sprawia rozrywkę, sama wyborem nowych komedyj, dram i tragedyj zabawić ją starać się będzie nie oszczędzając w żaden sposób wydatków wielkich, jakich podobne sztuki wymagają koniecznie...

Październik

14. *Czwartek*. Komedycja oryginalna w języku polskim wierszem napisana i do obyczajów krajowych przystosowana, w 3 aktach, „Zabobonnik“. Balet Kurtza „Król pasterz“. Komedycja ta prawie jak nowa, bo od 10 lat na tym teatrze nie reprezentowana, dla osobliwości charakterów, ślicznego wiersza, komiczności dyalogu, a osobliwie dla przystosowania do krajowych zwyczajów, wielkie sprawiła przy pierwszej reprezentacji ukontentowanie. Publiczność, lubiąca dzieła piękne, w ojczystym języku utworzone, zapewne i tę komedycję przyjmie z równą i teraz satysfakcją.

1792

Czerwiec

27. *Środa*. Na Skarb Publiczny. Drama w 3 aktach „Książę Montmuth“. Balet Kurtza „Kozaki“. Spodziewa się antrepryza narodowa, że publiczność, przez wzgląd i na potrzeby ojczyzny i na szczerę chęci ofiarującego, reprezentycją tę przytomnością swoją zaszczyci. A chociaż cena miejsc zwyczajna położona będzie, kto by jednak z szczerobliwości swojej więcej za bilet chciał ofiarować, dobrego użycia ofiary swojej pewnym być może, albowiem osoba od prześwietnej komisji cywilno-wojskowej na to wyznaczona całą perceptę dnia tego odbierać będzie. Antrepryza narodowa poleca siebie, a raczej potrzeby ojczyzny wszystkim czującym stan jej terażniejszy. Wyszło osobne doniesienie, w którym antrepryza narodowa zawiadamia, iż zobowiązała się, aż do wypłacenia 12.000 zł na Skarb Publiczny, dawać jedną reprezentycją co miesiąc.



WOJCIECH BOGUSŁAWSKI

DZIEJE TEATRU NARODOWEGO

(Wyjątek)

1794

...Brakowało jeszcze polskiej operze tego, co jest każdemu narodowi najdroższe — narodowości. Przyszła mi myśl wystawienia na scenę tych wesołych i rubasznych Krakowiaków, którzy śpiewając uprawiają ziemię, śpiewając biją się za nią... Lube mojej młodości wspomnienia, drogie chwile, które na tej ziemi przeżyłem, nauki, które w niej brałem, związki krwi, które mnie tam łączyły, wszystko to przed moimi stanęło oczyma. Wezwałem całej mojej pamięci, całej zdolności do odmalowania ich zwyczajów, zdań, uczuć, mowy i zabaw; a w krótkim czasie napisałem znajomą aż nadto operę: „Cud, czyli Krakowiacy i górale“, z ułożoną przez JPana Stefani muzyką... „Krakowiaki“ pozyskały wszystkich serca, zapaliły wszystkich umysły. Stosowność, jakiej z ówczasowymi okolicznościami domyślano się w tej operze, sprawiła, że po trzech ciągłych onej wystawieniach zakazana została. Ci, którzy w niej nic więcej oprócz wesołej zabawy nie upatrowali, zasmucili się jej zgonem; lecz ten chwilowy letarg wkrótce ją w świetniejszej epoce wrócił do życia.

Odkąd grożącemu bliską nawałnością niebu podobało się i ojczystej scenie zapowiedzieć upadek, wiele sztuk uchylonych, wiele dla nieskończonych ówczasowej cenzury poprawek, bez związku prawie zostawionych, przymusiły nareszcie do grywania samych tylko niewiele znaczących dzieł, raczej oburzenie, aniżeli przyjemność sprawiających publiczności. Zbliżała się tymczasem chwila mająca zamienić narodowe zabawy w okropne sceny! Dzień 17 kwietnia, innej dla kraju ofiary wskazując potrzebę, obrócił serca i ręce artystów tam, gdzie już nie przykłady, ale czyny skutkować miały. Scena narodowa, zamknięta przez sześć miesięcy, niepotrzebną była dla rodaków ważniejszymi zatrudnionych sprawami. Otwarta znowu na rozkaz ówczesnego rządu, kilkunastu widowisk wystawieniem wskrzesiła na chwilę mdlejącą w ogromie nieszczęść odwagę; ale z upadkiem wszelkich powstania nadziei i onej upaść należało! Nie chcąc być świadkami zgonu dawnej ojczyzny, rozpierzchnęli się artyści na wszystkie strony. Któż bowiem mógłby być zdolnym w tak okropnym nieszczęściu wystawiać wesołe zabawy? Ten chyba tylko, komu chciwość złota w każdym, kto je przynosi, spółrodaka widzieć pozwala!

Ten był koniec przed laty trzydziestu założonej, przez dwadzieścia przemocą przywileju na różne sposoby gnębionej, uporczywym staraniem zawsze wskrzeszanej, do wysokiej doskonałości przed samym jej zgonem wzniesionej sceny ojczystej...

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ

PISMO DO SAMOŁOWA

(W niewoli, grudzień 1794)

(Wyjątki)

...Polacy, mimo dwukrotnego podziału przez swych sąsiadów, mimo wszystkich swych nieszczęść, sądzili się zawsze ludem samowładnym i niepodległym; w tym przekonaniu mniemali być powinnością swoją czynić wszelkie usiłowania, by odzyskać równie niepodległość jak utracone prowincyje. Chwycili się więc do broni, nie jak buntownicy, lecz jak wierni Ojczyźnie swojej synowie... Chcecie, hrabio, bym wam bez ogródki szczerą prawdę powiedział, więc gdybym się miał nawet narazić, powiem ją. Zabranie prowincyj naszych, zwalenie konstytucyi, na której rozsądną wolność i szczęśliwość naszą gruntowaliśmy, prześladowanie, wygnanie na Sybir, zgwałcenie praw najświętszych, obelgi, zniewagi, uciski, te nas do rozpacz przywiodły; nie dosyć, żeście zabrali najpiękniejsze prowincyje nasze, nad zostawioną nawet małą częścią rozciągałście żelazne berło wasze. Przeciwiłście się wszelkim zbawiennym ustawom, uporczywie utrzymywaliście zgubne broniące zbawiennych popraw ustawy, nie zachowaliście ni dla króla, ni dla narodu, ni przystojności, ni najmniejszych względów...

Celem powstania Polaków było odzyskać swobody i niepodległość swoją, dawne granice, oderwane prowincyje, tak od Rosyi jak od Prusaków. Jak przodkowie nasi, tak i my nie mieliśmy próżnej pychy wydierać cudze i czynić zabory...

Wiem, że niczego dobrego nie mogę się spodziewać; nie to wszystko atoli sprawia największe me nieszczęście. Obraz kochanej Ojczyzny mojej, wydanej na wszystkie uciski, a może i zagubę ostatnią, zburzonej, zniszczonej, miasta jej spalone, niwy, błonia zasłane trupami, najdrożsi przyjaciele w więzach, ogołoceni z majątku, żal, ubóstwo i nędza powszechna, to jest, co mię najwyższą obarcza boleścią...

V

LEGIONY

ODEZWA WODZA

Dąbrowski, Generał-Lieutenant Rzeczypospolitej Polskiej, umocowany do formowania Legijonów Polskich we Włoszech

Do Współobywateli!

Wierny Ojczyźnie mojej do ostatniego momentu, walczyłem za jej wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką, upadła ona pod przemocą i nie zostaje nam jak pocieszające wspomnienie, żeśmy krew przelewali za ziemię przodków naszych, żeśmy widzieli chorągwie nasze zwycięskie pod Dubienką, Racławicami, Warszawą i Wilnem.

Polacy, nadzieja powstaje... Francycja zwycięża, ona się bije za sprawę narodów, starajmy się osłabić jej nieprzyjaciół!

Francycja pozwala nam schronienia; czekając lepszych losów dla kraju naszego idźmy pod jej chorągwie, te są oznakiem honoru i zwycięstwa...

Legijony Polskie formują się we Włoszech, na tej ziemi niegdys świątyni wolności. Już oficerowie i żołnierze, towarzysze trudów waszych i męstwa, są ze mną, już się batalijony formują; przybywajcie koledzy, rzucajcie broń, którą was nosić przymuszono, bijmy się za sprawę wspólną wszystkich narodów, za wolność, pod walecznym Bonaparte, zwycięzcą Włoch.

Tryjumfy Rzpltej Francuskiej są naszą jedyną nadzieją, za jej pomocą i jej alijantów może zobaczymy jeszcze domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili.

W Kwaterze Głównej w Medyjołanie, Dnia 1 *Pluviso*e Roku 5 Rzeczypospolitej Francuskiej jednej i nierozdzielnej.

Generał-Lieutenant Polski
Jan Dąbrowski

Z DEKADY LEGIONOWEJ

DEKADA DRUGA

11 *Ventose* 7 Roku w Mantui

Legije Polskie

Generał brygady Kniaziewicz z adiutantami Drzewieckim i Kosseckim przejechał od dni kilku do Paryża, wysłany od Armii Rzymskiej z zdobytymi na nieprzyjacielu chorągwiami, do Rządu Francuskiego. Jest to najpiękniejsza epoka dla naszej historii, jest to najświetniejsza nadgroda obywatelstwa dla składających Legije Polskie, że Rząd Francuski przyjmie z rąk Polaka dowód jego waleczności i znaki zgniecionego króla. — Polacy! Głos waszego rodaka da się słyszeć w Świątyni Świata, echo jego rozlegnie się w Europie, przerazi waszych najęźdźców i zawstydzi tych, co o losie Ojczyzny rozpaczają śmieli. — Lubo cena tego zwycięstwa nie jest nad wartość jego, bo zapiecztowana krwią naszych braci, i zapewniona na waszej, strzeżcie się jednak wpadać w tę wyniosłość, która by wam dała zapomnieć, iż to wszystko winni jesteście Francuzom. — Im to, mówię, winni jesteśmy, że tu żaden z nas marnie dla Ojczyzny nie zginie...

DEKADA CZWARTA

Dnia 2 *Germinal* Roku 7 WolnościOpisanie audyjencji publicznej
w Dyrektoryjacie Francuskim

Dnia 16 *Ventose* R. 7 Rzeczypospolitej jednej i nierozdzielnej.

Zapowiedziane od dni kilku złożenie sztandarów neapolitańskich w Dyrektoryjacie Wykonawczym zostało dopełnionym dnia dzisiejszego w sali powszechnych audyjencji w Pałacu Dyrektoryjalnym. — Te liczne pamiątki chwały Armii Neapolitańskiej — te nie zaprzeczone świadectwa dzieł heroiczych, których historia równego nie podaje przykładu, a które wystawują zniszczenie królestwa i armii osmdziesiąt tysięcy w ciągu niezapelnym dwóch miesięcy przez waleczne 17 tysięcy napadnione niespodzianie w ich stanowiskach — były przyjęte wśród oklasków i uniesienia się radością licznego zgromadzenia. — Te sztandary ozdobnym i kosztownym zbogacone haftem, których przepych i hańba walczą z prostotą i wysokim przeznaczeniem trójkolorowych chorągwi, zostały oddane władzy wykonawczej przez generała Kniaziewicza, który się szczególnie popisywał z swymi rodakami w tej nieśmiertelnej wyprawie.

Postać republikancka, wzrok śmiały tego wojownika, odpowiadały danym mu przez generała *en chef* Armii Neapolitań-

skiej pochwałam. — Wszystkie członki ciała dyplomatycznego były przytomnymi tej uroczystości... Nie będziemy opisywać jej szczegółów. Zostawmy naszym czytelnikom wyobrażenie w ich myśli wspaniałości dnia tego, tych wzruszeń wdzięczności i uczucia wielkości narodowej, które wyborne krasomowstwo bohaterów francuskich wzniewało w sercach przytomnych. Któreż oko oprzeć się mogło łzom wdzięczności i radosnego zadziwienia? Któryż Francuz, co by nie rzekł w sobie: i ja także jestem obywatel Wielkiego Narodu...

EMPIRE

Opracowała Helena Blumówna

Wielka rewolucja obaliła stary porządek. Z wzniesionej przez nią pożogi wojennej wyrosła epopea napoleońska. Napoleon nie był spadkobiercą tronu Bourbonów, podjął on hasła rewolucji jako swoje i uczynił to z gestem rzymskiego imperatora, który przeobraża republikę w cesarstwo. Epoka, której Napoleon dał swe imię, wywodzi się z wieku racjonalistów i kultu sztuki starożytnej. Również klasycyzm w sztuce nie uległ zasadniczym przeobrażeniom i wyrażał w pełni ideały cesarstwa Napoleona. Stał się jednak sztuką reprezentacyjną, oficjalną, która sławi wspaniałą potęgę bohatera swej epoki. Powstały dzieła wyrosłe na tych samych założeniach, co sztuka drugiej połowy XVIII w., ale zrealizowane bardziej konsekwentnie, bezwzględnie. Dawny klasycyzm potężnie, nabiera innego sensu.

Zaznacza się to zwłaszcza w architekturze. Napoleon budował wiele, domagał się budowli monumentalnych, a jego architekci natchnienia szukali w Rzymie imperatorów (rozbudowa Luwru i Łuk Tryumfalny).

Styl empire przejawiał się zwłaszcza w urządzeniu wnętrz; w tworzeniu odpowiednich ram dla dworu Napoleona. Sprzęty proste, harmonijne, o równych liniach i przejrzystej konstrukcji, wykonane z kosztownego mahoni, zdobione motywami rzymskimi i egipskimi (wpływ wyprawy do Egiptu) odpowiadały wymaganiom chwili. Wytworny chłód charakteryzuje blask dworu cesarskiego.

Patos jednak wyraża wojenne porywy epoki, co pozostało nadal dziełem Davida. Malarz rewolucji, najściślej z nią związany, nie ustąpił z widowni, gdy pojawił się na niej bohater na miarę starożytnych mężów. David był za cesarstwa dyktatorem w sztuce. Uwiecznił on wielką chwilę koronacji cesarza w olbrzymim obrazie, który wzbudził podziw współczesnych. Nam jednak bliższym pozostaje wcześniejszy portret, w którym David odsłonił psychikę Napoleona nie siląc się na sztuczną pozę.

Architektura polska epoki postanisławowskiej nie zniweczyła swego pięknego dorobku. I choć po rozbiorach osłabło tętno życia w kraju, co odbić się musiało niewątpliwie na ruchu budowlanym, powstało wiele pałaców i dworów. Styl stanisławowski zyskał prawa obywatelstwa w całym kraju.

Zmiana warunków politycznych (Księstwo Warszawskie, Królestwo Kongresowe) oznacza dla polskiej architektury, zwłaszcza na terenie Warszawy, nową falę ożywienia. W stolicy ogniskuje się ruch budowlany, brak bowiem budowli monumen-



Warszawa, Teatr Wielki w czasach Królestwa Kongresowego

talnych na pomieszczenie urzędów i nowych instytucyj. Zabudowuje się więc w Warszawie szereg ulic — Nowy Świat, Leszno, Elektoralna, Bielańska, Senatorska, Żabia i in., powstają pałace i gmachy: Bank Polski, pałac Rady Ministrów, pałac Komisji Przychodów i Skarbu, Mennica, Uniwersytet, Obserwatorium, pałac Staszica, Belweder, Teatr Wielki. Na czoło architektów wysunął się K u b i c k i, dawny stypendysta Stanisława Augusta, twórca Belwederu i wielu pałaców i dworów.

Piętno swej indywidualności pozostawił w Warszawie głównie Włoch, A n t o n i o C o r a z z i, sprowadzony przez Staszica dla budowy gmachów rządowych. Wychowany na tradycjach architektury włoskiej, wniósł w swój klasycyzm wiele harmonii, lekkości. Cech tych nie zatracza nawet wtedy, gdy piętrzy szereg kondygnacyj i operuje dużymi masami — np. w Teatrze Wielkim. Piękno tej budowli podnosi kolumnada toskańska. Corazzi posiadał wiele pomysłowości i w rozwiązaniu architektury uwzględniał charakter użytkowy budowli. Bank Polski np., przez umieszczenie dużej sali kopułowej, przeznaczonej dla giełdy, na dominującej osi i szczęśliwe związanie z całością gmachu zyskuje odpowiedni charakter.

Styl empiowy w architekturze znalazł w Polsce nader wdzięczne zastosowanie; wielkie i wspaniałe gmachy, które powstały w stolicy, tworzą grupę zasługującą na miano *empire warszawskiego*. W innych dzielnicach polskich rozmach budowlany był słabszy. Wilno zamierało, Wielkopolska uległa wpływowi pruskim. Zabór austriacki przejął *empire wiedeński*, związany z Włochami. Pietro Nobile, czołowy architekt cesarskiego Wiednia, zaprojektował budowę gmachu Ossolineum dla Lwowa. Budowy tej dokonał jednak Józef Bem, później świetny oficer powstania listopadowego, według swego planu i nadał Bibliotece Ossolińskich jej szlachetny kształt.

Na szersze rozważenie zasłużyłoby rozpowszechnianie się stylu *empire* w budowie dworów i dworków wiejskich we wszystkich dzielnicach polskich. Monumentalna kolumna antyczna uległa przeobrażeniom, zamiast marmuru służy drzewo jako materiał. Dworek z gankiem wspartym na kolumnach utrwała się w wyobraźni polskiej jako jednolita grupa zabytkowa. W zastosowaniu kanonów wielkiej architektury do wymagań życia codziennego przejawia się też zmiana układu społecznego. Miejsce królewskiego mecenasa zajął nowy odbiorca sztuki; jest nim zarówno potężna instytucja (bank), jak też i jednostka budująca dla siebie dom mieszkalny. Nowy ustrój społeczny zaznaczył się we wszystkich dziedzinach sztuki.

W związku z nowoczesną rozbudową miast powstały rozległe place, których estetyka domaga się pomników. Decydującym czynnikiem była jednak wola społeczeństwa, pragnącego wnieść pomnik bohaterowi narodowemu. Kult dla Józefa Poniatowskiego wymagał, żeby jego posąg wyszedł tylko spod dłuta wielkiego rzeźbiarza; toteż zamówienie otrzymał Duńczyk *Thorwaldsen*, najslawniejszy w tych latach rzeźbiarz europejski. Zgodnie z wyobrażeniami epoki przedstawił on księcia Józefa w postaci starożytnego bohatera, przy czym bezpośrednim natchnieniem był mu posąg konny Marka Aureliusza w Rzymie. W todze, z odsłoniętą nagą piersią, dumny, spokojnym bohaterstwem prowadzi ks. Józef do zwycięstwa; laską marszałka w prawej ręce wskazuje drogę. Jedyne rysy twarzy są oddane realistycznie, całość traktowana idealnie urasta do symbolu.

Z woli i ze składek społeczeństwa powstał też w Warszawie pomnik Kopernika, którego odsłonięcie nastąpiło w r. 1830 staraniem Staszica. Również i tego pomnika twórcą jest *Thorwaldsen*.

Współdziałł szerszych sfer społeczeństwa w sprawach artystycznych nabierał coraz to większej wagi i zaznaczył się nawet na terenie malarstwa. Obrazy wydostają się z pracowni artystów i z pałacu mecenasa i poczynają bezpośrednio oddziaływać na społeczeństwo. Pierwsza publiczna wystawa odbyła się w Warszawie w r. 1819 pod patronatem Uniwersytetu i Komisji Rząd-

wej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Już na pierwszej wystawie wysunął się na czoło Antoni Brodowski, warszawianin, który po kilkuletnich studiach paryskich przeszedł na teren malarstwa rodzimego klasycyzm, by prym dzierżyć przez szereg lat. Wśród dzieł Brodowskiego wyróżnia się obraz „Edyp i Antygona”. Zgodnie z regułami sztuki klasycznej obrał artysta motyw ze starożytnej tragedii i ukształtował według wszelkich kanonów ze spokojnym umiarem.

Wpływ Brodowskiego na ówczesne malarstwo polskie był niewątpliwy; ale bez jego współdziałania krzewił się klasycyzm w różnych ośrodkach artystycznych (Wilno — Smugłowicz). Na ogół jednak malarstwo staje się bardziej realistyczne, a przede wszystkim budzi się dążność do oddania treści uczuciowej, co pozostaje w związku z rosnącym prądem romantycznym.



Antoni Brodowski, Edyp i Antygona, obraz olejny

OBRONA KULTURY NARODOWEJ

JAN PAWEŁ WORONICZ

ROZPRAWA DRUGA O PIĘSNIACH NARODOWYCH

(Czytana na posiedzeniu publicznym Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, dnia 15 maja 1805 roku)

(Wyjątek)

..Ponieważ język nasz, nawet religijny, ma być żyjącym pomnikiem narodowym, i nie można lepiej sławić Boga, jak dobrodziejstwa Jego plemieniowi naszemu wyświadczone wdzięcznie rozważając, zgodną być rzeczą osądziliśmy, dopełnić to dzieło dodatkiem kilku nowych hymnów, które by plemiennikom naszym szczególniejszą opiekę Bożą nad ich ojcami przypominały.

Psałterz syjońskiego króla i proroka składają po większej części takie pieńia, w których Opatrzność widoczne niegdy dziwy swoje nad jednym ludem wskazując, ostrzec przez to chciała wszystkich narodów pokolenia, że toż samo nad nimi, acz ukrytą i niewidzialną wszechmocności swojej prawicą dopełnia. Jakoż nie chodząc indziej, możnaż choć jeden krok w dziejach narodu naszego uczynić, aby się z tą niewidomą ręką nie zetknąć, która ojców naszych w najkrytyczniejszych razach przez dziesięć wieków piastując, plemię ich do ciągłego zasługiwania na tak dostojną opiekę pociągnąć chciała. Gminny i po ziemi pełną rozum nazywa to trafem przypadkowym, a czasów i okoliczności szczęśliwym połączeniem: lecz rozum Polaka zdolny jest podnieść się aż do tego górnego zdrojowiska, skąd wszystkie strumyki i pojedynczych człowieka przeznaczeń, i ogólnej narodów zmiany, wytryskują, a okręgiem świata od jednej do drugiej osi miotają. Nie od rzeczy więc będzie przeczytać wam, prawowiernych Polaków potomkowie, choć jeden z tego rodzaju wyjątek, abyście ducha p i e ś n i o k s i ę g u zamierzonego bliżej wyrozumieli. Gdyby ten tylko ułomek w ustach całego ludu naszego pozostał, służyłby pokoleniom późnym za wskazówkę, jakiego rodu plemieniem byliśmy.

(*Tu autor odczytał swój hymn do Boga o dobrodziejstwach Opatrzności dla naszego narodu dziejami wyświadczonych.*)

LIST ADAMA JERZEGO CZARTORYSKIEGO DO REKTORA SZYMONA MALEWSKIEGO

Józef Kallenbach, Czasy i ludzie — wyjątki

Lipiec 1819

Zastanowienie się nad ciągłym niedostatkiem profesora w mowy w Uniwersytecie oraz nad zaradzeniem temu niedostatkowi dało mi pilniej rozważać stan literatury polskiej. Bacząc poziomy jej stopień, jej ruch niepewny i postęp leniwy, śledziłem tego przyczyn, nie tych, o których tylko rozprawiać można, lecz owych, co wiążąc się z pierwszymi naukami młodych są pod bezpośrednim wpływem czuwających nad edukacją. Byt i dążenia polityczne kraju, stopień jego znaczenia, rząd wewnętrzny, cywilizacja, słowem wszystko, co może wpływać na duch narodu, wszystko bez wątpienia wpływa najwięcej i na stan literatury; być jednak muszą i są okoliczności, że tak rzekę literackie, które ze swojej także strony tamują lub przyspieszają jej postęp. Z tych to ostatnich dwie dostrzegłem, które szkodzą literaturze naszej: zaniedbanie literatury starożytnej i wyłączne oddanie się francuskiej...

Im większa postrzega się troskliwość Uniwersytetu o kształcenie profesorów w rozmaitych gałęziach nauk, tym więcej żałować przychodzi, że katedra literatury polskiej od tak dawna zaniedbaną zostaje. Chciałbym, żebyś WMPan obrócił całą swoją gorli-

wość ku temu celowi. Potrzeba, żebyś upatrzył którego z uczniów obiecującej zdadności i gorliwości i zajął się kierowaniem jego udoskonalenia, a to stosownie do tego planu:

Literatura grecka i rzymska, której powinien będzie już mieć dobre początki, najprzód go ma zająć. Niech ją gruntownie pojmie, niech się napoi jej duchem, ale pamiętając zawsze, że nie jej jedynie ma się oddawać, że nie komentarze, nie edycje są jego celem, ni też pisanie po łacinie, po grecku. Dwie tu prócz tego konieczne nastęrczają się uwagi. — Naprzód, że Grecy byli pierwsi, którzy czerpali w niezmaconym jeszcze źródle przyrodzenia, że dzieła ich będąc wzorem szczerej i nieszukanej prostoty są najbezpieczniejszym przykładem do naśladowania. Po wtóre: język i literatura grecka daleko mniej jest u nas upowszechniona jak łacińska...

Ledwie puszczającym się w zawód należy zapatrywać się na tych, co go ze sławą przebiegli. Dlatego poznanie literatur: włoskiej, francuskiej, angielskiej i niemieckiej za konieczny obowiązek przyszłego profesora literatury polskiej kładę. Ile winne starożytnym, ile samym sobie, jak postępowały, jak cofały się czasem: oto są dla niego główne punkta w tym poznananiu. Istotnym zaś do tego będzie obowiązkiem umienie tychże języków, ażeby samemu przez siebie poznawać, a nie na wiarę drugich wychwalać lub ganić dzieła, o których sędzić przyjdzie. Chciałbym nawet więcej; chciałbym, żeby literatura ludów wschodnich obcą mu nie była. Nie stałoby się to dla niego ważnym pożytkiem widzieć obraz myśli człowieka, gdzie niebo, rząd, obyczaje, cywilizacja, tak są różne od naszych — dla niego, który powinien mieć najczystsze wyobrażenie o tym, co i jak wpływa na postęp i kierunek literatury...

Przyszły więc nauczyciel, któremu historia narodu naszego, jego obyczajów, charakteru, skłonności, dobrze znaną będzie, weźmie za najpierwszą potrzebę poznanie przez siebie samego pisarzy naszych każdego wieku, pilne i powtarzane zastanowienie się nad nimi, nad ich duchem, nad ich językiem: jaki postęp zrobili? dlaczego wyżej nie poszli? jakby nadal poczynać należało? jakie wyobrażenia względem literatury upowszechniać? — a to wszystko rozważać będzie z tą dokładnością, która nie pozwala wyrokować powierzchownie i z tym powątpiewaniem filozoficznym, które broniąc od zarozumiałości uczy oddzielać z przyjętego mniemania, co tylko w nim fałszywego się pokaże.

Ominąć tu nie można, że co się tyczy samego języka, wiadomość pobratymczych dyalektów, a szczególnie słowiańskiego, czyli cerkiewnego, ważnym i istotnym stanie się dla niego skarbem. Tam często po radę i wsparcie nie na próżno będzie się mógł w potrzebie uciekać.

Tak przygotowanego potrzeba będzie wysłać na zwiedzenie obcych krajów, aby ocierając się o różnaitość opinii, nadał większą giętkość, większą swobodę i wolniejsze pole władzy myślenia...

W KRZEMIĘNCU

Ze wspomnień Franciszka Kowalskiego

...Otożemy już nad Krzemieńcem. Spuszczamy się powoli z wierzchołka schylającej się równiny w dół, w zygzakowaty skalisty wąwóz, i tu się nam przed oczyma rozwija przedziwny, nie do opisania widok. Brzegi tej wysokiej, którąśmy przejechali, równiny zdają się być brzegami potężnego niegdyś w tej strefie morza, a wąwóz, który nas w tej chwili pochłania, ostrą, rznącą się w ład odnogą. Od spadzistości tych skalistych ścian płaszczyny ciągnie się dalej i dalej bez końca, niedoścignięta okiem, o kilkadziesiąt może stóp niższa od górnej płaszczyny, zasypana piaskiem i zasiana sosnowymi lasami równina, która zdaje się być dnem tego ubiegłego morza. Od szczytu wąwozu już czernieją olbrzymie granity; niżej z obu stron drogi wąwóz coraz się bardziej rozszerza, witają nas posępnym wejrzeniem jeden na drugi ponarzucane głazy i dolatują do ucha szczebiotliwe źródła pogadanki. I tuż się u stóp naszych uściela wrośnięte do skał przedmieście, dalej miasto, nad którym z prawej strony zamek królowej Bony szarzeje jak zakłęta milcząca mara...

Nad rynkiem podnosi się wysoka, z ciosowego kamienia, piękna licealna galerija, a nad nią wspaniała, ogromny, pięknej architektury kościół, którego dwie zgrabne wieże, uważane z rynku, zdumiewają swą powagą i niezwykłą wysokością. Z obu stron obejmują świątynię dwupiętrowe ramiona klasztoru, ówczesnego Liceum, i stanowią wspaniałe skrzydła jakby ogromnego pałacu, zakończone dwiema ośmiokątnymi wieżami, z których lewa od frontu służyła za obserwatorium astronomiczne z piękną na niższym piętrze salą muzyczną, a prawa miała salę malarską i inne gabinety... Te gmachy są tak ogromne, a wszystkie bez wyjątku sale tak obszerne, że w nich dwa nawet licea pomieścić by się mogły; za moich czasów mieściły w sobie bardzo wygodnie do tysiąca uczniów...

Później, już obeznani, podziwialiśmy pyszną salę biblioteczną, ozdobioną popiersiem Czackiego, i takąż na górze; obie zawierały w swych półkach kilkadziesiąt tysięcy tomów. Wspaniała także sala fizyczna, chemiczna, numizmatyczna i mineralogiczna, nie pamiętam już wiele tam było sal i gabinetów; a wszystkie pełne były uczących się i ciekawych gości, a wszystkich uczniów i gości obwijał jedenże duch — nauki. Na osobnym dziedzińcu, zawartym w obrębie Liceum, stoi także ogromny gmach, w którym się mieściła szkoła mechaniki i różnych rzemiosł; brakło tylko Krzemieńcowi katedry medycyny, aby był zupełnym uniwersytetem...

Piękna galerija przed kościołem jest tak obszerna, że na niej malce z niższych klas w piłkę wygodnie bawić się mogli. Czacki, który całą duszą kochał uczącą się młodzież, często przychodził

na galeryją i z dziećmi grał w piłkę; nieraz tak się stary uszamotał, że usiadłszy na kamiennej ławce, długo odpoczywać musiał. Na próżno bym usiłował odmalować miłość, z jaką ten nieśmiertelny mąż był kochany od malców, od starszych uczniów i całej publiczności. My, winniczanie, widzieliśmy go corocznie w Winnicy, jak przylatywał, zawsze niespodzianie, na egzamina; słyszeliśmy tyle razy głos jego poważny a zarazem wesoły i zachęcający; jakież był nasz żal, kiedyśmy go już nie zastali w Krzemieńcu, a zastali tylko wymowne po nim pamiątki! Wszystko go przypominało; duch jego wielki unosił się nad Krzemieńcem, obwiewał młodzież i przemawiał do niej: *Ucz się i bądź cnotliwą*. Jeden ze starszych uczniów Liceum, któregośmy najpierwej poznali, oprowadzał nas wszędzie; a przyszedłszy pod dom Czackiego pokazał go nam: *O to jest dom Czackiego* — rzekł, i łzami się zalał.

Można by o Czackim napisać cały tom z powieści, jakieśmy o nim ciągle w Krzemieńcu słyszeli. Miał on wiele środków zachęcania młodzieży do nauk, a najsilniejszym były wieczory tańcujące, niby bale, w sobotę co miesiąc prawie dawane. Na kilka dni przed tym Czacki pisał do dyrektora Liceum karteczkę, zapraszając go z prefektem i wszystkimi profesorami do siebie na wieczorną zabawę, prosząc oraz, aby wybrał najcelniejszych uczniów ze wszystkich kursów i przyprowadził ze sobą. Zaraz dyrektor zwoływał profesorów i składał z nimi radę o wyborze uczeni na wieczór do Czackiego. Otwierano protokoły szkolne i sądzono każdego, czy się dobrze przez ten miesiąc uczył i sprawował, czy godzin był wejść do domu tego wielkiego człowieka. Wtedy tłum uczniów oblegał salę, w której się toczyła ta narada; na ich twarzach malowała się chęć, niepewność, bojaźń, jak gdyby im chodziło o losy całego życia, jak gdyby to dyrektora i profesorów zgromadzenie losy państwa rozstrzygnąć miało. Każdy chciał być u Czackiego na wieczorze; ale chcąc tam być trzeba było mieć świadectwo protokołu szkolnego o naukach i obyczajach. Nareszcie dyrektor wybrawszy i wzięwszy z sobą kilkunastu prowadził na wieczór do Czackiego, który wszystkich serdecznie uściaskał, prezentował zebranych gościom, i najświetniejsza trwała zabawa z tańcami aż do świtu. Pomijając inne pobudki ta jedna była dostateczna, aby dać młodzieży zachętę do pracy; zaszczyt być u Czackiego na wieczorze, radość i upojenie z otrzymania jego uścisku egzaltowały do najwyższego stopnia młode umysły: i jak to było nie uczyć się albo łotrować?...

Wszystkie katedry i gabinety hojnie były uposażone, i fundusze na utrzymanie Liceum ogromne. Za staraniem Czackiego, który sam dla swej ulubionej szkoły więcej niż dwie trzecie swego wielkiego majątku stracił, wpłynęły do niej niezmierne sumy, którymi rozporządzała Komisya Edukacyjna...

Prócz tego był fundusz obywatelski na utrzymanie i naukę stu chłopców ubogich, i fundusz prywatny Lerneta, wystarczający samymi procentami na utrzymanie czterech wybranych uczniów przez cały ciąg edukacji w Krzemieńcu, Wilnie i za granicą. Jeszcze była szkoła mechaniki i rozmaitych ręcznych robót — szkoła jeometrów, ogrodnictwa, jazdy konnej, fechtunku, śpiewu, tańca, muzyki. Pełno było prywatnych nauczycieli Francuzów, Niemców, Włochów, dwóch Anglików...

OSSOLINEUM

Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich Ustawy, przywileje... zebrał i wydał Wilhelm Bruchnalski — Wstęp, wyjątki

W kwietniu 1827 r. przybyły do Lwowa transporty z skarbami zbiorów, które Józef Maksymilian hr. Ossoliński w darze złożył swemu narodowi, przeznaczając na miejsce ich przechowania mury po klasztorze karmelitanek i złączony z nimi kościół pod wezwaniem św. Agnieszki, który dotąd pozostał właściwym księgozbiorem siedliskiem...

Ossoliński, patrzący na smutną współczesność swoją, która kazała mu przeżywać w dojrzałym wieku nie tylko potrójny upadek Polski, ale i koniec państwowego jej bytu, należał do tych swego pokolenia przedstawicieli, którzy nie straciwszy nadziei ani wiary w odrodzenie narodu przyszłość jego budowali na mocnych fundamentach terażniejszości...

Rękę trzymając jako prefekt na najbogatszej i najbardziej uprzywilejowanej w Austrii bibliotece cesarskiej i namacalnie widząc, jaką wartość przywiązywano na obczyźnie do bibliotek i muzeów o różnych celach i planach — jak zakłady owe rosły w ilość i znaczenie w drugiej połowie XVIII i na początku XIX w., szczególnie o ile były częściami składowymi uniwersytetów nowych, przewidział też i zrozumiał posłannictwo czynu swego dla Galicji, która oderwana od macierzy, pozbawiona wszelkich w języku narodowym uczelni od najwyższych do najniższych — nie mogła dać warsztatu do pracy duchowej jednostce ani nie miała żadnego ogniska skupiającego chętnych do zbiorowej pracy umysłowej albo przynajmniej do inteligentnego pędzenia życia, — nie potrafiła w końcu zdobyć się sama na organ dla wypowiedania myśli własnych ani dla szerzenia cudzych...

Dlatego biblioteka jego od pierwszych zawiązków nie miała być jeno magazynem ksiąg, zwiększanym nabytkami nowymi i przeznaczonym do użytku ogólnego, do czytania czy studiów poważnych, ale „zakładem rozległego znaczenia“, którego działanie wnikałoby we wszystkie stosunki umysłowego życia społeczeństwa i stanowiło kierowniczą ich rękę...

Fundacja nowa stała się znaczniejszą, gdy 25 grudnia 1823 r. stanął między Ossolińskim a Henrykiem ks. Lubomirskim „Układ”, którego mocą posiadane przez księcia zbiory, ściągające się do sztuk i nauk, miały być włączone do biblioteki oddzielnie wprowadzić, ale w ścisłym zawsze z nią połączeniu pod nazwą: „Muzeum Lubomirskich”...

Na grunt urodzajny narodu padły ziarna wielkiego, dobrego i pięknego czynu fundatora, który nie tylko „rozpoczął”, — jak się wyraża — ale co więcej dokonał „dzieła”, na jakie w innych prowincjach nikt się pojedynczo nie targnął i na które on sam nie mógłby się ważyć, gdyby był los nie zdarzył, że nie mającemu potomstwa godziło się czulej pociechy szukać w odkazaniu majątku odziedziczonego po przodkach narodowi...

Źródło ofiarności, otwarte szczęśliwą ręką pierwszych darczyńców, wzbiera coraz bardziej, tak że z biegiem czasu przemienia się w głęboki i szeroki strumień i hojnością swą zalewa dosłownie instytut zarówno w dziale bibliotecznym jak muzealnym.

W epoce absolutyzmu austriackiego, który gniótł życie polskie w b. Galicji, Ossolineum było przybytkiem, w którym Polak, walczący o prawa nie tylko materialne, ale także moralne z niemieckością, znajdował siły świeże do walki; dalej wykonywało zadanie podwójne: wychowawcy patriotycznego choćby przez to, że kopoła nad księżnicą, przykrywająca wiekowe skarby myśli polskiej, była widomym znakiem jedności narodowej — po wtóre zadanie twórcy kultury duchowej społeczeństwa, dla jednej jego części tworząc źródło, z którego czerpać mogli zapasy wiedzy wszyscy, co samodzielnie piórem dla przyszłości pracowali, — dla drugiej, tj. warstw szerokich, utrzymując doskonale zaopatrzone czytelnie lub myśląc o wprowadzeniu w życie takiej instytucji, jaką później stały się towarzystwa oświaty ludowej...

IZABELI CZARTORYSKIEJ KSIĄŻKA DLA LUDU

L u d w i k D ę b i c k i, Puławy, t. IV — wyjątki

...Przez podwoje świątyni Sybylli księżna wstępuje w świat literacki ze świata zabaw, zwyczajają się do pióra, obcuje więcej z książkami niż ludźmi.

Kiedy córka Maria pisze powieść, matka zabiera się do opowiadania historii polskiej dla dziatwy wiejskiej. Zadanie było tym ważniejsze, że zupełnie nowe, że nikt przed nią nie pomyślał, jakby pod strzechy słomiane wprowadzić poczet królów polskich i polskich bohaterów...

Podręcznik historii polskiej ks. Wagi wyszedł już z użycia, ale żaden początkowy wykład dziejów ojczystych dotąd go odpowiednio nie zastąpił. Lecz książka ks. Wagi pisana dla mło-

dzieży z liceów — w szkole parafialnej i ludowej nie dałaby się zastosować...

Poszedł w tę wędrowkę pomiędzy lud wiejski „Pielgrzym w Dobromilu” poszedł opowiadać zgromadzonej dziatwie na ganku dworskim lub na przyzbie plebańskiej nieznanie dzieje, dotąd zamknięte i obce... Wyszedł on z tym apostołstwem narodowym, tak wcześniej naznaczając nowe szlaki literatury ludowej, a wyszedł z bogatego zamku, z wykwintnego gabinetu księżny...

Zjawisko takie mogło dopiero powstać po Konstytucji 3 Maja i powstaniu kościuszkowskim, aby stara historyczna Polska tak przemówiła do ludu polskiego. Książka ta, która stwarza i początkuje literaturę ludową, która przez kilkadziesiąt lat zostaje jedyną w tym rodzaju, jest pod pewnym względem zastosowaniem praktycznym idei reformy wielkiego sejmu i idei, w imię której Naczelnik narodu podniósł obok lancy kosę. Z uszanowaniem bierze się dziś do ręki tę książkę, która rzuciła pomost między Polską historyczną a ludem polskim...

Niemcewiczowskie „Śpiewy historyczne” i „Pielgrzym w Dobromilu” zdobywają sobie najszerze wzięcie i w pierwszych dziesiątkach dziewiętnastego stulecia wywierają niezmierny wpływ nie tylko na generację, która miała się z tych pieśni i z tych opowiadań uczyć, ale i na tych, którzy uczyli...

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI

WSPOMNIENIA MOJEJ MŁODOŚCI

(Wyjątki)

Matki mojej wcale nie pamiętam; miałem lat 5, gdy mnie odumarała. Jedyna scena, którą z dziecinnych lat moich najżywiej pamiętam, jest pogrzeb mojej matki. Jej postać w trumnie aż do ubioru, do katafalku, na którym złożoną była, i do pieśni, które ubodzy nad jej ciałem przez dwa dni śpiewali, pamiętam jakby zdarzenie wczorajsze...

W późniejszych latach służące i kobiety wiejskie wiele mi o dobroci matki opowiadały, co najwięcej słuchać lubiłem, i im jedynie winienem to przywiązanie do niej, z którą, zdaje mi się dotąd, że żyję. W najsmutniejszych wypadkach późniejszej młodości mojej zawsze się do niej jako do patronki modliłem; jej postać umarła, którą jedynie pamiętam, zawsze mi smutne i pełne uszanowania czyni wrażenie...

Nie wiem, czy kto, choćby najtkliwszej miłości macierzyńskiej doznawał, mocniej czuł nade mnie, co to jest matka! Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie świętym nazwiskiem. Widok moich współuczniów, a później młodzieńców przy matkach, napełniał mnie rzewnym uczuciem. Nie mogłem utulić się ze smutku,

który się cisnął w me serce, gdym widział lub słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego... Wiele samotnych, nikomu nieznanych łez mnie kosztowało, gdym widział dzieci od matki pocałowane. Może to było dziecinne, przesadzone uczucie, ale go pojmie ten, kto lat dojrzałych doszedłszy nie znał, co to jest uścisk rodzicielski!...

Do znanej matki tęsknimy w całym życiu jak do ziemi, na której się nasze życie rozwijać zaczęło; o nieznaney marzymy jak o raju lub o świecie obiecany, a nagradzamy ją sobie tworząc w myśli jak najdoskonalsze wyobrażenie. Nie miałem matki i ojczyzny. Obiedwie były dla mnie jednym i tym samym ideałem; żadna mię z nich nie wychowała, dla obudwu czułem dług wyższej nad wszystko miłości...

Cierpiałem wszelkiego rodzaju niegodziwości macochy, i nie znałem prawie, co to jest mówić z ojcem, gdyż chociaż nie surowy, ale zawsze był mało mówiący i daleki od dzieci; nie miałem żadnego bliższego dozoru, gdyż nadto byłem w wychowaniu zaniedbany, abym się do kogoś ośmielił lub stał się powabnym; byłem, mogę powiedzieć, dzieckiem natury do jedenastego roku... Używałem życia wiejskiego w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Byłem wolny w używaniu mego czasu, gdyż prawie nikt nie pamiętał o mnie, a cenę tej wolności znałem, gdyż ona była skutkiem i ucieczką od srogości macochy...

Dworek, w którym ojciec mój mieszkał, leżał w dolinie otoczonej rzeką niewielką, która z góry spadając za każdym deszczem wzbierała, a po kamienistym łożu z podnóża skał płynąc szum wielki wydawała. Chaty, rozrzucone na górach między sadami, czarujący w jesień dawały widok; ku wschodowi od dworku była za podwórzem i stawem rozległa łąka, na której mała krynica, zarośnięta krzewem i wzniosłymi ziołami różnej barwy, była siedliskiem ptactwa i motylów. Młyn wodny za tą łąką napełniał łoskotem tę cichą dolinę, a rozległe za nim trawniki, rzędami wierzb wysadzone, napełniały się mnóstwem dzieci wiejskich, których pieszczalki i śpiewanie rozweselały powabną ciszę owego miejsca...

Należąc do partyi chłopców wiejskich zabrałem z niektórymi prawdziwą przyjaźń, i im winienem szczęśliwe wiejskie zabawy. Co to za rozkosz była po ukończonej szkole puścić się z nimi między góry i sady, dostać się po kilkugodzinnym głodzie i nudach na drzewo wiśniami lub gruszkami ciężące, pojeździć na onych maleńkich konikach prowadzonych na paszę na dalekie dąbrowy, kąpać się lub iść do lasu i brodzić bosą nogą środkiem piaszczystej krynicy. W tych najmilszych zabawach z prostymi wieśniakami byłem najszczęśliwszy. W domu nikt się o mnie nie troszczył i nie miano mi też za złe, choć się najdłużej zabawiłem.

Życie takowe zrobiło mnie dzikim i nieśmiałym do osób wyższego stanu nad wieśniaków, ale wiele mu dobrego winienem. Ono rzeźwiło moje słabe z urodzenia zdrowie, przez nie nabrałem

przywiązania do cnotliwych naszych rolników. Z jakąż rozkoszą przypominam sobie te chwile, gdy te chłopcy nauczyły mnie konia dosiadać, iść za broną i umieć konia na inny zagon nawracać. Podczas mglistej jesieni trawiłem często późne wieczory przy kopaniu kartofli lub przy pasterkach, gdy przy ognisku piekąc kartofle bajki opowiadano, które naówczas składały dla mnie jedyną literaturę i dziś może wdzięki by miały, gdybym je równie słyszał opowiadane...

Jednym z najprzyjemniejszych wspomnień mego dzieciennego wieku są wiejskie wesela, których najchętniej bywałem uczestnikiem. Prosty nasz lud nie ma nad to ważniejszej uroczystości... U wieśniaków, w naszych stronach, trwa wesele blisko cały tydzień, a dzień każdy ma inne obrządki... Muzyka złożona z dwóch skrzypków i basisty grywała co dzień przy rannej i wieczornej zorzy na dobry dzień i na dobrą noc... Widzieć te druhnny w kwiatkach na głowie i mnóstwo wstępów różnego koloru na plecy spadających, różdżkę starosty, to jest pięciogłęzią jodłę, umajoną rutą, stokrocią, jabłkami, orzechami itp. była dla mnie najmilsza uroczystość... Do dziś dnia wiejskie wesele nie jest dla mnie obojętne i oburza mnie w duchu każdy wyraz wyższego stanu, gdy sobie dozwala żartować lub okazuje obojętność na ten akt jedyny w życiu wieśniaka, który dla niego jest uroczystym...

W szczupłym mieszkaniu macochy, którą moje prózniactwo bynajmniej nie obchodziło, miałem mieszkanie moje na strychu, do którego po drabinie wchodziłem, gdzie tylko na pościeli mogłem siedzieć i pisać lub czytać gramatykę. Tam między innymi rzeczami spostrzegłem wór papierów po ojcu moim zabranych. Między listami, rejestrami było wiele drukowanych na arkuszach i półarkuszach, mowy sejmu 4-letniego, wiersze, najwięcej na imieniny różnych panów lub króla Stanisława... Z wielką chciwością odłączałem te skarby mojej lektury od papierów na nic nieprzydatnych, a biorąc po zwitku w pole czytałem głośno to mowy, to wiersze. Tamte mało mnie zajęły, nie zrozumiałem, o co w nich idzie, wiersze sprawiały mi rozkosz, jeżeli w nich jakie porównanie, jaki obraz znalazłem. Ubogie to było żniwo powinszowań Naruszewicza, ks. Żubowskiego, lecz były i niektóre Trembeckiego bez podpisu, które mi się nieskończenie wyższymi zdawały i w pamięci utkwily.

Te jednak wiersze, lubo wcale dla mojego wieku i moich skłonności nie stosowane, obudziły we mnie chęć pisania, a przynajmniej naprowadziły mnie na poznanie zewnętrznego składu wiersza; przetrząsałem jeszcze raz wszystkie papiery w worku segregowane, powycinałem białe kartki, zszyłem sporą książkę i póki jeszcze służyła pora jesienna, chodziłem w pole i ukryty w gęstwinach układałem w rymy, co mi do głowy przyszło. Byłem jak pisklę w gnieździe, które instynktem samym wiedzione inne ptaki naśladować usiłuje. Najczęściej śpiewałem nuty od wieśniaków

słyszane, a sama melodia naprowadzała mnie na wyrazy, którem zaraz spisywał. Były to wyrazy tęsknoty za matką, której nie znałem, i więcej jeszcze piosneczki miłosne, proste naśladowanie dumek od żniwiaczek słyszanych. Byłem wtedy szczęśliwy i cały dzień zajęty, a bez żadnych zapasów wiadomości układałem projekta do dużych poematów...

WŚRÓD KLASYKÓW I ROMANTYKÓW TEATR OSIŃSKIEGO

Z pamiętników Kajetana Koźmiana

Mostowski, minister spraw wewnętrznych, dobrze uświadomiony, czego kraj potrzebuje, aby zakwitł i przybrał postać ucywilizowanych i szczęśliwych państw, wyrobił dla Komisji Spraw Wewnętrznych osiem milionów rocznego dochodu z liwerunku, które pod jej zarządem na upiększenie i podniesienie tego kraju przeznaczonymi zostały. Zaraz liczne zaczął zaprowadzać fabryki, drogi bite, osady nowe, zakłady różnego rodzaju i zwrócił oko na wydoskonalenie teatru. Przydał mu się do tego celu Osiński, którego zdolność i talenta znał; zachęcał go więc, naradzać się z nim i hojnie go wspierać przedsięwzięt. Jakoż Osiński z natchnienia Mostowskiego, zdawszy na czas dyrekcją teatru Dmuszewskiemu, udał się w podróż za granicę przez Niemcy i Włochy do Francji, zwiedził najcelniejsze w tych krajach teatry, zapoznawał się z wszystkimi przedsiębiorcami i sławniejszymi aktorami. Najdłużej bawił w Paryżu, gdzie zapoznawszy się z Talmą, widując i rozważając grę panny Mars i panny Duchénois, zbadał wszystkie sekreta sztuki i talentów, wszystek urok deklamacyi; nic nie pominął, ani teatru, ani opery, ani baletu, zgoła jak pilny i bystry uczeń nabwszy obszernych wiadomości wrócił z plonem do Warszawy. Zaraz odmienił i urządził dekoracyje i maszyny i uorganizował aktorów i baletników według ich zdolności do ról komicznych lub traicznych.

Przejęty uwielbieniem dla teatru francuskiego, szczególnie dla Talmy i panny Mars, mawiał, gdy o tej podróży przyszło mu wspomnieć: „My jeszcze jesteśmy dziećmi we wszystkim, co się teatru tyczy, nasi aktorowie i aktorki są to parobki i proste dziewczki w porównaniu z francuskimi. Tam każdy autor piszący sztukę od aktorów zależy, od nich zawisła jego sława i w ich ustach rośnie“...

Pod przewodnictwem ministra Mostowskiego, w jego domu zawiązało się wieczorne towarzystwo arystarchów dla teatru, znane we wszystkich dziennikach pod literami X. X. Należały do niego najznakomitsze talenta i pióra... Chciano mieć i wezwano do tego areopagu Osińskiego, lecz on się wymówił, i miał w tym słuszne powody. Kierując aktorami i aktorkami nie mógł być

własnym krytykiem lub obrażać tych publicznie, którym mógł prawdę powiedzieć za kulisami. Jeżeli gdzie miłość własna jest drażliwą, to w osobach poświęcających się teatrowi, w nich jest najwięcej czuła, i ten rodzaj talentów może być najtrudniejszy do kształcenia i prowadzenia dla zwierzchników; jest to rzecz-popolita, której prezydent jest prawdziwym męczennikiem. Osiński więc mawiał nam: „Za ostro panowie X. X. krytykują aktorów; autorów chłoszczcie, jak chcecie, lecz starym aktorom przebaczajcie, bo ich nie poprawicie; chwalcie w nich dobre granie, a może was posłuchają; młodych talentów nie zrażajcie, bo nie jesteśmy w nie bogaci“...

W SALONACH GEN. WINCENTEGO KRASIŃSKIEGO

Lucjan Siemieński, Obóz klasyków — wyjątek

...Poprzestawali klasycy na ustnej propagandzie i walce, na znoszeniach się listownych, na wierszykach czytanych w popularnym kole zgromadzeń herbacianych, gdzie się wzajemnie admirowano, i na czwartkowych obiadach u generała Wincentego Krasińskiego, który jako gospodarz zachowywał rolę neutralną, i zapraszał do swego stołu tak powagi klasyczne, jak odznaczające się talenta z obozu romantycznego.

Na tych głośnych w swoim czasie obiadach bywał zwykle Niemcewicz, Koźmian, Osiński, niekiedy generał Franciszek Morawski, Brodziński, Salezy Dmochowski, Dominik Lisiecki, Witwicki, Odyniec, Gaszyński i wielu innych młodych romantyków, w miarę jak który, dawszy się już poznać, przybył do stolicy. Wszakże główny zastęp współbiesiadników generała składał się z falangi klasyków, których łączyła z nim dawna znajomość lub przyjaźń, nie mniej odpowiednie w świecie towarzyskim lub urzędowym stanowisko. Dla uciechy tych nowoczesnych Rzymian, lubiących facecjami zaprawiać poobiednie godziny trawienia, znachodziła się regularnie na każdym obiedzie komiczna figura parazyta i wierszoklety, Jaksy Marcinkowskiego. Można o nim powiedzieć, że to była żywa parodia pseudoklasycznej literatury; o ile koryfeusz powagi ubiegali się o poprawność, jasność, harmoniją stylu i rymów, o tyle on pisał liche wiersze i zawiązywał je tak łatwo rymami, jak „kozom ogony.“ Stąd pole do nie wyczerpanych żartów i drwin, tym uporczywszych i zjadliwszych, że Jaksza nie grzeszył potulną skromnością, owszem odcinając się biorącym go na fundusz, często wyrzucał, że on sam więcej napisał już i wydrukował, niż oni wszyscy razem wzięci przez całe życie. Gdy po kilku leciech wyczerpały się żarty z tej ofiary ry-moklectwa, której dano chleb łaskawy robiąc inspektorem szkoły wojewódzkiej w Płocku, przyszła kolej na romantyków. Gospodarz uczonych obiadów, wierny zasadzie neutralności, zapraszał reprezentantów obu szkół i zwykle podjudzał jednego

przeciw drugim, z czego wszczynaly się z początku żwawe dysputy przeplatające każdą potrawę, a nawet wywiązywała się zajądła kłótnia, ubliżająca nieraz dostojności i powadze tego lub innego klasyka, który sobie poprzysięgał więcej nogą nie wstąpić w dom generała...

MICHAŁ GRABOWSKI

UWAGI NAD BALLADAMI STEFANA WITWICKIEGO Z PRZYŁĄCZENIEM UWAG OGÓLNYCH NAD SZKOŁĄ ROMANTYCZNĄ W POLSCE

Astrea, Pamiętnik Narodowy, Warszawa 1825, tom I

(Wyjątek)

Wpływ wielki tegoczesnych pisarzy literatury angielskiej, więcej upowszechniona znajomość niemieckiej szkoły, sam narzeczcie postęp czasu, sam duch wieku, usposobiły naszą literaturę do przyjęcia nowego kierunku, osiągnięcia wyższego stanowiska. W jednym prawie czasie tłumaczenia, rozbiory w pismach peryjodycznych umieszczane dzieł zagranicznych i zjawiające się niektórych naszych młodych poetów prace, zdradziły nową dążność, wyższy sposób zapatrywania się, prawdziwsze pojęcia przeznaczenia pięknej literatury. Brodziński pierwszy między nami zrozumiał znaczenie tego wyrazu *p o e z y j a* tak, jak do zrozumienia go usposobił wiek XIX największych pisarzy i teoretyków Europy. „Pogrzeb przyjaciela“, „Hymn do Boga“, niektóre „Śpiewy rolnicze“ i „Wiesław“ zamykają już wszystkie skarby romantycznego czucia.

Jeżeli nie ma on jeszcze ustalonej (że tak nazwę) fizjonomii nowej szkoły, trzeba zważyć, iż on to pierwszy zrobił w naszej literaturze krok stanowczy, krok olbrzymi, bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do czucia, od sztuki do natury. Genjusz Brodzińskiego jest w sercu. Nie omylimy się może mówiąc, iż w przód on musiał uczuć potrzebę nowej drogi, nim jeszcze był w stanie usprawiedliwić ją sam przed sobą; dlatego inni będą mogli wydoskonalić naszą romantyczną poezją, lecz o nim powiemy zawsze, iż ją przeczuł i we własnym sercu wynalazł.

Mickiewicz, uczeń szkoły niemieckiej, przyswoił nam jej piękność i błędy. Śmiały w pomysłach, szczęśliwy w wysłowieniu, okupił brak smaku wzniosłym i sępnym genjuszem. Lubo nie masz może więcej błędnego i zgubniejszego kierunku jak ten, który przykład jego powodzenia nadać literaturze naszej może, wyznajmy jednak, iż on wprowadził nas w świat idealny, nieznanym nam dotąd, wykrył surowe i wzniosłe piękności, poruszył najgłębsze tajniki serca, uzmysłowił najdziwaczniejsze widma imaginacyi.

Poezycja Mickiewicza jest jak połysk gromu, kiedy rozświeca groźne niebo, rozwarte otchłanie morza, góry i lasy uraganem szumiące...

LIST KAJETANA KOŹMIANA DO FRANCISZKA MORAWSKIEGO

(Skrót)

1827 ...Wczoraj zapowiedział nam na obiedzie u Krasińskiego Odyniec, że chwala Mickiewicza od Morza Atlantyckiego aż do Araksu się rozchodzi, albowiem tłumaczą jego sonety: Wiazjemski w Moskwie, w Petersburgu jakiś znakomity literat i senator; w Londynie dwóch żurnalistów nauczyło się po polsku, żeby mogli ziomkom swoim udzielić płodów tego wielkiego poety, którego już pisma angielskie pierwszym geniuszem i literatem polskim mianują. Cóż można było odpowiedzieć na to? — tylko, ruszywszy ramionami, oświadczyć, że i my pójdziemy do Stambułu dla nauczania się języka Mickiewicza, a nauczywszy się może będziemy wielbili; teraz trudno chwalić, czego się nie rozumie. Śpiewał nam potem Odyńczyk litewskim tonem dwie nowe balady Mickiewicza, obiedwie o Turkach: jedną o prawowiernym, drugą o renegacie, które nawet mimo chęci drażnienia się ze mną znalazł Krasiński niedorzeczny...

Dotąd na zarzuty czynione bredniom naszych młodych wierszokletów zawsze mówiłeś: „Pozwólcie krajowi mieć swoją narodową poezyją”. Chciej mi teraz odpowiedzieć, co mają wspólnego z narodową poezyją Czatyrdahy i renegaty tureckie. Niemcy w swoich balladach przynajmniej swoich baronów śpiewają, a my — Turków, Tatarów, Kozaków, i to jeszcze ich nawet własnym językiem. Sto razy ci to powiadałem, że nie mogę zrozumieć tej jednej w tobie sprzeczności, że inaczej piszesz, a czego innego bronisz; czego sobie nie dozwalasz, to w drugich pobłażasz. Niech ciebie tylko naśladowa, niech przez połowę tak dobrze piszą, a troskliwość nasza o literaturę pocieszy się i uspokoi...

Brodzińskiego talent nie jest pospolity; praca może go zrobić pożyteczniejszym krajowi niż jest Osiński, lecz nigdy go z nim nie zrówna w geniuszu, poprawności stylu, pomysłach czystych i wyobraźni prawdziwie męskiej. Nie miej mię za uprzedzonego przeciw komubądź lub za kimbądź; to jest moje przekonanie. Po dawniejszych pisarzach Osińskiego tylko i ciebie, a po was Brodzińskiego uznaję za dobrych pisarzów, boście się nigdy bredniami nie zdradzili; tyś więcej robił, Osiński mniej, ale równie dobrze, a ty sam nawet nie nadałbyś był tyle piękności i poprawności twojej „Andromasze”, gdyby był Osiński tłumaczeniami swymi nie pokazał wzoru...

Z LISTÓW FRANCISZKA MORAWSKIEGO DO KAZIMIERZA ŚWIDZIŃSKIEGO

1827

Wkrótce ma wyjść trzeci tom Mickiewicza. Pewien jestem, że będzie wiele farb poetycznych, głębokich pomysłów, tklności, gdyby tylko więcej język szanował, trochę był jaśniejszym, i przeciw gustowi tak okropnie nie grzeszył, abyśmy znowu nie widzieli wąskich usteczek jak z piwonii wycięty listeczki, a w licach bladeść opłatka. Rad bym także, aby tylu ckliwymi dyminutywami nie rozmazgajał naszego języka. Nasz język nie jest włoski *soprano* ani szepleniące dziecko, lecz jest to Mąż, Rycerz, w republikanckich wykształcony formach; w pieszczotach więc nawet swoich powinien by mieć więcej godności. Zresztą czytałem i niemieckie, i angielskie poezyje gminne, a nic tam podobnego w tej mierze nie znajduję. Uważałem nawet nasz stan wiejski, słuchałem jego pieśni; jest w nich tkliwa melancholija, prostota, słodycz, ale nigdzie nie ma tego przesadnego pieszczenia się z wyrazami sarmackiego języka. Na koniec życzyłbym, aby też przecie coś innego nad ballady napisał, a coś zrozumialszego nad Dziady...

1827/28

Co się tycze Mickiewicza, którym Pan tak list zapełniłeś, jak i serce od dawna, cenię go, cenię go wysoko, ale nigdy nie dojdę zachwycania się drugich, chyba że coś wyższego utworzy, jakąś całość dobrze zbuduje, i bez obrazy zwykłego i wrodzonego wszystkim smaku, bez kaleczenia narodowej mowy i zrozumiałej pisać będzie, gdyż dotąd w wielu miejscach są to Sfinksa zagadki, za których nieodgadnienie rozdzierano przechodnie. Nikt zapewne goręcej ode mnie, nikt niecierpliwiej nie oczekuje wydarcia się z więzów galomanii, ale kto chce z nowym rodzajem wystąpić, powinien go zalecić całą doskonałością egzekucyi; inaczej zamiast znęcenia, odrazi; mała tylko liczba da się pociągnąć na stronę nowości, która się publicznie w pomiętym i nie wypranym ukaże negliżu. Dojrzy ta wybrana liczba kilku znawców, pięknych rysów myśli, oka, kwiatu uczuć i tym podobnych, lecz masa ludu chce od razu być uderzoną wszystkimi doskonałościami i wewnętrznymi, i zewnętrznymi, chce z łatwością przejmować w siebie wrażenia, chce jasności gustu, dźwięku, inaczej nie będzie sięgać w wysokość tylu obłoki, mgły i chmury zaciemnioną. Z tym wszystkim powtarzam, że wysoko cenię Mickiewicza. Jest Poeta!...

1828

Kiedyż o Wallenrodzie pomówiem? Wiele do ganiaenia, ale stokroć więcej do pochwały. Tym razem plan bym atakował, nie egzekucyją. Tysiąc razy lepsze od Grażyny, zrozumialsze od Sonetów, jaśniejsze od Dziadów, i gdyby nie ballady, to by było jego dziełem celnym, bo przecież całość naturalniej zbudowana

i mniej kaleczenia języka i smaku. Pomysł zemsty Wallenroda jest doskonały i godny jenijusza Szekspira. Lecz czyli dobrze wszystko wykonane, o tym się rozmówimy, pokłóciemy, a nareszcie — uściśnemy, i powiemy zgodnie: Daj nam, Boże, więcej Mickiewiczów....

FRANCISZEK MORAWSKI DO ANTONIEGO EDWARDA ODYŃCA

(Skrót)

Lublin, 13 lutego 1829

Kilkakrotnie już odczytywałem Farysa: jakież olbrzymie obrazy, jaka moc w wystowieniu! jak kolor miejscowości dobrze zachowany! O jakże gorąco kochać nam należy tę mowę polską, która podobnym wystarcza pomysłem! Którymże by językiem walkę z huraganem odmalowano tak silnie?! Nigdy mi w tym rodzaju nie malowała wpierw ta mowa, a więc do podobnego obrazu nie była kształconą, przecież wszystkich kolorów i od-cieni od razu dostarczyła wieszczowi...

Czemuż Koźmiana i Osińskiego rymów nie było? Szkoda bardzo. Mamyż być wyłącznie klasykami lub wyłącznie romantykami? Czemuż tej tolerancyi, której wszędzie żądamy, w samej poezyi nie znosim? Podobno tu obie strony winny. Daj Boże, aby to nieporozumienie raz ustało między wieszczami, którzy choć nie jednej są szkoły, przecież jeden tylko cel i dążność mają **lub** przynajmniej mieć powinni...

Wdzięchen jestem autorowi Farysa, że uniknął błędu Sonetów, to jest, że nie narzucił nam wyrazów obcych, które tam tylko do pism naszych przypuszczone być powinny, gdzie nie mamy polskich na ich wydanie; inaczej dzikością tylko niepotrzebną mowę ojczystą zeszepecą. Może się mylę, lecz zawsze jest w tym coś prawdy...

NIEMCEWICZ W SPORZE KLASYKÓW I ROMANTYKÓW

A d a m J e r z y C z a r t o r y s k i, Żywot J. U. Niemcewicza,
wyjątki

Wielki wiek Ludwika XIV wydał tak znakomitych pisarzy, że ich blask podbił literatury innych europejskich narodów. Wszystkie bez wyjątku jednogłośnie zgodziły się przez jakiś czas naśladować wzory francuskie. Tak więc już nie oryginalne i starożytne typy, ale z drugiej ręki naśladowano naśladowców, z kopij kopije zdejmowano. Na stałym lądzie Niemcy pierwsi usunęli się spod narzuconego panowania; u nich niedługie było wahanie, w sporze wznowionym zbyt potężni przewodcy: Klopstock, Lessing, Goethe i inni stanęli za dziełami niepodległej genialności i sami do tego dali przykład.

Głos romantyków niemieckich usłyszany w Polsce dał u nas początek sporom o pierwszeństwo między nauczaniem a zasa-

dami szkoły francuskiej. Gdy zaś tenże spór wkrótce rozpoczął się i w samej Francji, polscy literaci rzucili się weń z zażartością nam właściwą, jakby należeli do dwóch na śmierć sobie przeciwnych partyj. Przez lat kilka nie było gromień, apostrof dotkliwych, sądów bez wyrozumiałości i umiarkowania, których by różni szermierze dwóch stronnictw sobie oszczędzili. O rozsądnym pojednaniu i wyświeceniu materji nikt nie myślał. Niemcewiczowi należy pochwała, że na tę walkę patrzył okiem bezstronnym i sądzącym o rzeczach z wyższego stanowiska.

Żyjąc, jakeśmy powiedzieli, w epoce rozdzielającej dawną i nowoczesną Polskę, widział on się także postawionym między dwiema szkołami literatury polskiej: między dawną francuską klasyczną, w której był wychowany, a nowotworzoną się, do której często był pociągany przez własne urozmaicone wiadomości i doświadczenia, oraz przez trafność rozsądku i czucia. Długi pobyt w Anglii i w krajach rodem angielskim zamieszkanym oswoił go gruntownie z ich literaturą i dał mu smak rodzajów piękności, które w początkach literackiego zawodu były mu zakryte. Postrzegł on przed sobą nowy widnokrąg dla wyobraźni, nowe stosunki i widoki poezji godne wyrobienia; z pozoru popolite, a jednak nie niskie, wszystkim dostępne, z obyczajów ludu, z podań ojczystych, z własnych jakoby wnętrzości wytryskujące, zdolne rzewnych poruszeń, prawdziwych, niewyszukanych ozdób, a które były poniekąd przez szkolników klasycznych odrzucone, zakazane, jako niegodne poezji i przeciwne dobremu gustowi...

W Warszawie, gdzie pisarze z czasów Stanisława Augusta i ich wychowawcy byli w takiej większości i przewadze, że przeciw ich opinii (najczęściej tchnącej ultraklasycyzmem) nie można było się odezwać, Niemcewicz nie wahał się jednak nagać ich zbyt ostre i jednostronne wyroki; o ich nieomyślności pozwalał sobie wątpić, otwierał umiarkowane, godzące między stronami zdania.

Niemcewicz nigdy nie dzielił zażartości warszawskich literatów, wystosowanej szczególnie przeciw najcelniejszemu mistrzowi nowych romantyków, przeciw wzrastającemu potężnie naówczas Mickiewiczowi; owszem, od jego początków lubił go, bronił, uznawał wyższość jego geniuszu. Ta słuszność dla młodego poety, poczynającego dopiero zachwycać swych czytelników, jest wielką zaletą rozumu i serca Niemcewicza. Zawiść, która często zaciemnia i krzywi sądy literatów, nie weszła nigdy do jego duszy. Cieszył się owszem, że drudzy zbliżali się do doskonałości i nowymi talentami nad poprzednikami świecili. Cieszył się, bo w tym widział chwałę Polski i chlubę każdego Polaka. Z rosnącą wziętością Mickiewicza rosła ku niemu Niemcewicza przychyłność...

VI

ADAM MICKIEWICZ

W ZIEMI NOWOGRÓDZKIEJ

PAMIĘTNIK FRANCISZKA MICKIEWICZA

Według wydania J ó z e f a K a l l e n b a c h a — wyjątki

Mikołaj i Barbara Mickiewiczowie mając majątek ziemny i summowy dość szczupły, a zatem nie z bogactwa, nie z urzędów, dygnitarskich tytułów, ale z cnót własnych słynęli oni, ze zgodnego małżeństwa, z miłości ku bliźnim, z litości ku biednym, z religii bez bigoteryi, ze szczerości, prawdy, dotrzymania sekretu lub danego słowa, ze staropolskiej gościnności i tego kraju zachowania dawnych wszelkich godziwych obyczajów i zwyczajów; wreszcie we wszelkich wypadkach z roztropności, sumiennosci, dobrego gospodarzenia, porządnego wychowania dzieci, z umiarkowanej popularności między niższego stanu osobami — a między magnatami z rozumu — a szczególnie z prawdziwego zamiłowania do kochanej Litwy ziemicy — miłej a drogiej ojczyzny naszej. We wszystkich klasach ludu byli szanowani, mało więc mieć mogli nieprzyjaciół, bo wszyscy, którzy ich znali, szanując poważając, za przykład innym szczególnie sobie brali. Cały powiat, w którym mieszkali, ich szanował, chociaż przez urodzenie i nieszczęśliwe wypadki wojenne do rzędu niebogatej szlachty należeli...

Dwaj starsi synowie w szkole powiatowej co rok się lepiej ucza — corocznie do klasy wyższej przechodzą. Nauczyciele ich chwala, przedstawiają za przykład innym uczniom — po egzaminach listy pochwalne, nagrody w księgach otrzymują, bo się stali celującymi w naukach; najwyższe urzędy studenckie zawsze spełniają... Jeżeli jaka szkolna uroczystość, nie kto inny, jak tylko oni sami przed publicznością licznie zebraną, stosownie do okoliczności obchodu, mowy miewali... Książę Czartoryski będąc kuratorem ogólnie całej Litwy, czyli ośmiu gubernij, sam osobiście, chcąc się przekonać o postępach cywilizacji jej młodych obywateli, do Nowogródka zawitał, odbył ścisły egzamin uczniów i nagrodę dwóm synom Mikołaja najwyższą przyznawszy, w kalendarzyku

VI

ADAM MICKIEWICZ

W ZIEMI NOWOGRÓDZKIEJ

PAMIĘTNIK FRANCISZKA MICKIEWICZA

Według wydania J ó z e f a K a l l e n b a c h a — wyjątki

Mikołaj i Barbara Mickiewiczowie mając majątek ziemny i summowy dość szczupły, a zatem nie z bogactwa, nie z urzędów, dygnitarskich tytułów, ale z cnót własnych słynęli oni, ze zgodnego małżeństwa, z miłości ku bliźnim, z litości ku biednym, z religii bez bigoteryi, ze szczerości, prawdy, dotrzymania sekretu lub danego słowa, ze staropolskiej gościnności i tego kraju zachowania dawnych wszelkich godziwych obyczajów i zwyczajów; wreszcie we wszelkich wypadkach z roztropności, sumienności, dobrego gospodarzenia, porządnego wychowania dzieci, z umiarkowanej popularności między niższego stanu osobami — a między magnatami z rozumu — a szczególnie z prawdziwego zamiłowania do kochanej Litwy ziemicy — miłej a drogiej ojczyzny naszej. We wszystkich klasach ludu byli szanowani, mało więc mieć mogli nieprzyjaciół, bo wszyscy, którzy ich znali, szanując poważając, za przykład innym szczególnie sobie brali. Cały powiat, w którym mieszkali, ich szanował, chociaż przez urodzenie i nieszczęśliwe wypadki wojenne do rzędu niebogatej szlachty należeli...

Dwaj starsi synowie w szkole powiatowej co rok się lepiej uczą — corocznie do klasy wyższej przechodzą. Nauczyciele ich chwalą, przedstawiają za przykład innym uczniom — po egzaminach listy pochwalne, nagrody w księgach otrzymują, bo się stali celującymi w naukach; najwyższe urzędy studenckie zawsze spełniają... Jeżeli jaka szkolna uroczystość, nie kto inny, jak tylko oni sami przed publicznością licznie zebraną, stosownie do okoliczności obchodu, mowy miewali... Książę Czartoryski będąc kuratorem ogólnie całej Litwy, czyli ośmiu gubernij, sam osobiście, chcąc się przekonać o postępach cywilizacji jej młodych obywateli, do Nowogródka zawitał, odbył ścisły egzamin uczniów i nagrodę dwóm synom Mikołaja najwyższą przyznawszy, w kalendarzyku

politycznym na rok 1809 wydanym ich nazwiska umieścić kazał. O, co za rozkosz uczuli, kiedy im ojciec pokazał wydrukowane imiona! Tak oni zasługiwali, ażeby rodzice dla nich byli jak najlepszymi. Starszy nie miał bystrej pamięci, ale nadprzykładną pilnością równał się młodszemu; ten zaś prawie nigdy sam się z książek nie uczył, ale słuchając brata mozołnie zawsze uczącego się, już zadane lekcycje pojął i nauczył się...

Ażeby w godzinie wolnej od nauk synowie nie próżnowali, ojciec zatrudnienia w ten sposób między nimi podzielił: młodszy powinien czuwać nad domową biblioteką, nad wszelkiego rodzaju papierami, księgami, ażeby były w porządku utrzymywane, rodzicom co wieczora głośno w sali gazety, pamiętniki, dzienniki, pisma peryjodyczne i celniejszych autorów dzieła wierszem i prozą odczytywać, albo o nowych w chemii i fizyce, botanice i innych kursach, wynalazkach rozprawiać, lub po kartach geograficznych miast w gazetach odczytanych wyszukiwać. Starszy zaś miał dozór nad stajnią, w której obok czwórki pojazdowej, fabrycznych, własny jego wierzchowiec mały, składny pod nakryciem stał przy żłobie; nad rzemieniem, pojazdami, nad szczupłym, w szafie od lat wielu zawartym arsenałem, gdzie także po parę krocic i po jednej flincie bracia mieli. Tam to cały kawalerzysty uniform wojskowy ojca, jeszcze z czasów Kościuszki, spoczywał; tam też uzbrojenie dziada, nieprzyjaciela króla Stanisława, pradziada stronnika Leszczyńskiego, nadpradziada, współnika wyprawy Jana III pod Wiedniem, szczątki uzbrojeń tamtoczesnych spoczywały...

...Pożar, pożar! Płomień buchnął nad dachy dwupiętrowe pojezuickiego klasztoru. Trwoga, zamieszanie; już drewniane ściany najbliższych kilku budynków jak zarzewie błyszczą, gdy kilka w popiół rozsypane wiatr rozwiewa, już pół linii rynku tworzy ścianę ognistą...

Ryknął grom, wstrząsło się z posady miasto, ogień coraz skwapiony zapuszcza się dalej, proch wyrócił kamienicę, bo w sklepach jej prezent naczelnego Polaków wodza, co chwila spodziewanego, był zachowany. Sypie się piasek wapna i cegieł jak deszcz rześisty... Pożar lot swój natęży, objętością skrzydeł niszczącej luno, już okrąży dom Mikołaja, a połknawszy oficynę, stajnię i składy walczy z murami kamienicy; tam silnie odparty, gwałtownie, zażarcie wpada na kościółek św. Mikołaja; cedrowe wiekuiste ściany potnieją, syczą ogniste węże wijące się po węglach, już cedr jak murzyn, jak kruk, jak żałoba wdowia czarny, zapali się, to zgaśnie, nareście uległ przemocy, z łoskotem i trzaskiem już dycha płomieniem, przez drzwi leją się ognioń fontanny, we środku budowy migają się cienie człowiecze. Wszyscy krzyczą: co to znaczy? Nikt wytłumaczyć nie może.

Na dach baczność zwrócono. On jeszcze nie tknięty, a słup ognia pokrywa. Na wieży: tam w oknie dwóch ludzi błagają ratunku. Ależ jaki naprędce wymyślić albo wykonać przelekniony lud może? Drabiny podstawione nie sięgają okien kopuły, sznur wielolicznie zarzucony nigdzie skutecznie zawisnąć nie może. — Wtem: „Synu! synu!” chrapliwy głos z wieży spada na zebrane tłumy. — Wybiega młodzieniec, sznurem się opasuje, skoczył na drabinę, już na najwyższym szczeblu, gdyby jaskółka przyczepia się do ściany, nóg i rąk palce zapuszcza w szczeliny, pełźnie jak owad, a wznosząc na przemian ręce do góry i nimi maca — łap! za krawędzie okna! — Dał sprzynę, już w wieży, powróz przez zapory okna przerzuca, a tak wszyscy trzej razem w pół ciała przewiązują się i spuszczeni z wieży aż na ziemię przez ludzi, którzy drugi koniec powroza u rąk swych mocno trzymali.

W prochach mały kościółek, w prochach osiemnaście domów... — a dwie osoby, co w zamiśle obronienia zakrytych św. Mikołaja, czy podobno tam ukrytej jakiejś patrijotycznej tajemnicy, pośród płomieni cieniem migali się — a tym to młodzieńca sposobem uratowani zostali...

A kiedy coraz to nowe sposoby dla wsparcia nieszczęśliwych obmyślano — syn ich z porządku urodzenia drugi, żądzą litości przejęty, wypracował *O d ę o p o ż a r z e*. — W jej trafnie nieszczęście mieszkańców, popłoch miasta skreśliwszy nie omieszkał satyrycznie opisać pawłogrodzkiego huzarów połku, w owym czasie na garnizonie będącego, jak nie mniej z łupiestwa sławnej policji miasta — i innej, podobnej hołoty urzędników, od korony moskiewskiej usadowionych, którzy nawet w najgwałtowniejszych nieszczęściach o pomnożeniu majątków własnych nie zapominają. A gdy z pożaru odkryto szczególnie mały zasób starannie ukrytej, a już na wągl w kościółku spalonej broni — nawet o przyczynie wysadzenia się w powietrze kamienicy śledcze badania urządzić się poczęły, — w rozjątrzeniu umysłów wiersz takowy przez ucznia klasy 4 ułożony niewymownie przypadł do smaku.

Damy trudniące się urzędem jałmużnić, znajdując w nim moc wzruszającą nawet tyranów serce i skłaniającą je do koniecznej litości, już własnoręcznie wiele kopij rozpisawszy, puściły je w obieg zrazu w powiecie, potem w gubernii i dalej. Zewsząd szła składki i pochwały dla młodego autora. Ale gotówką okupiono się od dalszych badań nieprzyjaciół krajowców. — Na brzęk monety rozpoczęte komisje zwiniono. Tak cicho w mieście, jak przed pożarem było, a tylko *O d a o p o ż a r z e* w każdego uścichech została...

ZE WSPOMNIEŃ IGNACEGO DOMEJKI

List do Bohdana Zaleskiego, 16 października 1869 — wyjątki

Rodzice Adama mieli piękny dworek w Nowogródku, najlepszy w całym miasteczku, gdzie tylko klasztory i kościoły były murowane. Dworek ten z dziedzińcem od ulicy i gankiem opartym na czterech słupach, a osadzony topolami, był miejscem urodzenia Adama. Czeczota też rodzice żyli w Nowogródku czy jego okolicach. Czeczot był od dzieciństwa poetą jak Adam, a chociaż związani jakoby jedną duszą, znacznie różnili się z powierzchowności, w charakterze i w temperamencie. Adam zawsze odznaczał się bystrością i niepojętym darem pociągnięcia ku sobie nie tylko rówieśników swoich, ale i starszych o wiele wiekiem i nauką. Nie ukrywał odrazy do ludzi nienaturalnych, fałszywych lub skłonnych do uniżenia się przed siłą lub majątkiem; brzydził się przesadą, lubił przystawać z ludźmi zdrowego rozsądku i praktycznego rozumu, ale stronił od rachunkowiczów i samolubów. Był nielitościwym biczem na przechwałków, i przebaczał raczej dumie niż udanej skromności. Od dzieciństwa szanował ludzi pobożnych, szukał ludzi uczuciowych i cenił nade wszystko miłość rodzinną, domową. Nie był jednak nigdy w rozmowie i obejściu sentymentalny, ani zbyt łagodnego, słodkiego ujęcia: w twarzy jego pięknej i szlachetnej przebijał się raczej rozum niepospolity, niekiedy posępność, niż wielka czułość i łagodność...

Owóż dwaj nasi studenci szkoły nowogródzkiej od najrańszych lat znali dobrze lud nasz litewski, polubili jego pieśni, przejęli się jego duchem i poezją, ku czemu zapewne przyczyniło się i to, że małe miasteczko Nowogródek niewiele się różniło od wsi, dworów i zaścianków naszych. Życie szkolne było raczej wiejskie, miasteczkowe niż miejskie. Przypatrywali się kiermaszom, targom i odpustom, bywali na weselach chłopskich, dożynkach i pogrzebach. Stąd też za szkolnego jeszcze życia uboga strzecha i pieśń gminna roznieciły w obu pierwszy ogień poetyczny. Adam prędko wzniósł się do wyższej sfery swoich cudownych utworów. Jan zaś do śmierci pozostał wiernym poezyi ludowej, pisał, zbierał i śpiewał wioskowe pieśni, i wydał ich zbiór przed swoją śmiercią...

Adam przyjeżdżał na wakacje do matki swojej i po kilkakrotnie jeździł na gościnę do Tuhanowicz, gdzie wesoło i przyjemnie przepędzał dni, które tak silnie wpłynęły na jego przyszłość i stanowią może epokę w jego życiu...

Tuhanowicze, dawna majątność Wereszczaków, leżą w najpiękniejszej części powiatu nowogródzkiego, siedliska Rejtanów, Białopiotrowiczów, Radziwiłłów, Wołodkowiczów i tylu innych rodzin zasłużonych krajowi. Powiat ten obfity w puszcze i lasy od północno-wschodniej strony, dziwnie jest malowniczy i urozmaicony w widoki od południowej. Ledwo wyjedziesz z Nowogródka ku Koreliczom, Szczorsom, Mirowi, otwierają się we wszystkich

kierunkach wzgórza i zwolna podnoszące się i zniżające zasiewne pola, przyozdobione miejscami w dębowe i brzoźowe gaje. Co kilka mil schodzisz na szerokie, zielone łąki, wygony, sianozęcia, po których środkiem, jak okiem zajrzysz, wiją się srebrzyste rzeki i ruczaje, a po brzegach ciągną się długie wsie i zaścianki... Od każdej wsi spuszczają się ku sianozęciom warzywne ogrody sielskie, wiśniowymi drzewami ocienione, a nad wsią górują uprawne poletki, żółte, płowe, zielone, zmieniające barwę według pory roku. Opodal ujrzysz kościółek na wzgórzu, karczmę, wiatrak i dwór szlachecki z lipowym szpalerem i topolami wysadzaną drogą. W tej też części nowogródzkiego powiatu często napotykasz przy gościńcach ślady dawnych kurhanów, szczątki szańców i przekopów darnią porośłe: nieme świadki starych, niespokojnych wieków...

Przy drodze z Nowogródka do Płużyn, folwarku należącego do Tuhanowicz, jest jezioro Świtez, opasane odwiecznymi sosnami i jodłami, porośłe na brzegach ajerem i trzcina, a czyste jak zwierciadło w przestrzeni. Któż dziś obojętnie przejdzie tą drogą nie zatrzymawszy się na moment przy jeziorze i nie pomyślawszy o Adamie? Właśnie rokiem przed wojną listopadową widziałem to jezioro; Adam był w Moskwie, Jan w Orenburgu...

Za czasów, kiedy Adam poznał Tuhanowicze, nie był już stary marszałek Wereszczaka... Wdowa po marszałku, moja śp. rodzona ciotka, niewypowiedzianie łagodnego i serdecznego ujęcia, bogobojna, dobroczytna i lubiąca towarzystwo, rządziła majątkiem, póki dwaj jej synowie, Michał i Józef, i córka Maryja byli małoletnimi. A choć majątek ostatnimi laty za życia marszałka i zarządem po jego śmierci znalazł się uszczuplony, pani Wereszczakowa i jej synowie utrzymywali dwór na dawnej stopie: gości huk, służba wystawna, marszałek dworu, lokaje, stangrety, strzelcy, dojeżdżacze, kosztowne konie; a lada okazyja, sejmik, imieniny, fest w kościółku czy w sąsiedniej parafii, to zaprosiny, zjazdy, kielich długi prapradziadów i kochajmy się!...

Maryja była prawie tegoż samego wieku co Adam, a może o rok młodszą od niego... Miała prostotę i słodycz w obejściu się, czułość, cierpliwość i politowanie biednych; łączyła do tego staranne, nowsze wychowanie, znajomość muzyki, języków, jako też literatury ojczystej, włoskiej i francuskiej. Nie była piękną w znaczeniu, jakie do tego wyrazu pospolicie ludzie przywiązują; niewysoka, okrągłej twarzy, dużych błękitnych oczu i światłych włosów, miała szczególniejszy urok w ustach i spojrzeniu: to ostatnie okazywało w niej żywą imaginacją, pewien charakter duszy i głębokie uczucie. Jej piękność nie była w formie, ale w duchu; przywiodłaby zapewne do rozpaczny najlepszego malarza, który by chciał oddać w niej to, co było istotnie piękności, i co w niej widział i pojmował Adam. Całym też niebem różniła się od owych sentymentalnych kobiet, co uczuciują z książek i romansów,

a popisują się z jakim bądź, chociażby udanym uniesieniem i liczą na efekt. Dla pospolitych ludzi Maryja była tylko dobrą, przykłądną, uległą matce, przyjemną w towarzystwie i dobrze wychowaną...

FILOMACI

JÓZEF JEŻOWSKI

PRZEMOWA

na Posiedzeniu Wielkim Towarzystwa Filomatów 16 kwietnia 1818

(Wyjątki)

..Nie miała ziemia nasza takiego przykładu, ażeby młodzieńcy, mocą własnego przekonania od gorszącej ich opinii wylamani, biorąc cnotę w całej jej ścisłości, pracę w całym jej znaczeniu za zasadę związku, złożyli towarzystwo i sami bez wszelkiej pomocy, wśród ubóstwa, przeszkód, trudności, znaleźli środki i ułatwienie w doskonaleniu serca i umysłu. I dlatego Towarzystwo nasze z żadnym innym w porównanie nie będzie iść mogło. W innych towarzystwach są ludzie różnych zdań, uczuć, charakterów; u nas każdy przyjęty musi przyjmować charakter ogólny, charakter cnoty i pracy... W innych towarzystwach mogą być i mogą nie być postępy i w miarę przeciągu czasu czynności żadne; u nas, im dłużej działamy, im większa liczba, tym dobro powszechne znaczniejsze. W innych towarzystwach i ten, który najwięcej, i ten, który najmniej działa, mogą równe, to jest małe albo żadne odnosić korzyści; u nas przeciwnie, im kto gorliwszy i czynniejszy, tym więcej spodziewać się i odnosić może.

Przedsięwzięliśmy dzieło nie tylko dla nas samych ważne i zbawienne, ale też dla wszystkich rówieśników, przyjaciół, pokrewnych, braci młodszych, kto ich posiada; dzieło, do którego to wszystko, co miłym teraz być może, wiek, w sposobieniu zapał, pożytek, dobro własne i powszechne, szlachetność, ludzkość powołują. Przez związek nasz towarzyski pokazać mamy, że człowiek młody wszelkie czyny stałego charakteru i uporczywej pracy wymagające wypełniać jest zdolny...

Niechaj z przykładu naszego nasi prawodawcy oświecenia wyciągają teorią kształcenia młodzieży, a choćby to nie nastąpiło, nasz przykład zostanie na zawsze pomnikiem najpiękniejszych młodości czynów...

Nie mogę się uwolnić, ażebym, wsparty na nieugiętych duszach towarzyszy moich, którzy w każdym czasie gorliwości i szczerości najpewniejsze dają dowody, ażebym, mówię, oddając się nawet za zakładnika, w dzisiejszym uroczystym głosie tego nie zostawił przepowiedzenia, że żadne wyroki i losy, żadne ubóstwa

i trudności, żadne podstępny i zdrady Towarzystwa w zasadach swoich nie wzruszą, w postępie nie wstrzymają, w zbawiennych jego skutkach nadwyrężyć nie potrafią...

ADAM MICKIEWICZ

POWITANIE JANA CZECZOTA

jako członka czynnego na posiedzeniu administracyjnym wydziału I,
dnia 12 stycznia 1819

(Wyjątki)

Szanowny towarzyszu i bracie nasz!

Koledzy, których tu zgromadzonych widzisz, stawia się dziś przed tobą w nowym charakterze. Poznawszy wprzód twoje zdolności, a teraz gorliwość, chęć dobrą, szlachetne serce i uczciwy charakter, wynoszą cię na stopień członka Towarzystwa Filomatycznego.

Towarzystwo to zawiązało się w najpiękniejszym celu przyniesienia pożytku krajowi, rodakom i nam samym; obróło do tego najpiękniejszą drogę, to jest drogę oświecenia. Ale zastanowić się wypada, czyli drogi tej wyłącznie trzymając się skutecznymy, cośmy zamierzali. Niestety umysłowe nasze działania są najściślej ze światem zmysłowym połączone. Nie możemy bezpośrednio wyjawiać większej masie ludzi myśli i uczuć naszych. Jedni wynaleźli piękny sposób udzielania ich drogą pisma, drudzy ludzie nie mogąc sięgnąć tam, gdzie się tworzą myśli i gdzie jest siedlisko uczuć, wynaleźli okropny sposób przeszkadzania, ażeby się te uczucia i myśli drugim nie objawiły. A tak włożono kajdany na dusze i na serca nasze. — Każdy, z osobna pracując, choćby z najgorętszą chęcią, kiedy wszędzie napotka zawady, a nigdzie pomocy, prześladowany od ludzi, którym nie widzi oparcia się sposobu, trudzony pracą, której nie widzi pożytku, kiedy mu zabraniają działać, kiedy przeszkoda w działaniu zabrania myśleć — przestaje nareszcie działać i myśleć, traci odwagę, przestaje być człowiekiem, bo zarzuca uprawę najszlachetniejszej części człowieka.

Ażeby tak okropnej kolei uniknąć, połączyliśmy drobne siły nasze, postanowiliśmy wspierać siebie nawzajem, oświecać, zachęcać i wspólnie działać. Ale i ten związek, potężniejszy daleko od każdego z nas z osobna, gdyby się tylko pracą naukową zatrudniał, trudno mu byłoby się utrzymać. Obaczmy, kto go teraz składa? Ludzie, których całą zaletą jest tylko cicha praca i gorliwość. Obaczmy, kto go dokoła otoczył? Ludzie nikczemni, którzy nie mogąc wznieść się do szlachetniejszych uczuć i wyższych zamiarów, postanowili wszystko, co jest szlachetnym i wyższym, przytłumiać i wykorzeniać...

Towarzystwo w obszerniejszym widoku podziela się na dwie wielkie klasy, a wszyscy członkowie uważają się pod dwojakim względem: jedni mają nasz gmach uświetniać, drudzy, uświetniając, wewnątrz porządkować i od zepsucia chronić; jedni mają go coraz wyżej posuwać, drudzy wyżej posuwając coraz głębiej fundamenta w ziemię popychać; tamtych potrzeba talentów, tym talentu, odwagi, stałego umysłu, a nade wszystko cnotliwego serca. Którzyż z nich, pytam się, są drożsi Towarzystwu? którzy więcej i większych mają obowiązków? których na koniec wybór jest trudniejszym? Człowiek z talentem łatwo daje się poznać z postępowania, z rozmów, z pism swoich, ale dusza, ale charakter, jakże są głęboko ukryte! Te sztuczne maryjonetki, ludźmi zwane, ściskają nas przyjacielsko, uśmiechają się, płaczą; ale u spodu teatru siedzi egoizm, chciwość lub duma poruszająca sprężyny władnące osóbką. Jakież więc wybór, powtarzam, czyli człowieka z talentem, czyli z talentem i charakterem szlachetnym, jest trudniejszy i większej wagi? Ten wybór padł na ciebie, Janie Czeczocie, kolego i bracie nasz!..

Okoliczności nieszczęśliwe, w których zostaje nasz kraj, działały i działają okropnie na upodlenie rodaków. Umysł unoszący się dawniej do wielkich rzeczy, dziś zepchnięty i ograniczony własnym interesem, czołga się przed zyskiem i własnej tylko słucho miłości. Odkryj się przed kim z wielką myślą, z wielkim zamiarem: co byś miał w nim uczucie wyższe obudzić, obudzisz uśmiech obojętności! Te podle istoty tak dobrze znają swoją wartość, iż między wielką rzeczą a między sobą śmieszny upatrują kontrast, i stąd to powiedział Homer, iż bogowie każdemu niewolnikowi połowę duszy natychmiast odbierają. Pierwszym więc twoim będzie usiłowaniem, ażebyś wydzwignął się z tej przepaści lekceważenia wszystkiego i drugim do wydzwignienia się dopomógł. Wmówić w człowieka, iż jest zdolnym, nie mówię, do wykonania wielkich rzeczy, ale przynajmniej do myślenia o nich, już jest wielką rzeczą. O to się zawsze staraj; uważaj Towarzystwo jak rzecz wielką i świętą...

Jeśli w tym miejscu poświęconym obradom tyczącym się ogólnego dobra mogę odezwać się do ciebie, jak przyjaciel do przyjaciela, nader słodką zapewne i nader chlubną dla nas obu odnowiłbym pamiątkę niezachwianej przyjaźni, która od lat dziecinnych stale nas dotąd wiązała i wiąże. „Nie masz przyjaźni między podłymi“, mówi Rousseau, „ich powiązanie się jest tylko tymczasowe; są to wilcy, którzy pożarłszy silniejszą od siebie bestyją znowu się rozbiegają“. My nie rozłączaliśmy się dotąd i nie rozłączymy się nigdy. Jest w naturze serc czułych skupiać koło siebie wszystko, co mu najmiłsze.. Przyjacielu! oto są moi przyjaciele! Spodziewam się, iż pozyskasz przywiązanie, nie zawiedziesz ich ufności, będziesz takim, jakim ci być każą święte dla ludzi czułych prawa przyjaźni i święte dla członków prawa Towarzystwa.

TOMASZ ZAN DO ADAMA MICKIEWICZA *

Wilno, 10 maja 1820

Arcypromienisty Adamie!

...Dnia 5 maja wyleciały okrągłe bilety (bo rogi są wszechne) pomiędzy akademikami z napisem na jednej stronie: *Mleko i pocałowanie d. 6 maja*, na drugiej: *Na Pole Jagiellońskie (boulevard) o godzinie 5 i pół z rana*. Frejend napisał „z Rana” i za to został gramatykiem promienistym. Za czym ukończywszy środowe zatrudnienia, od godziny 7 po południu do drugiej w noc męczyłem pióro na jambiczno-promienistej przemowie...

O godzinie 5 obudzon wyszedłem na Pole Jagiellońskie. Wnet stąd i zowąd tłumy ciągną, witają się palcami...

Pokazałem się; szmer, ciekawość, później cichość zrobiła się w licznym kole. O 20 kroków zaintonowałem z przyslanymi jeszcze później śpiewakami: „Hej radością czy błysną” etc...

Wszedłem do koła, spojrzałem z powagą i uzaleniem po twarzach, a później jak natchniony jambowca zacząłem. Między wiersze krotofilne umyślnie się wciskały wyrazy, dające do myślenia i mniej więcej wzruszające. Wierszem ułożone pytania; z krzykiem i radością odpowiadali...

Krzyknąłem: „Przystąpcie do pocałowania!” Rzucili się wszyscy i pięćdziesiąt głów ucałowałem. Wystaw sobie, do czego promionki przyszły! Po tym krótkim obrzędzie udali się na mleko, do chatki murowanej za Rossą; różne mowy, różne domysły, różne radości, różne pytania, różne myśli; a wszędzie jeden zapal, jedno uwielbienie promienistości, jedne śpiewy. Pokazuje się, że młodzieżą naszą kierować można i na dobrą drogę wyprowadzić.

Różni różnie pojęli, różni różnie gadają...

Zresztą wszyscy z ochotą do zabaw promienistych, cnoty i nauki, brać się postanowili, uwielbiać Tomasza. Czy kto był, czy nie był na majówce, każdy gada o promienistości; jeżeli nie rzecz, to wyraz promienistość po wszystkich biega domach...

Drzwi od 5 ranej aż do 7 otwarte dla wyznawców; cisną się słuchać nauki, którą rozlicznie obracamy.

Przedziwnie byś zrobił, gdybyś moralność promienistą wierszem czy prozą wyłożył...

FRANCISZEK MALEWSKI DO MICKIEWICZA

Wilno, 11 października 1820, 7 z rana

Adamowi Jarosz większej wesołości!

Jeżowski przed pół godziną wyjechał...

Myślę o nim i smutno mi; kiedyż jeszcze pomysle o sobie, jeszcze smutniejsze przychodzi marzenia. Jeżowski był moim

* „Materiały“ obejmują wybór listów Adama Mickiewicza i jego przyjaciół w s k r ó t a c h i w y j ą t k a c h; pominięcie pewnych ustępów z tych korespondencyj — zawierających szczegóły nieistotne lub nieaktualne — zaznaczono w odpowiednich miejscach wielokropkiem.

prawdziwym przewodnikiem, kierował mną, jak mu się podobalo, bo miałem dla niego uczucie prawdziwej czci i podziwienia. W moich oczach uchodził i uchodzi bardziej za ideał człowieka niż za człowieka. Od chwili pierwszej poznania aż dotąd widziałem go niezmiennym pomimo ciągłego zmieniania się wszystkiego, czym był otoczony. W każdej chwili zdrową mógł dać radę, żadne cierpienie, żadna namiętność nie naruszyła wewnętrznej jego spokojności. Przy tym zaś skarbie dodaj niewyczerpaną siłę myślenia i dobroć duszy i powiedz, czy przesadzam, porównywając siebie do człowieka, któremu wśród nieznanych ciemności ostatnie światło gaśnie. Wiem, żeś go równie znał dobrze; piszę to jednak w nadziei, że i ty, wspominając, jakiego mamy przyjaciela, uczujesz przyjemność, podzielisz mój żal i częstszym pisaniem wspierać mnie i nas wszystkich zechcesz. W każdej odbytej porządnie towarzyskiej czynności odbijał się tu duch Jeżowskiego; teraz, kiedy go przy nas nie będzie, starać się potrzeba pilniej, ażeby się pomyłki nie wkradły, tym więcej, że się czynności coraz a coraz rozszerzają. Wzywamy twojej pomocy więcej niż kiedy...

JEŻOWSKI DO MICKIEWICZA

Grabiały, 7 kwietnia 1821

..Namienasz o losie swoim, o losie Jarosza, o moim i o innych. Winszujemy sobie, żeśmy teraz zaczęli nad tym dumać przedmiotem. Prawda, że nic w tej mierze pogodnego podumać nie możemy, że z trwogą i rozpaczą nawet przychodzi nam dotykać się zastłony przyszłości; jednakże tak czynić powinniśmy i czynić nie przestaniemy. Liczne obowiązki wołają nas ku temu. Pasowanie się nasze dzisiejsze z zamiarami, nadzieją i rozpaczą, nie umknie nigdy z naszej pamięci; pozostanie na przyszłość miłe w duszy naszej świadectwo, żeśmy w młodości naszej czuli, myśleli, działali, jak przystawało na prawdziwych ludzi, Polaków i przyjaciół...

ZAN DO MARYLI

(Z więzienia, 1823—1824)

Z KRONIKI SERCA

...Dusza nasza w krótkim pobyciu na tej ziemi, w tym ciele, w tym więzieniu, za każdym krokiem, co chwila znajduje (jeśli szuka) wszystkie przedmioty do szczęścia swojego, z nieskończonej mądrości i dobroci Boskiej rozsypane: od ziarna piasku aż do słońca, od dendrytów aż do cedrów libańskich, od robaczka aż do człowieka, wszędzie znajduję doskonałą piękność w jedności, wszystko się ze sobą wiąże w harmonii, wszystko dla człowieka służy. On z całej tej piękności ciągnie rozkosz bytu swojego, jak

ucho pije w zachwyceniu milijony harmonijnych dźwięków najdoskonalszego koncertu, upaja się rozkoszą, która tylko jest przegrawką wiecznej, całkowitej, doskonałej. Na jej szukanie spadła nam iskierka od promienia przedwiecznej mądrości. Ta iskierka oświeca promionkami swoimi, wiąże ludzi, stanowi świat idealny; jego promienie wiążą się także w harmonii z promieniami światów idealnych i stanowią świat ducha; jego płomienie łączą się z płomieniami światów ducha i tworzą wieczny ogień i jasność chwały majestatu Boskiego, nieskończonego, wiecznego, jedyne. Ale życie spać nie powinno; na swojej drodze bieży, aby wzrastała, mocniała i młodniała cielesność, wreszcie się odradzała; bieży, aby wzrastał, wzmacniał się, młodniał rozum, a zdrowy stał się obluźnieniem doskonałej miłości...

Rosną kwiaty na mogile, łzami moimi polewane, i jestem szczęśliwy; w świecie moim idealnym żyją umarli. Czekam tylko, nim nie otworzą więzienia: dusza moja wyleci, rozerwane dusze w jeden się zbiegą płomień bez końca jasno gorejący. Obaczmy razem słońce!...

Z LISTÓW

J. U. NIEMCEWICZ DO A. J. CZARTORYSKIEGO

30 grudnia 1823

...O smutkach naszych po cóż darmo wspominać, masz i J. O. Ks. M. ich udział, aż nadto gorzki; rozlegają się ulice Wilna płaczem nie tylko zamkniętych dzieci, ale matek i siostr ich...

Szpiegowie i inkwizytorzy nagrodzeni pieniędzmi i gwiazdami...

Warszawa, 15 stycznia 1824

W Wilnie uwięzienia szerzą się coraz bardziej; mówią, że niektórych wypuszczają za opłaceniem, ale przysięgać muszą, że nie wydadzą, o co pytani byli. Co za szkoda Mickiewicza i tylu innych biednej młodzieży! Widoczna wojna przeciw duchowi polskiemu, nie wiedzieć jak go zachować, jak się bronić przeciw tak grożącej, tak zagubiającej w skutkach swoich napaści i wojnie...

Warszawa, 30 stycznia 1824

...Przyjechał z Wilna Zaleski, brat Pudyka. Serce się kraje słyszeć, co się tam dzieje. Nieszczęsne dzieci, nieszczęśliwsze rodzice. Zyzowaty w najokropniejszym świetle wystawił wszystko, tak że imperator czytając raport rzucił go na ziemię, wołając: *ces traitres de Lithuaniens!*...

Ursynów, 6 maja 1824

Ten żal, którym na wieść osieroconej młodzi naszej, oddaleniem się J. O. Ks. M. wszystkie pocziwe serca przejęte są, ciężko spadł i na mnie. Co za ślepotą i niewdzięcznością, jak smutne widoki

dla wzrastających pokoleń! Tyle starań, zabiegów, przykrości, nadziei, wszystko w złej chwili zniknęło: acz pociesza sumienie, żalu jednak oddalić nie może...

RAPORT NOWOSILCOWA

złożony w. ks. Konstantemu (13 maja 1824)

Przekład Adama Krechowickiego

(Wyjątki)

...Sam założyciel Towarzystwa Filomatów, Promienistych i Filaretów, Tomasz Zan, był przepelniony duchem polskiego patriotyzmu; — że podobne mrzonki mieli i inni, stwierdza wiceprezydent filareckiego towarzystwa, Franciszek Malewski, który przyznając się sam, że był wśród nich najbardziej działającym członkiem, nie utaił wszakże i tego, że duch patriotyczny objawiał się w tym towarzystwie i że wspomnienia o dawnej Polsce zapalały serca wielu...

Wspomniany Zan — jak z procesu się okazuje — zyskał wielkie zaufanie tak na uniwersytecie jak i wśród uczniów. Sam był rektor Malewski, zezwalając w 1820 r. na majowe za miasto wycieczki, znane pod nazwą zebrań promienistych, porucił mu czuwanie nad porządkiem. Liczni obywatele powierzali jego opiece swoje dzieci... Filareci wybierali go zawsze swoim prezydentem, jakkolwiek wedle ich ustaw należało wybierać co pół roku innego prezydenta...

Z całej sprawy okazuje się, że od 1817 lub 1818 r. duch reformy albo przeobrażenia umysłów, który rozwielił się w większej części niemieckich uniwersytetów, a także w warszawskim i krakowskim, wniknął i do wileńskiego Uniwersytetu. Kilku studentów, w zrozumiałych mrzonkach, założyli, jak już wyżej przedstawiono, Towarzystwo Filomatów. Pod tą skromną nazwą oznaczającą tylko po prostu miłośników nauki ukrywał się zamiar kształcenia nauczycieli młodzieży w jednym wiadomym kierunku, odlania ich jakby w jednej formy, a tym samym działania w skuteczniejszy sposób na wychowanie całego przyszłego pokolenia, wpajając w młode umysły i serca myśli i uczucia odpowiednie zamiarom towarzystwa. Widoczne jest podobieństwo tego towarzystwa z towarzystwem niedawno odkrytym w Niemczech... Jak tam, tak i tu tajnym celem związku jest rewolucja w umysłach, a narzędziami profesorowie i pedagodzy. Oczywiście, Towarzystwo Filomatów nie miało z początku organizacji, odpowiedniej ważności przedsięwzięcia, nie miało ono jeszcze tej systematycznej łączności, która była potrzebna dla rozszerzenia jego działania na szkoły, sama liczba członków była do tego zgoła niewystarczająca; toteż ono, o ile sądzić można z okoliczności i zeznań

niektórych członków, zajmowało się zdaje się jeszcze tylko samymi przygotowaniem, wszakże nie pozostało bez następstw, gdyż z niego powstał promieniści i filareci...

Zanem kierowały zapalna wyobraźnia, obrotny umysł i niespokojny duch. Wszystko to objawiało się w nim jeszcze w 1813 r., kiedy ucząc się w młodeczeńskiej szkole, podzielił uczniów na dwa wojska, Apollinowe i Marsowe, nagradzając odznaczających się w walce i innych ćwiczeniach krzyżykami ze złotego papieru, z wymyślonym przez niego napisem, mającym pobudzać ich do miłości ojczyzny, pod którą to nazwą rozumie się nie ogólna ich wszystkich ojczyzna Rosja, lecz jedynie polski kraj. Z dojrzałszymi latami rozszerzał się i zakres jego planów i działań. Dla spełnienia przedsięwzięć filomatów potrzeba było naczelnika. Z charakterystyki Tomasza Zana widać już, że oni nie mogli wybrać innego, który byłby od niego do tego celu odpowiedniejszym...

Jasno okazuje się, że filomaci, promieniści i filareci składali jedno towarzystwo, lub właściwiej mówiąc, jedno ciało, które ożywił i którym rządili filomaci. Pomiędzy nimi ta tylko różnica, że promieniści, nie przyjęci do związku filaretów, mogli nic nie wiedzieć tak o nich, jak tym bardziej o filomatach, i w majówkach nic innego nie widzieć, prócz tylko zabawy; toż samo i filareci, którzy wstąpili do towarzystwa już po jego zawiązaniu, mogli także bardzo mało, a być może i nic nie wiedzieć o filomatach i o celu, który oni mieli na widoku zakładając to towarzystwo. Wielu z nich mogło rzeczywiście myśleć, że ono nie miało innego zamiaru prócz doskonalenia członków swoich w naukach i wprowadzenia wśród nich wzajemnej pomocy tak w tym przedmiocie, jak i pod wszelkimi innymi względami...

Przystępuję do rozróżnienia i określenia stopni winy członków tego towarzystwa, lecz przede wszystkim uważam za potrzebne wyłożyć pokrótce, w czym polega ta wina.

P i e r w s z a w i n a mieści się już w samym utworzeniu tajnych towarzystw. Nastąpiło ono wbrew surowemu zakazowi uniwersyteckiej zwierzchności zaprowadzania jakichkolwiek tajnych towarzystw i wbrew uroczystemu przyrzeczeniu złożonemu przez wszystkich studentów, przy zapisywaniu nazwisk swoich do uniwersyteckiego spisu, czyli tak zwanego **A l b u m u**.

D r u g a w i n a polega na bezprawnym przywłaszczeniu sobie, bez woli i wiedzy swojej zwierzchności, a chytrymi i ukrytymi środkami, samowolnego wpływu na kształcenie młodzieży, w zamiarze zmienienia sposobu nauczania, jego celu i kierunku umysłów. Nadto na jawnym objawieniu zamiarów sprzecznych z widokami i zamiarami rządu.

T r z e c i a w i n a — to czytanie na zebraniach filaretów wierszy zuchwałych i pełnych szkalowań przeciw Rosjanom skierowanych, oraz wygłaszanie powitań i mów sprzeciwiających się wierności rosyjskiemu tronowi...

PRZYJAŹŃ, MIŁOŚĆ, POEZJA

ADAM MICKIEWICZ DO JANA CZECZOTA

Kowno, 1 stycznia 1820

Janie!

...Prosiłem, abyś mnie ostrzegał, jeśli bym w czym zdawał się postępować niezgodnie z przyjaźnią naszą; ta prośba, że była szczerą, znasz mię, wierzyć powinienes. Piszesz mnie o jakichś bojaźniach, przyznam się, dla mnie nie bardzo jasnych. Cóż mogą być za bojaźni? Ja chcę wiedzieć wszystko, co ty o mnie myślisz, a choćbyś źle myślał, alboż to mnie nie ma obchodzić? A wreszcie, czyż ja nie mogę znaleźć w takowych przestroгах pożytecznych dla siebie nauk?

Twoje bojaźni pochodzą z jakiegoś fałszywego, a od dawna w tobie dostrzeganego przekonania o mojej jakiejś wyższości. Myślisz, że ja się pytam, jak o mnie myślisz, nie dlatego, żebym się czasem sam w uchybieniu poprawił, ale tylko, abym twój sposób myślenia poznawał i jak nauczyciel prostował; stąd lękasz się objawiać swoich myśli takiemu sędziemu raczej niż przyjacielowi. Źle bardzo myślisz, kiedy tak myślisz. Skąd tobie ta upstrzyła się wyższość, której ja w sobie nie widzę? Nie dlatego, żebym był skromny, ale, że przecie nie jestem do tyła głupi, abym sobie, czego nie mam, przyznawał. Mój przyjacielu! u nas nie powinna być pycha, a zatem i skromność. Co kto o sobie myśli, niech gada. I te wyrazy: „Mam do ciebie więcej talentu“, „umiem od ciebie lepiej“ — niecierpiane na świecie, u nas uchodzić powinny. I bądź pewien, żebym je tobie powiedział, gdybym czuł ich prawdę. Nawet bym powinien był powiedzieć. Ale ile znam siebie, mówić tak nie mogę do ciebie. Nie skarżę się na przyrodzenie, iż mię bardzo upośledziło; kontent jestem z jego darów, które może by w innych okolicznościach nie najświetniej, ale dosyć świetnie ukazać się mogły. Piszę do ciebie, jak czuję, może fałszywie, ale tak czuję. Nie postrzegam zaś w sobie ani talentów nadzwyczajnych, ani wyższych nad twoje. Piszę, jak czuję. Chodziłem lat 4 na uniwersytet, a ty rok niecały, mam więcej erudycyi, ale czyż to są: „masz w i ę k s z e p r z y m i o t y“? Nie pisz nigdy tak do mnie, to jest nie myśl nigdy tak o mnie...

MICKIEWICZ DO CZECZOTA I ZANA

Kowno, 22 maja 1820

...Niedziela była dniem świętym. Zdrow wstałem podług zwyczaju (od dwóch tygodni) o czwartej i na koniu Maurycego Prozora, który był w Kownie, ruszyłem szpacyjerem w zachwaloną dolinę o wiorst kilka za miastem. Trudno sobie coś rozkoszniejszego wymyślić, a nie podobna widzieć, przynajmniej w Litwie.

Ogromne góry, ciągnące się zakrętami na pół mili blisko, środkiem zielona dolina rozmaicie wylamana, ale zawsze równa, raz wąska, drugi raz szersza, pełna kwiatów, przerznęta małą rzeczką. Słońce było wprost przeciwko mnie, ale góry cień czyniły i posuwając się wąwozem to jedna, to druga strona od promieni zieleniła się przyjemnie, a środek zawsze był w cieniu. Dodaj jeszcze, że te góry są okryte lasem najpiękniejszym w kształcie ogromnych klombów. Drzewa kilkudziesięcioletnie, albo dla okrągłości mówiąc stuletnie, gęsto splecione, jarzębina, czeremcha biała, jodły ciemne z długimi warkoczami, brzozy w kolumny i piątra wyniesione — najrozkoszniejszy widok — a ranek, śpiewania ptasząt — szmer wody...

CZECZOT DO MICKIEWICZA

Wilno, 1 stycznia 1821

...W wieczór idę do Jarosza: „Pokaż wiersz“! Czytam; trocha nieczytelnie i to w czytaniu zawadza; czytam z cicha, i to jest *impedimentum*. Czytam uprzedzony. Myślę: co ten Adam tak się sadzi, tak zdobywa na szczególniejsze myśli i wyrazy? Skończyłem. Jarosz się śmieje. — „Nie rozumiem“. — „Z was żaden nie rozumie. Takich wierszy nie znajdziesz na karmelku, takich wierszy nie znajdziesz na karmelku!“ i jeszcze raz powtórzył: „Nie znajdziesz! Trafia zupełnie w duch schillerowski, trafia. Takie zwroty, takie fantazma“. — „Ale cóż, kiedy ja nie rozumiem, za co tu takie wysmażone zdaje się być wszystko?“ — „To taki stan poety; patrz, czy jest tu jaki przymus? — Żadnego“. Zaczął sam czytać. Jak zaczął czytać, a ja uszy jak zając nastroiłem: at, rozumiem pierwszą zwrotkę, at, dobra, piękna. Aż tam dalej s ł o n c a o k i e m — ach jak pięknie, jak wiele znaczące, jak wyborne wyrażenie! Tylko w o d y t r u p i e zawadziły i nie były smaczne. Aż tam i do końca zrozumiałe i wyśmienicie. Sam uszom moim nie wierzę, biorę i odczytuję: wszak pięknie! Skądże się to tak przedko wzięło? „A czy rozumiesz — pyta Jarosz — tę zwrotkę, gdzie jest d u c h ś w i a t a? Też z was żaden nie rozumie“. — Już ja gotów i uwierzyć temu, bo pierwaj rozumiałem, że nic nie rozumiem; jednak chce się poznać, a nuż ja więcej rozumiem niż Jarosz ze mnie się spodziewa! Czytam i tłumaczę znaczenie. i wylazłem, i cała oda z końca w koniec jasną się stała. Co to jest? czy nie cuda żyrowieckie?

Słupi baczą, chromi skaczą,

Głusi słuch odbierają?

Myślałem, że twoje są zaczarowane, aż one są czarujące! Jarosz odchwalić się nie może: „To mi uniesienie, to myśl, to poezja! Na karmelku takiej nie znajdziesz. Żaden tak Polak nie pisał“... Ja słucham gębę rozdziawiwszy, oczy wytrzeszczywszy.

Słucham, winszuję tobie, nie czuję zazdrości; ale zdaje się, szkoda, że ja mając jakąś do pisania ochotę, a nie mając o czym pisać, wlałem niby i posadzony jestem w liczbie rymopisów. Co za różnica pisać wiersze, a pisać wiersze prawdziwe!...

MICKIEWICZ DO ONUFREGO PIETRASZKIEWICZA

Kowno, 18 lutego 1821

...Dowiaduję się o śmierci mojej Matki. Wypadek ten niemało ma wpływu na moje przyszłe życie. Matka było to moje i udręczenie największe i cała ośłoda, cała pociecha! Nie mogłem jej nic pomóc, alem się nadzieją cieszył, że kiedyś może pomyślny los mój i jej będzie ulgą, będzie szczęściem. Sny te uleciały z dymem! Zostałem jeden. Nic mię już tak bardzo nie wiąże. Braciom cokolwiek pomocy, zresztą sam jeden...

MICKIEWICZ DO CZECZOTA

Tuhanowicze, sierpień 1821

Kochany mój Janie! Czemuż do ciebie nie pisałem za każdym razem, kiedym doświadczał przyjemnych tylu uczuć, a raczej smutnych i melancholicznych, bo tego tylko rodzaju przyjemność już dla mnie została. Będę jednak przypominał, a to, co przeszło, może zrozumiałej potrafię opisać. Znając moje położenie i mój charakter, choć w części podzielisz to, co czułem. Nie wiem, bardzo nie wiem, czy i tego rodzaju przyjemność będziesz jeszcze kiedy ze mną dzielił.

Jak tylko wyjechałem z Wilna, już żałowałem wyjazdu. Przebyłem drogę nudnie, zajechałem do cudzego domu; pobiegłem na nasz niegdyś dziedziniec. Żal mnie nie pozwolił uważać spustoszenia, które było wkoło mnie; oficynkę, w której mieszkaliśmy, znalazłem otwartą, ale ciemną. Postaw się w moim miejscu. Nikt mnie nie spotkał, nie słyszałem owego: *Adam, Adam!* Tak mnie żal ścisnął, że długo nie mogłem odetchnąć. Chodziłem po wszystkich kątach, odemknąłem drzwi spiżarni. Wtem z góry schodzi nasza stara służąca, którą po ciemnie ledwie poznałem — i tak trudno do poznania: wybladła i nosząca znaki długiej nędzy. Po wrzasku zobópnego poznania się płakaliśmy razem. Biedna ta sługa u nas strawiła wiek, teraz bez sposobu do życia. Mieszkała długo w tym domku żyjąc z pracy; teraz jeszcze błąka się po pustkach. Oddałbym jej grosz ostatni, gdybym wtenczas miał przy sobie...

Z Ruty jadę do Tuhanowicz; w bramie samej spotkałem karetę i zaraz poznałem, a raczej uczułem, że tam była M. Nie wiem, co się ze mną działo. Mijaliśmy się; mignęło coś w bieli. Nie śmiałem odezwać się. Nie wiem zgoła, jak zajechałem. Dowiaduję się, że się spotykał z M., o czym w duszy wiedziałem...

...Lada dzień mamy według projektu Michała wyjechać; pojedziem w puszcę nad Świtez do małego folwarczku na dni kilka; będziem jeździć po lesie i dumać. Takiego człowieka trzeba kochać!! Ale to w porównaniu do przeszłego roku jest jak nasz pusty dziedziniec — tak wiele ubyło! Muszę raz jeszcze widzieć, i więcej nigdy nie będę w tych stronach...

MICKIEWICZ DO MARII PUTTKAMEROWEJ

Kowno, 29 października 1822

...Kochana Maryjo, ja ciebie szanuję i ubóstwiam jak niebiankę. Miłość moja tak jest niewinną i boską, jak jej przedmiot. Ale nie mogę poskromić gwałtownych poruszeń, ile razy wspomnę, że ciebie straciłem na zawsze, że będę tylko widzem cudzego szczęścia, że o mnie zapomnisz; często w jednej tejże samej chwili proszę Boga, abyś była szczęśliwą, chociażbyś miała o mnie zapomnieć — i razem ledwo bym nie wolał, abyś umarła — razem ze mną! Daruj mnie; nie możesz nigdy wstydić się tyle, ile ja samego siebie. Kto inny, rozsądniejszy i cnotliwszy, na moim miejscu byłby jeszcze bardzo szczęśliwy, ale mnie chyba Bóg natchnął zechce, chyba twój przykład poprawi. Cóżkolwiek jednak czuć będę, nigdy ciebie nie zasmucę.

Jakże ja śmiałem ciebie zasmucić! ja tobie winiemem, jeżeli jest co w duszy mojej dobrego i pięknego, jeżeli miałem w życiu kiedy chwilę niebieską. Jesteś moim aniołem stróżem, wszędzie obecna. Strzegę się, abym cię nawet myślą nie obraził...

W ROSJI

Z PAMIĘTNIKÓW KSENOFONTA POLEWOJA

Przełożył *Benedykt Dołęga*

Zdaje się, że nie było w żadnej literaturze arcydzieła, którego by Mickiewicz nie znał w oryginale. Jeżeli ktoś w rozmowie wymienił jakiegoś poetę czy pisarza sławnego, on zaraz dał dowód, że go zna doskonale, cytując z niego strofy, a nawet całe stronicę. Pamiętam, jak podczas jednej uczy literackiej zadziwił wszystkich cytując po grecku różne ustępy Iliady, co większa, gdy jeden z biesiadników, który wiek swój spędził na studiowaniu Homera (podobno Gniedycz), zacytował z niego jakikolwiek wiersz, Mickiewicz zaraz deklamował następne wiersze, jak gdyby umiał na pamięć całą Iliadę.

Innym razem wprawił w zdumienie jednego z najgorliwszych wielbicieli Jean Paula (Richtera), który studiował tego pisarza niemieckiego łykając po kropelce wszystkie jego abstrakta i usiłując sobie rozjaśnić tak często w dziełach jego napotykanе dzi-

wolągi. Mickiewicz zaczął dowodzić, że ta eleuzyńska zagadkowość, czy egipskich magów maniera, jest właśnie wadą, słabą stroną Richtera, i że u wielkich pisarzy nie znajduje się niczego, co by nie było jasne, łatwe do zrozumienia. A kiedy amator „*quand même*“ chciał mu dać poznać, że zapewne nie mozolił się bardzo nad zgłębieniem wielkiego geniusza niemieckiego, Mickiewicz w dorywczym swoim poglądzie, podawszy treść lepszych romanów Jean Paula, zaczął wytykać w nich jeden po drugim mnóstwo absurdów i dowiódł kapitalnie, że to, co mówił o Richtercze, było wynikiem gruntownej jego znajomości...

...Puszkin zaraz go przy pierwszym widzeniu należycie ocenił i największe mu okazywał uszanowanie... W rzeczy samej ani ukształceniem, ani wielostronną uczonością nie mógł równać się z Mickiewiczem, i własne a szczere przyznanie się do tego naszego poety stanowi niemałą jego zaletę...

...Jak w każdej rzeczy, tak i w sądach o literackich płodach, indywidualność Mickiewicza przejawiała się stanowczo, oryginalnie. Wszędzie atoli, gdzie było co wzniosłego i pięknego, to dopatrzeć potrafił i wysoko cenił, nie zatrzymując się nad tym, co estetycznym jego postulatam wcale nie odpowiadało. Pewnego razu ktoś przy nim wdał się w krytyczny rozbiór utworów Puszkinia i wskazawszy ich słabe strony w różnych miejscach, zwrócił się do Mickiewicza, jakby był pewny, że potwierdzi jego zdanie... Otrzymał krótką, a wiele znaczącą odpowiedź: *Pouchkine est le premier poète de sa nation; c'est là son titre à la gloire.*

MICKIEWICZ DO CZECZOTA I ZANA W ORENBURGU

Moskwa, 17 stycznia 1827

Buzowałeś mnie, kochany Janku, za fałszywe albo raczej niezgodne z twoim sposobem myślenia filozoficzne maksymy, za barbarzyzny w stylu, etc., etc. Odpowiem twoimi słowami: *łaj a słuchaj*. Wreszcie i nie słuchaj, ja się gniewać nie będę; łaj — tego się nie boję. Nie jestem z owych biednych antagonistów, których zahukałeś tak dalece, że jedną pstryczką, jak powiadasz, można ich zabić! Mnie dać możesz tęgiego kwasu *à la Dyjonizy*, a nawet czuba nowogrodzkiego, a zobaczysz, jak ci tego odpłacę; nie brak siły i oręża. Czy widzisz, jaki list wielki złożyłem? Rzuć okiem na wszystkie karty, przypatrz się, jak bitym charakterem napisane, odetchnij nieco i przygotuj siły: bo cały ten list kłótnią i łajanką, taką przynajmniej, jaką Adam z Jankiem klócić się i łajać mogą.

Dobry Tomasz, przysłał nam był swoje listy, a teraz udzielił wiele twoich. Czytałem je z całym interesem, jaki tak dawna, sklejona tyłu okolicznościami, na wieki trwać mająca przyjaźń obudza. Dzięki Tomaszowi, że według twojej instrukcyi listów nie

palił. Można je niekiedy palić i należy, jeśli potrzeba; ale ty czasem drzesz i palisz dla kaprysu, dlatego, że ci się nie podobają. Przez wszystkich inkwizytorów i cenzorów! Ty, Janku, miałbyś jeszcze nas cenzurować? Godzi się łać, kiedy się co nie podoba: ale podług widzimisię drzeć i palić? Jakże ty potem śmiałyś na jakiegokolwiek skarżyć się cenzora? Alboż ci nie odpowie: *kasuję, bo się nie podobają?*... Janku, Janku! wyznaj żeś zgrzeszył: bo co nam wszystkim w ogóle niemiło, tego w szczególności nie czynimy.

Czytałem więc listy i odpisy. Pomyślałem: gdyby anioł jaki patrzył na te ich kłótnie i przeprosiny, to by się gniewał, śmiał i płakał razem. Mnie na te wszystkie zanosilo się uczucia; ale nie będąc aniołem, nie tylko gniewałem się (jeśli można gniewem nazwać), ale nawet zupełnie po ludzku kłócić się zaczynam.

...Masz, jak powiadasz, dwie kochanki... Pierwsza, jeśli dobrze pojał, kto ona, ma w nas wszystkich gorących i stałych kochanków. Biada nam, jeśli na chwilę jeden o stałości drugiego wątpić będzie! ale pewnie żaden dotąd nie wątpi. Ta kochanka jest zazdrośną. Miłość naszą do niej okazywać będziemy nie jak Donkiszot, stając na gościńcu i wszystkich wyzywając bez braku, albo siedząc w pustyni Czarnej Góry; ale tak, jak król Karol Wielki rozkazał rycerzom swoim zasługiwać na miłość Angeliki. Mój Janku! możnaż z tym wysokim i szlachetnym uczuciem łączyć i wiązać szczegóły nic nie znaczące? Obiady, tańce, śpiewania, mająż obrażać ową boską kochankę?... Żeby ci jeszcze Bibliją zacytował: powiem szczerze, iż nie tylko jestem gotów jeść trefny bifszyk Moabitów, ale nawet mięso z ołtarza Dagona i Baala, kiedyś głodny — i będę dlatego, jak byłem, dobry chrześcijanin. Co do mojej lektury: czytam *Fieska* Schillera i *Historję Machiawela*.

Pochwalam cię, że masz więcej od drugich stałości w znoszeniu biedy, że zajadasz obiady Kuryjusza, że sam sobie wystarczasz; dobrze jest, ale jeśli sądził, że lepiej i pożyteczniej byłoby ten sposób życia odmienić: było to moje mniemanie; możesz uznać za dobre lub postąpić, jak ci się podoba; możesz swój sposób myślenia i życia drugim zalecać, ale nie narzucać, nie krzyżować, nie przedrwiwać, bo Pan Bóg wie tylko, czyje zdanie lepsze.

Jak będziemy szczęśliwi, zaczniemy się kłócić.

Teraz przystępuję do sporów z Tomaszem...

Przypomnij, jakim był Tomasz w zamku zaczarowanym. Zaprawdę powiadam ci, że kilkomiesięczne życie Tomasza więcej warte niż dziesięć lat naszej terażniejszej stałości! Dał on próbę kochania! Pewny jestem, że w podobnych okolicznościach i teraz by podobnie postąpił. Twój stoicyzm terażniejszy w porównaniu do jego owej przytomności umysłu i cierpliwości tyle ma zasługi.

ile niewinne życie anachorety w porównaniu do męstwa bohatera. Kiedy Tomasz przeszłej zimy w okropnym położeniu odetchnął czasem świeżym powietrzem, kiedy wielbił czułe na jego nieszczęście serca, kiedy szukał pociechy mówiąc przyjaciółom o wronach, gołąbkach i myszach: ja te szczegóły czytam ledwie nie z takim rozewnieniem, z jakim ty słuchałeś opowiadań adiutanta, który był przy naszym sławnym generale. Janku! a ty się oburzałeś i ledwie nie drwiłeś... Gdybym nie wiedział, że poczciwszego i lepszego od ciebie człowieka trudno znaleźć, a ja pewnie nie znalazłem i nie znajdę, gdyby mi te szczegóły o kim innym, nie o tobie powiadano, wzdrygnąłbym się od zgrozy; ale że mój Janek zdziwaczył, zasmucilem się tylko i widzę, do jakiego stopnia przesadzone mniemania ludzkość, nawet w najlepszym sercu tłumić mogą.

Ponieważ list ten do was obydwóch piszę, powiem razem moje zdanie Tomaszowi. Jeśli go na obiad proszą albo jeśli bez nieprzyzwoitości może iść nie proszony, niech idzie i smaczno zjada. Bo dobry obiad siły pokrzepia, a pieniądze lepiej drugiemu — swoje obiady jedzącemu — oddać, albo za nie tytoniu, czy książkę kupić. Jeśli w czasie obiadu może z dobrym przyjacielem pogadać, tym lepiej: bo się czas przyjemnie zabija, a on powinien mieć za najpierwszy, za jedyny cel: zdrowie zachować. Więcej nie ma co myśleć i robić. Jeżeli gra w bostona, najlepiej czyni. Sam doświadczyłem, że grając w bostona, kalkulacja matematyczna zajmuje serce i umysł ochładza, a długo grając w nocy, nawet śnią się trefle i piki i karo, co lepsza niż sny, po których lzy z oczu płyną. Jeżeli Tomasz może pisać, niech pisze; a pisać życzę mu serdecznie, ale nie przymuszam: bo pisać nie jest to buty szyc na nakaz. Ja pisałem, bo były okoliczności sprzyjające muzie; a teraz znowu hultaję. „Ale, ale, krzykniesz, to są maksymy jakiegoś Adama.” Poczekaj, bratku, powiem zaraz i *pro domo sua*.

Ja tu mam znajomości i od wielu osób doświadczyłem przychylnych chęci, od niektórych przyjaźni, i rad bym za to wdzięcznością im odplacić. *Przekłęci, którzy nic nie płacą!*... Daruj, że Dziady zacytuję. Bywam i w salonach, ale tam nie bardzo figuruję; nie dlatego żebym nie chciał, ale że nie umiem. Gdybym dobrze tańczył, albo jakkolwiek tańczył, rad bym był temu; gdybym grał, na flecie czy na gitarze, cieszyłbym się jeszcze więcej; gdybym śpiewał, wyszedłbym na tym dobrze; komplementa jakkolwiek może potrafię z czasem kleić i nie zaniedbam w tym doskonalić się. Bo zaprawdę powiadam ci, że można tańczyć, grać, śpiewać i być grzecznym nie zostając pasibrzuchem, i można być pożytecznym dla drugich, a to jest największą nagrodą wszystkich starań w tak małych drobnostkach. Prawda, że gdybym powrócił do Litwy naszej, może bym, jak spuszczone sprężyna, spadł na dawną kwintę, i kiedyby mi nikt zewnątrz nie dokuczał, to

bym sam sobie jaką biedę wynalazł i smucił się i gryzł znowu. Ja zacząłem być wesół u ojców bazylijanów, a spokojny i ledwie nie rozumny w Moskwie...

MICKIEWICZ DO JOACHIMA LELEWELA

Moskwa, 19 stycznia 1827

...W Odessie prowadziło się życie oryentalne, a po prostu mówiąc próżniackie. Ale widziałem Krym! Przettrzymałem tęą burzę morską i byłem jednym z kilku zdrowych, którzy zachowali dosyć siły i przytomności, aby napatrzeć się do woli temu ciekawemu widowisku. Deptałem chmury na Czatyrdahu... Spałem na sofach Girajów i w laurowym gaiku w szachy grałem z klucznikiem nieboszczyka Chana. Widziałem Wschód w minijaturze.

Co pozostało z pamiątek podróży, znajdzie się w Sonetach, które zapewne już rąk twoich doszły i o których zdania twojego niecierpliwie czekam.

Puściłem Sonety na wywiady. Jak po owych piosnkach gminnych odważyłem się pokazać potworne Dziady, tak i teraz, jeżeli Sonety znajdują przyjęcie dobre, mam zamiar coś obszerniejszego w guście oryentalnym wypracować; jeżeli zaś owe minarety, namazy, izany i tym podobne barbarzyńskie dźwięki w delikatnym uchu klasyków łaski nie znajdują, jeżeli... powiem z Kraśkim, że zasmucę się, ale będę pisał...

Powieść z dziejów krzyżackich o Wallenrodzie już kończy się i wkrótce ją na twoje ręce przeszlę...

MICKIEWICZ DO ANTONIEGO EDWARDA ODYNCA

Moskwa, marzec 1827

...Chciałbym kilka rzucić doniesień o tutejszej literaturze. W Rosyi są dwie główne koteryje literackie: petersburska i moskiewska. Ich organami, a można powiedzieć, składem ich płodów i opinij, są żurnaly. Moskiewska koteryja bierze teraz przewagę i dzieli się znowu na partyje. Najstarszy żurnał, *Wiestnik Europy*, dawniej redagowany przez Dzierżawina i Żukowskiego, trzyma się pod Kaczanowskim, ale upadł w opinii, ogłasza teraz prawie same statystyczne i historyczne artykuły; ma podobno 500 prenumeratorów. Od kilku lat zjawił się *Telegraf*, znajomy już tobie nieco, redagowany pracowicie, troskliwie i całe nie po naszem. Biuro dziennika jest dobrze opatrzone nowymi dziełami, mnóstwem gazet, etc. Głównym redaktorem jest Polewoj; teraz pomaga mu znakomity pisarz i bardzo dowcipny i Warszawie znajomy, książę Wiazjemski. *Telegraf* ma prenumeratorów więcej, tysiąca. Tego roku zjawił się *Wiestnik Moskowskij*. Wszyscy prawie tutejsi młodzi poeci i literaci należą do redakcyi; najgłówniejszym pracownikiem jest Pogodin, ale najsilniejszym wsparciem

Wiestnika jest Puszkina. Obszerniej kiedyś o nim napiszę; teraz tylko dodam, że go znam i często się widzimy. Puszkina prawie mojego wieku (dwoma miesiącami młodszy), w rozmowie bardzo dowcipny i porywający; czytał wiele i dobrze zna literaturę nowożytną; o poezji ma czyste i wzniosłe pojęcie...

MICKIEWICZ DO JÓZEFA KOWALEWSKIEGO

Moskwa, 21 czerwca 1827

...Spodziewam się, Józiu, że ty nad Sonetami moimi oryginalne popieszysz uwagi, a przynajmniej ponotujesz, co by w technicznych mahometańskich wyrazach podmieniać lub lepiej objaśnić należało. Wszystkie warszawskie gazety były długo nazdżiane krytykami ostrymi i pochwałami przesadzonymi. Jedni mówią, że ja nie powinienem płodów niedowarzonych drukować; inni znowu, że Sonety lepsze od Petrarkowych i że jeśli ma być literatura oryginalna u nas, to ja będę jej ojcem. *Risum teneatis!* Wszystkie pochwały i krytyki jedna w drugą głupie...

MICKIEWICZ DO LELEWELA

Moskwa, 19 sierpnia 1827

...Jakżeś dobry, żeś pozbiierał uwagi nad Sonetami! Wprawdzie przewidziałem wszystko: damy sentymentalne potępiły za uczucia zbyt ziemskie, a salony za wyrazy w stylu garderobianych, uczeni klasycy za tatarszczyznę, gramatycy za omyłki. Każdy prawie grzech gramatyczny popełniony z namysłem i nieprędko chyba skruczę uczuję. Odwykłem od dźwięków mowy oczystej, *kołysa* i *klaska* miłsze dla mnie aniżeli *sze* i *szcze*. Może się potem poprawię, ale dotąd muszę swojego ucha radzić się i jemu zaufać. Z czego zaś nigdy nie poprawię się, są to wolności składni, odmiany w następstwie czasów gwałcące przepisy gramatyki francuskiej... Dotąd, po tylu krytykach, zawsze poczuwam się do większej liczby uchybień, do uchybień ważniejszych, aniżeli wszystkie mnie wytykane, i gdybym sam na siebie recenzję pisał, byłaby najsurowsza, ale może bym nie wspominał o tym, o czym krytycy rozprawiali, tak bardzo różnymi się w zdaniach...

MICKIEWICZ DO NIEMCEWICZA

Moskwa, 23 listopada 1827

Jeżeli JWPan Dobrodziej słyszałeś kiedy moje nazwisko, jeżeli przypomnisz sobie, że pisywałem wiersze, łatwo raczysz wybaczyć młodemu pisarzowi chęć niepowściągniętą zabrania znajomości z Szanownym Nestorem naszej literatury. Może ta chęć pochodzi z miłości własnej, ale jest niewinna i młodemu wiekowi

właściwa. Sam JWPan doświadczyłeś zapewne w rańszych latach, jak miło jest poczynającemu swój zawód pisarzowi dać się poznać wielkim mistrzom — i być pewnym, że mąż, dla którego czujemy najwyższy szacunek i podziwienie, wie przynajmniej o naszej egzystencji i o naszych pracach, jest stokroć pochlebniej, niżeli pozyskać oklaski licznej publiczności. Czyż imię wzbudzić może w sercu młodego polskiego poety żywsze uczucia szacunku i podziwienia nad imię Julijana Niemcewicza? Od matek naszych przywykliśmy słyszeć opowiadanie jego czynów i przygód. Jego pieśni dały nam najwcześniej uczuć wdzięki poezyi; są to nasze najstarsze poetyckie znajomości, w Jego obrazie szanowaliśmy rysy męża, który charakterem i talentami stał się jedną z najcelniejszych ozdób swojej epoki i który za życia już był kanonizowany w izbie obrad i na Parnasie.

Długo miałem nadzieję, i była to jedna z najśłodszych nadziei, że mię kiedyś los zbliży do Ciebie, mężu szanowny, i że pracami moimi ściagnę może kiedyś twoją uwagę, że puszczając się w zawód poetycki, odbiorę błogosławieństwo ojcowskie pierwszego narodowego poety. Teraz, kiedy mię okoliczności przykuły na długo w dalekiej ziemi, ośmieliłem się, korzystając z korespondencyi wspólnego przyjaciela ks. Wiazjemskiego, lubo nieznanomy, odezwać się do JW Pana Dobrodzieja i wynurzyć Mu dawno powzięte uczucia. Smutne moje położenie będzie wymówką śmiałości. Książę Wiazjemski zaszczyca mię ciągle swoimi względami, szacunek dla wielu mieszkańców Warszawy, szczególnie zaś dla JW Pana Dobrodzieja, natchnął mu tym mocniejszą życzliwość ku wszystkim tu bawiącym Polakom. Winniśmy temu zacnemu i szlachetnie myślącemu księżęciu wiele chwil przyjemnych i nieraz nad brzegami Moskwy piliśmy zdrowie równie nam wszystkim miłego Julijana Niemcewicza. Jeżeliby JW Pan Dobrodziej raczył oświadczyć ks. Wiazjemskiemu podziękowanie za przyjaźń, którą nas nie przestaje zaszczycać, wypłaciłbyś dług za swoich współrodaków. Oni wszyscy podzielają uczucia najgłębszego szacunku, z jakimi zostaną na zawsze

JW Pana Dobrodzieja

najniższy sługa

Adam Mickiewicz

PIOTR WIAZJEMSKI DO BAZYLEGO ŻUKOWSKIEGO

(Przekład)

30 listopada 1827

Przedstawiam ci poetę polskiego Mickiewicza, którego znasz przynajmniej ze słyszenia: poznasz go osobiście i zapewne pokochasz. Zrazu nie wyda ci się on łatwym i otwartym, skoro go jednak spróbujesz, słodkim ci będzie. Jest on piękną poezją, jak towarzysz jego Malewski, piękną prozą. Zjednaj ich sobie, są to bo-

wiem ofiary bezczułości i podłości Nowosilcowa. Mickiewicz chce wydawać polski dziennik. Dopomóż mu w tym i o ile możesz, rzeknij o nim przyjazne słowa do Błudowa. Winienesz być bowiem dziennikarską i literacką opatrnością dla sierot.

MIKOŁAJ MALINOWSKI DO LELEWELA

Petersburg, 9 stycznia 1828

Od trzech przeszło tygodni przybyli tu Adam Mickiewicz i Franciszek Malewski, z Moskwy... Po tylu latach niewidzenia się, po tylu zobopólnie doznanych nieszczęściach, z braterskim uczuciem rozrzewnienia witaliśmy siebie nawzajem. Mickiewicz zewnętrznie cokolwiek odmienił się, zapuścił bakenbardy, to go poważniejszym czyni. Cera zdrowsza, nieco zmężniał, odmienił się, ale na swoją korzyść. W towarzystwie nie jest jak dawniej ekscentryczny, i owszem bardzo swobodny i ujmujący. Tych nawet, którzy mniej mają prawa być ze strony jego z uprzedzeniem traktowani, bardzo uprzejmie przyjmuje. Talent jego dojrzał, rozmowa zasilona i tym, co widział, i co czytał, nosi nadto piętno jego bogatej imaginacji. Lubi teraz mówić dużo, jego głos często sam tylko słychać w zgromadzeniu, i każdy skwapliwie ucisza się, aby jego słuchał. Prawdziwie napętnia mnie uczucie dumy, że byłem kolegą Mickiewicza i że jestem jego przyjacielem. Przybycie jego do Petersburga sprawiło niesłychaną sensacyję. Rosjanie i Polacy przęścigają się w okazywaniu mu poszanowania...

Mickiewicz talent improwizacji doprowadził do zadziwiającego stopnia doskonałości. Gdy czuje się w werwie, dosyć jest zagrać na fortepianie znajomą jaką piosenkę, natychmiast improwizuje, i to z taką gwałtownością, tak nagle, że zdaje się, iż duch jakiś go dręczy, aby co prędzej pozbyć się uczuć serca. Jużem go kilkanaście razy słyszał. Pisać niezmiernie trudno, bo żadne pióro nie poścignie szybkości poety i przy tym nie pozwala on, aby pisać, bo mówi, że to w nim zapał niszczy, gdy piszących widzi. Przynajmniej co wieczór pilnie spisywałem treść każdej jego improwizacji; niech te niezgrabne rysy przedziwnych mało-wieł przynajmniej w trwałej pamięci zostaną...

Przywiózł także ze sobą rękopis swojego nowego poematu „Wallenrod”. Czytałem go zupełnie wiele razy; ale im częściej wczytuję się, tym coraz obfitsze piękności widzę. Nic jeszcze podobnego w poezji polskiej nie ma; śmiem rokować, że uwłaczający sławie Adama będą musieli umilknąć, albo niesforne wrzaski ze wstrętem odrzucone zostaną. Poemat ten ma przeszło 2000 wierszy, autor też próbę uczynił wprowadzając w narracyję heksametr; nie wiem, jak tę nowość inni przyjmą; mnie, oswojonemu z miarą dawnych, mile do ucha wpada. Ale tendencyja poematu jest górna i zacna. W każdym narodzie i wieku podobać się będzie...

NIEMCEWICZ DO MICKIEWICZA

Warszawa, 8 lutego 1828

Odebrałem list od zacnego Ziomka, pełen wdzięczności za pochlebne a niezasłużone wyrazy jego dla mnie. Ubolewam z serca, że tak piękny talent, tak szlachetną zapalający duszę, tułać się musi w obcej ziemi i zamiast poddawania się silnym obywatelskim natchnieniom, w ulotnych tylko gubić się pieniach. Tak jednak chciały niezgłębione a zażarte na nas wyroki; ufajmy, że kiedyś zmiękczyć się dadzą. Niech młodzież w czasie słoty przysposabia ziarno do zasiewów pod pogodniejszym niebem: czerpajmy w czystych źródłach, *vos exemplaria graeca diurna versate manu, versate nocturna*. Jeśli siedemdziesiątletniemu starcowi wolno jest zdanie swoje otworzyć, powiem, iż uważam w wielu płodach dzisiejszych jakąś skłonność i upodobanie do niemieckich metafizycznych, romantycznych uniesień i wyrazów. Nie jestem ja niewolniczo klasycznym, wiem, ile zbyt surowe Arystota przepisy ujarzmiają genijusz, pozbawiają nas nieraz, osobliwie w dramatycznej sztuce, wielkich, uderzających piękności i sytuacji; nie potrzeba atoli, uwolniwszy się od wszelkich prawideł, zarzucać cugle na kark Pegazów i w cwał z wiatrami latać po obłokach... To, co nie jest jasnym, naturalnym, z łatwością zrozumianym, ciężko, by było pięknym i podobającym się. Nie — piękne zapewne — płody zacnego Mickiewicza, ale dorywcze pisma niektórych niedojrzałych wierszopisów naszych dały mi powód do uwag tych...

Nierozważnie czytani pisarze niemieccy nieraz złego u nas gustu stali się przyczyną. Naśladujmy rzadkie piękności Szylców, Goethów, Wielandów, lecz strzeżmy się, co tylko jest w nich przesadzonego, zdroźnego. Niech Homer, Eurypides, Sofokles, Horacy, Wirgili będą wzorami naszymi. Tymi to wzorami szedł, i poszedłby dalej nasz Mickiewicz, gdyby genijuszowi jego wolno było swobodnie swe skrzydła rozwijać...

Piszę do księcia Wiazjenskiego z podziękowaniem za wszystkie jego dla ziomków naszych grzeczności. Niech Cię, zacny młodzieńcze, Bóg Ojców naszych cieszy, wspiera i dla dobra kraju jak najdłużej zachowa. Z serca życzę...

MICKIEWICZ DO A. E. ODYŃCA

Moskwa, 6 kwietnia 1828

Chciałbym ci posłać tłumaczenie ruskie moich poezyj. Musiałbym wielką zrobić pakę. We wszystkich prawie almanachach (almanachów to mnóstwo wychodzi) figurują moje Sonety; jest ich kilka całych przekładów. Jeden, podobno najlepszy, Kozłowa (tego, co pisał „Noc wenecka”), drukowany częściami, ma wyjść wkrótce.

Zukowski, z którym poznałem się i który mnie bardzo przychylny, pisał, że jeśli jeszcze weźmie pióro, poświęci je tłumaczeniu moich wierszy. Puszkina wytłumaczył początek Wallenroda, wierszy kilkadziesiąt. Rosjanie gościnność rozciągają aż do poezyi i przez grzeczność dla mnie tłumaczą mnie; gmin idzie w ślady naczelných pisarzów. Już widziałem sonety rosyjskie w guście moich. Owóż sławy dosyć dla obudzenia zazdrości, chociaż ta sława wychodzi często zza stoła, przy którym jedliśmy i pijali z rosyjskimi literatami. Miałem szczęście zyskać ich względy. Mimo różnych mniemań i partyj literackich, ja ze wszystkimi w zgodzie i przyjaźni...

ADAM MICKIEWICZ DO FRANCISZKA MICKIEWICZA

Petersburg, 19 września 1828

W ostatnim już liście moim, przed kilku miesiącami pisanym, skarżyłem się na twoje niepojęte i uporczywe milczenie. Możesz sobie wystawić, jak dalece urosła moja obawa, kiedym od owego czasu znowu aż dotąd żadnej nie odebrał wiadomości. Poleciłem jadącemu w strony nowogródzkie Pietraszkiewiczowi i list i paczkę. Prosiłem go, aby osobiście z tobą się rozmówił o interesach naszych wspólnych. Teraz otrzymałem pismo Pietraszkiewicza, z którego widzę, że nie musiałeś być w Nowogródku w czasie przejazdu naszego przyjaciela. Nie wiem, czy tobie na piśmie zostawił poleczone jemu zapytania i powtarzam je w tym liście, prosząc o rychłą odpowiedź.

Zdaje się, że zupełnie zaniedbałeś interesa tyżące się naszego domu. Słyszałem niegdyś w Wilnie jeszcze, iż można by z kredytorami po przyjacielsku ułożyć się; miałeś poczynić do tego kroki, i podobno niceś dotąd nie przedsięwziął. Donieś, proszę, jaka jest ogólna suma długów i ile trzeba by pieniędzy na ich opłacenie w całości lub w procencie. Ja nie wiem, jak i gdzie mnie los nadal rzuci; jeżeli nie będziemy mieszkać z sobą razem, chciałbym tobie, kochany bracie, ten dom okupiwszy, na własność twoją jedyną zostawić, możebyś mógł z niego mieć pomoc w utrzymaniu się albo wyprzedać. Jak tylko kredytorów spłacimy, od postojów — biorę na siebie, że się dom uwolni... To będzie moim staraniem i ty się o to nie troszcz, bądź tylko łaskaw zająć się szczerze interesem i nie zostawiać mnie po całym roku bez wiadomości...

MICKIEWICZ DO MARII SZYMANOWSKIEJ

N. 18, 956.

Petersburg, 14 listopada 1828

My, Poeta Romantyczny z łaski prenumeratorów, autor wielu książek drukowanych, przedawanych, tudzież drukować się i przedawać mających, wszystkim i każdemu z osobna, komu wiedzieć należy, wiadomo czynimy:

Od wielu miesięcy trwały między Naszą Poetycką Mością i Jej Arcymuzykalną Mością, pierwszą pianistką, autorką kaprysów, wariacyj, romansów i kontradansów etc., stosunki sąsiedztwa i przyjaźni. Wiadomo światu całemu, a przynajmniej dziesięciu ludziom, że nieraz jadaliliśmy obiad społem, a nawet w orszaku Jej Arcymuzykalnej Mości przedsiębraliśmy dalekie aż ku Ogrodowi Letniemu podróże. Nieszczęściem te stosunki sąsiedztwa i przychylności zostały zerwane i potargane, albo raczej potargane i zerwane zbiegiem smutnych wypadków, a mianowicie dla deszczu i błota, dla drogiej ceny dorożek i dla strat okropnych, jakie ponieśliśmy w galoszach i parapłujach. Usiłując przecież ile możności dawne wznowić przymierze, osądziliśmy za rzecz przywoitą przyjąć na obiad ze strony Jej Arcymuzycznej Mości zaproszenie i do obiadu takowego własną osobą zasiaść przyrzekamy.

Dla urządzenia ceremonijału zwykłego w podobnych okolicznościach wysłany jest od nas, w charakterze posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego, JW. Nikifor ekskucharz dworu naszego, rzeczywisty tajny pijak, *grand valet de chambre et d'anti-chambre*, kawaler orderu wienika i rondelka, ozdobiony medalem dwugrywiennym za wytrucie tarakanów i drugim medalem piaciałtynnym za wypędzenie szczurów, tytułarny mąż i ojciec kilkorga dzieci, etc., etc. JW. Nikifor zawrzcć ma układy następującej treści:

1. Jego Romantyczna Mość uda się w podróż w sobotę o godzinie trzeciej, piechotą lub w dorożkach według okoliczności, zachowując najściślejsze incognito i nie witając się z nikim oprócz swoich znajomych.

2. Na granicy posiadłości Jej Arcymuzycznej Mości, Jego Romantyczna Mość powitany będzie długim biciem we dzwonek, podług dawno przyjętego zwyczaju.

3. Następnie przyjęty będzie przez kucharkę, pokojowę, lub innego podobnej godności dygnitarza.

4. Jego Romantyczna Mość wejdzie bez straży i uzbrojony tylko parą epigramatów, które dla uniknienia nieufności będą płaskie i nie zastrzone.

5. Ponieważ Jej Arcymuzyczna Mość zawsze zwykła się ukazywać uzbrojona uśmiechem zdradliwym, spojrzeniem przenikającym, przeto Jej Arcymuzyczna Mość da słowo, iż podobnych niebezpiecznych orężów przeciwko osobie Jego Romantycznej Mości używać nie będzie. Równe przyrzeczenie wymaga się od osób składających Jej orszak.

6. W przypadku napaści, Jego Romantyczna Mość ostrzega, iż natychmiast oszańcuje się za fortepianem i zacznie grać i śpiewać swoje kompozycje, aż póki za pomocą Bożą nie zostanie sam panem placu bitwy.

7. Po przyjęciu i powitaniach Jego Romantyczna Mość złoży podarunki, jako to:

- a) Kilka komplementów ciężkości i długości niesłychanej.
- b) *Des bons mots massifs d'une fabrique étrangère.*
- c) *Plusieurs impromptus faits à loisir avec beaucoup de peine et de travail.*
- d) *Des anecdotes d'une antiquité respectable et bien constatée.*

8. Po czym nastąpi obiad, którego rozporządzenie oddaje się zupełnie na wolę Jej Arcymuzycznej Mości.

Dan w rezydencji Naszej, pod nr 23.

1828, 2 listopad.

NB. Dla nadzwyczajnych wypadków obiad zapowiedziany na sobotę miejsca mieć nie może...

MICKIEWICZ DO LELEWELA

28 stycznia 1829

...Będę ukamienowany w Warszawie za przedmowę. Złamałem kopije ze wszystkimi prawie literatami przychylnymi i nieprzychylnymi. W uwagach nad polską krytyczną szkołą od ks. Neryjusza Golańskiego do Ludwika Osińskiego rzuciłem niemało sarkazmów na warszawskie *Kleinstädtereien*, wzajemne pochlebstwa i wielką obcych rzeczy nieznamość. Ta przedmowa jest tylko zagajeniem wielkiej walki, którą mam chęć wręcz rozpocząć i śmiałość czuję do końca w niej wytrwać. Zacznę pisać różne literackie rozprawy powtarzając myśli cudze wprawdzie, ale u nas bardzo nowe, dołączę, jako zastosowanie, rozbiory naszych pisarzy. Mam wielkie dla talentu poszanowanie i autorowie, klasa, że tak powiem, płodna w literaturze, zasługują na słuszne względy i na pobłażanie nawet uchybieniom. Ale retorowie, zuchwali i ciemni, litości nie warci, łatwo pokazać ich nicość. Zresztą napaść pociągnie za sobą z ich strony wzajemne ataki, będą musieli czytać, co zawsze wyjdzie na pożytek...

MALEWSKI DO LELEWELA

11 września 1829

...Niechby ci, co pomawiają Mickiewicza o upojenie się dymem pochlebstw i o traktowanie z góry przychylnych sobie osób, niechby świadkami byli, jak Adam mówi o Byronie, Moorze, Goethem, Skocie, jak szanuje ich dzieła, jak skromnie — moim zdaniem: zbyt skromnie — swój do nich stosunek ocenia, jak go nigdy robione nad jego dziełami postrzeżenia nie obruszają, jak nawet do uwag się nakłania, a w rzeczach krajowej literatury jak jest wyrozumiałym sędzią, jak wszelkie piękności podnosi, z jakim zapałem powtarza wiersze Żaleskiego, Niemcewicza. Nie skończyłbym, gdybym miał wyliczać wszystko, co go różni od ludzi odymanych pochlebstwami. Któż mu wreszcie pochlebiał? — ro-

zumiejąc pod tym wyrazem bezwzględną pochwałę. — Rosyjscy literaci i kobiety.

Ale są zdania, opinie, reputacje, którym Adam otwartą wojnę wypowiedział, i to nie ze względu na osoby, lecz na dobro krajowej literatury. Ile razy przychodziło o nie zawadzać — prawda, że nie szczędził wyrazów, nazywał rzeczy po nazwisku i wyszlifowany, jak palce szulerskie, gust często obrażał. Tu właśnie wielu dostrzega skutki pochlebstw, widzi symptomata zarozumiałości. Czuli adoratorowie „Barbary” przebaczyć mu nie mogą, że o Felińskim, o „genijuszu Wołynia”, mówi nie na klęczkach; wieczni deklamatorowie „Cyda”, „Alziry” odchodzą zgorzzeni, że Mickiewicz nie przestał palić lulki wśród ich ekstazyj. Widziałem osoby stygnące po takich pierwszych spotkaniach. Podobnie stygły „przychylne” osoby, kiedy Adam nie chciał po obiedzie zaimprovizować, kiedy w sali nie szukał zręczności sprezentowania się „polskiemu hrabi”, nie wpisał wierszy do sztambucha, nie dał egzemplarza swoich Poezji, pokazał wyraźnie, że nie jest biednym, potrzebującym łaski, zadrwił nieco z protekcji, z dawanych mu instrukcji, nasuwanych do pisania przedmiotów, i z tysiąca innych tego rodzaju pobudek. Ale ta to właśnie niepodległość, bo więcej nigdy nie widziałem, dała nam Wallenroda.

W PODRÓŻACH

MICKIEWICZ DO MALEWSKIEGO

Rzym, grudzień 1829

...Z Wenecyi ruszyliśmy na Ferrarę i Boloniją do Florencyi, gdzieśmy trzy tygodnie bawili... Rzym mię zagłuszył i kopuła świętego Piotra nakryła wszystkie pamiątki włoskie... Przez Muzeum jeszcze tylko przemaszerowałem szybkim krokiem rzucając tu i ówdzie oczyma, zatrzymując się przed Apollinem, Laokoonem i Zapaśnikiem. Marsz ten trwał dwie godziny. Gdybyś zebrał wszystkie posągi i gipsy drezdeńskie, weneckie, nawet florenckie, schowałbyś je w kątku Watykanu. Tutejsze Muzeum jest to prawdziwe miasto posągów, zavalone sarkofagami i tynkowane inskrypcjami. Po Rzymie odpadnie na zawsze ochota zbioru posągów i obrazów oglądać, a to, co się z entuzjazmem dawniej widziało, przypomina się z niejakim wstydem...

MICKIEWICZ DO JEŻOWSKIEGO

Rzym, luty 1830

...Jak Wam tam być musi smutno, jak mię ta myśl mgłą otacza i zaśnania Włochy. Przeznaczenie, jeśli mi co udzieli, musi naprzód jak harpija dary swoje zatruć. O podróży nie mogę pokrótce pisać. Z Niemiec, oprócz widzenia Szwajcaryi Saskiej, Goe-

thego i Schlegla, nic nie skorzystałem. Okolice Renu i Szwajcaryi zostawiły wspomnienie lekkie i piękne i niewyraźne jak sny. Włochom więcej winien będę. Otwierają się powoli zmysły moje dla sztuk, które oceniać i rozeznawać poczynam. Pomaga mi wiele jeden artysta Polak, Stattler, którego zdania przemawiają do mnie i wzbogacają mnie. Bogactwa sztuk przechodzą wszelkie wyobrażenie; wszystkie galerie z tamtej strony Alp są dziecinstwem. O starożytnym Rzymie chyba bym pisał wierszem. Dlaczego tu nie jesteś ze mną decyfrować napisy na trumnie, w której leżą kości Scypijona, przechadzać się między tysiącami inskrypcyj tak pięknych i czytelnych, jak gdyby wczora wyrzeżane były, i widzieć na obeliskach napisy Augusta!...

Zdrowie dobrze mi służy, ale tęsknię więcej niż dawniej do kraju i do was...

ZE WSPOMNIENIA ANTONIEGO EDWARDA ODYŃCA

Listy z podróży — wybór i wyjątki

Weimar, 20 sierpnia 1829

...Wczoraj, punkt o południu, elegancki powozik pani Otylii zatrzymał się przed naszym hotelem, i w kwadrans potem wysiedliśmy z niego u ogrodowej furtki wiejskiego domu Goethego, gdzie już czekał stary służący, który nas przeprowadził przez ogród, otworzył drzwi do salonu, wpuścił nas i odszedł. Dom niewielki o piętrze; musi być murowany, bo biały i opleciony liściem winogrodu. Salon, gdzieśmy czekali, obszerny, umeblowany skromnie, po wiejsku, z podłogą w deski, nie w tafle, malowaną czerwono... Czekaliśmy blisko kwadransa rozmawiając półgłosem. Adam pytał, czy mi serce nie bije. W istocie było to oczekiwanie jakby jakiegoś nadprzyrodzonego zjawiska. On sam przypomniał, jak zazdrościł niegdyś pani Szymanowskiej, że widziała i mówiła z Goethem. Wtęm usłyszeliśmy stąpanie na górze. Adam zacytował z powagą wiersz Kiszki Zgierskiego: „Słychać chodzenie i górne stąpanie“; a kiedyśmy się śmieli z tej osobliwszej w tej chwili cytaty, otworzyły się drzwi, i wszedł — Jupiter! Gorąco mi się zrobiło. I bez przesady, jest w nim coś jowiszowego. Wzrost wysoki, kształt kolosalny, twarz poważna, imponująca; a czoło! — w nim to właśnie jest ta jowiszowość. Bez dyjademu świeci majestatem. Włos niezbyt jeszcze biały, mocno rzędziejący nad czołem. Oczy piwne, jasne i żywe, odznaczające się jeszcze jakąś osobliwszą, światło-szarą, jakby emalijowaną obwódką, która obie tęcze źrenic naokoło otacza. Adam przyrównał ją do pierścienia Saturna. Nic podobnego nie widzieliśmy dotąd u nikogo. Ubrany był w surducie ciemnobrązowego koloru, zapiętym od góry do dołu. Na szyi chustka biała, bez kołnierzyka, złotą szpilką na krzyż zapięta. Jak zabłysek słońca zza chmury, dziwnie miły, uprzejmy uśmiech rozjaśnił surowość tej fizyognomii, gdy ledwo

wszedłszy powitał nas ukłonem i podaniem ręki, i w tejże chwili przemówił: *Pardon, Messieurs, que je vous ai fait attendre. Il m'est très agréable de voir les amis de Mme Szymanowska qui m'honore aussi de son amitié.* — Trzeba bowiem wiedzieć, że Goethe był kiedyś wielkim adoratorem pani S., i mówiąc dalej o niej, powiedział: *Elle est charmante comme elle est belle; et gracieuse comme elle est charmante.* — Następnie, gdyśmy usiedli, zwracając się do Adama oświadczył, iż wie, że on jest na czele nowego kierunku, który literatura w Polsce, jak i w całej Europie, przybiera. „Wiem z doświadczenia — dodał — jak to jest rzecz trudna; jest to jak iść przeciwko wiatru”. — „My też wiemy z doświadczenia waszej ekscelencji — odpowiedział Adam — jak wielkie genjusze w przechodzie wiatr ten zawracają za sobą”. — Goethe skinął lekko czołem jakby na znak, że rozumie komplement, i mówiąc dalej, żałował, że bardzo mało wie o literaturze polskiej, i że nie umie żadnego słowiańskiego języka. *Mais l'homme a tant à faire dans cette vie.* — Dodał wszakże, że już z dzienników wiedział o Adamie i zna niektóre wyjątki z nowego jego poematu (Wallenroda), które mu pani S. raczyła przysłać w tłumaczeniu niemieckim (panny Karoliny Jänisch, przyjaciółki Adama w Moskwie) lub które potem czytał w *Leipziger Jahrbücher...* Kiedy zaś Adam, na żądanie jego, opowiadał mu dziwnie treściwie i jasno cały przebieg literatury polskiej, od najdawniejszych do najnowszych czasów, łącząc ją i zestawiając z epokami historycznymi: w oczach Goethego, wlepionych w niego, widać było nie tylko głęboką uwagę, ale i ciekawe zajęcie, jakie w nim to opowiadanie wzbudzało. Ruch palców ręki na kolanie wspartej zdał się także tego dowodzić... W dalszym ciągu rozmowy Goethe twierdził, że przy coraz wyraźniejszym dążeniu wszędzie do prawdy ogólnej, poezycja i literatura w ogólności stawać się musi i będzie coraz bardziej powszechną; przystał jednak na zdanie Adama, że nigdy cech odrębnych, narodowych nie straci. Stąd przyszła mowa o pieśniach ludowych, i Goethe z żywym interesem rozpytywał się i słuchał, co mu Adam, a w części i ja także, mówiliśmy o różnaitości i różnicy w charakterze i tonie prowicyjonalnych pieśni naszych; i sam to potem przy obiedzie przed drugimi powtarzał. Na tym był koniec rozmowy literackiej. — Potem obracając się po kolei to do Adama, to do mnie, pytał nas o projektach dalszej podróży; przy czym czule wspominał o Włoszech i o Rzymie zazdroszcząc nam, jak mówił, że tam jedziemy, skąd i on kiedyś za młodu wywiózł najmilsze wspomnienia. Dalej rozmawiał z Adamem o swoich znajomych w Berlinie, których Adam poznał w przejeździe, a zwłaszcza o profesorze Gansie, potem powrócił znowu do pani Szymanowskiej i wspomniął o kilku innych znajomych mu niegdyś Polakach, mianowicie o Janie Potockim i o księżnie Lubomirskiej, którym wielkie oddawał pochwały...

„Niech go licho, jaki rozumny!” To był pierwszy wykrzyk Adama, gdyśmy zeszli ze wschodów...

Weimar, 25 sierpnia

...Wróciwszy nad wieczorem do hotelu zastałem Davida już robiącego sylwetkę Adama; jutro zaś ma rozpocząć modelowanie biustu Goethego. Z pierwszych rysów można już poznać, że będzie bardzo podobna. Materyjałem, z którego ją robi, jest kawał jakiejś czerwonej masy, nalepiony na czerwonej tabliczce; narzędziem zaś prosta drzazga, oderwana od drewna, złożonego do palenia za piecem. Trafiłem na kontynuację obiadowej rozmowy; bo Dawid nie wymaga w pozującym milczeniu, owszem chce i żąda koniecznie, aby on sam o pozowaniu zapomniał... Adam wydał mi się w niej wyższym niż Goethe. Tam sam rozum; tu i rozum, i zapał, i jakby prorocze widzenie. — Myśli, które wypowiedział Goethe, to jak twarde, błyszczące talary, na zimno już w mennicy wybite, które możesz nosić przy sobie; myśli Adama płyną jak roztopiony metal, który się w tobie samym rozpląwa... David był w zachwyceniu; zwłaszcza gdy rzecz szła o ducha i powołaniu Francyi; jakkolwiek nie we wszystkim zgadzał się z Adamem, i nie wszystkim przepowiedniom jego chciał wierzyć. Prosił w końcu Adama, aby mu przeczytał co swego w pobieżnym tłumaczeniu na prozę. Adam wybrał Farysa, i tłumaczył dziwnie gładko i płynnie, z pewnym nawet jak gdyby rytmem. David aż podskakiwał na krześle... Gdy skończył, David pytał ciekawie, jakim sposobem utwór ten napisał. Pytanie to podobało się bardzo Adamowi. Uznał w nim, jak sam powiada, głębokie artystyczne poczucie Davida, które z samej natury utworu odgaduje intuicyjnie warunki, w jakich mógł i powinien być powstać. Opowiedział więc, że już przedtem czytał był, a nawet tłumaczył kilka poezyj wschodnich (Szanfary) z przekładu w prozie francuskiej. Raz zaś wyszedłszy z prozowanego obiadu w Petersburgu na którym się wesoło zabawiał, spostrzegł, że burza nadchodzi. Dopadł więc drążek i kazał pośpieszać. *Zwoszczyk* pędził, co koń mógł wyskoczyć; a ten pęd, turkot, świst wiatru, huk grzmotu, chęć pośpiechu i obawa ulewy obudziły w nim samym sensację Farysa, który nagle przyszedł mu na myśl. Przez noc wiersz był już gotów...

Darmstadt, 11 września 1829

(Uwagi Mickiewicza o nowej poezji)

Nowa poezycja nasza wyrodziła się naprzód nie z estetycznych teoryj, nie z książek, nie z naśladowania Niemców albo Anglików, ale wprost z życia, z prawdy, z miłości; jednym słowem, z natchnienia łaski Bożej, które z serca jednego, jakby z ołtarza

znicza, rozpromieniło się wkoło na drugich. A tym jednym nie był sam Adam. Adam był tylko jak ów Memnon, syn słońca, który pierwszy wschód jego harmoniją witał i ogłosił...

Poezycja prawdziwa wszędzie i zawsze wykwita tylko z poczucia i zamiłowania rzeczy własnych; bo takie tylko dla poety są istotnie prawdziwe, bo takie tylko on sam przez siebie widzieć, poznać i poczuć może. Przedmioty i uczucia poetyczne brane z ksiązek będą to zawsze tylko albo zasuszone, albo sztucznie robione kwiaty... Wszyscy wielcy poeci, ilu ich było na świecie, od Homera do Goethego, wszyscy z tego samego źródła czerpali.

— A jakież to źródło? Poezycja ludowa? — zapytałem.

— Poezycja ludowa nie jest źródłem, ale tylko jak wiejska dziewczyna czerpa wprost dłonią i pije ze źródła, nim je potem wodociągami do miasta na fontanny i na herbatę sprowadzą.

— A więc cóż jest tym źródłem?

— Rzeczywistość i Prawda. Dla gminnego oka to skała — ale toż właśnie ze skały na Parnasie greckim wytryskało źródło kastalskie. Imaginacja jest tylko jak Hebe, co z tego źródła nalewa...

Rzym, 5 grudnia 1829

...Był to dzień urodzin Henrysi, która dziś rok osiemnasty zaczyna. Solenizantka była ubrana różowo, ale jej drobna twarzyczka przypominała ów wiersz z Świtezianki: *Biała jak róży bladej zawoje skropione jutrzeńki leżką*. Bo dla zdrowia to jej rodzice od siedmiu lat bawią we Włoszech, i chociaż klimat zbawił ją od śmierci, organizm jednak delikatny i wątyły odbija się i w wyrazie jej twarzy. Nie jest ona właściwie piękna co do rysów, ale za to tym bardziej może poetyczna i interesująca... Co zaś mnie uderzyło szczególnie, to podobieństwo jej do Maryli nie z pojedynczych rysów, ale z ogółu i wyrazu albo raczej z wrażenia całej fizyognomii. Towarzyszka jej, siostra cioteczna, panna Marcelina Łempicka, to już istna różyczka wykwitająca z pączka, taka świeża, rumiana... Może być starsza o lat parę od siostry i daleko silniejszej budowy, ale obie smukłe i kształtne...

Rzym, 4 kwietnia 1830

...Po dwugodzinnej podróży w pustyni ujrzelśmy na koniec przed sobą domki, rozrzucone na pochyłości góry i przyłączone do niej jak jaskółcze gniazda — (to *Genezzano!*) — i stanęliśmy wkrótce przed wspaniałym, jak na pustynię, kościołem, który wespół z poważnym średniowiecznym klasztorem cały spłaszczony wierzch góry zajmuje. Jakby na nasz przyjazd czekano — zaledwieśmy weszli do środka, ozwał się dzwonek, i tuż za nim organy i solenna wotywa wyszła z zakrystyi, udając się do pięknej i bogatej kaplicy, gdzie się cudowny obraz Matki Boskiej znajduje. Wysłuchaliśmy więc najprzód mszy świętej, którą Adam całą

przeklećzał, jak niegdyś w Ostrej Bramie ze mną w dzień swego wyjazdu z Wilna...

Ks. przeor rozmawiając z panem Ankwiczem opowiadał ciekawe szczegóły o klasztorze, którego pierwszym fundatorem miał być sam św. Augustyn, i o sposobie życia zakonników, którzy się sami trudnią gospodarstwem i własnymi rękami uprawiają w ogrodzie owoce i warzywo. Zwiedzając po śniadaniu ten ogród podziwialiśmy czystość, porządek i gust artystyczny w urządzeniu i utrzymaniu szpalerów, altan i kwiatowych klombów; nade wszystko zaś samo położenie miejsca i uroczystą jego spokojność i ciszę. Stąd wywiązała się długa rozmowa o życiu zakonnym, w której Adam z takim przejęciem się i zapałem wykazywał jego konieczność w społeczeństwie ludzkim, i tak poetyckimi farbami kreślił jego duchowe rozkosze, że taki nawet przeciwnik, jak Strzelecki, musiał się uznać w końcu pokonanym; a zaś panna Marcelina, która jedna z pomiędzy nas wszystkich ma pociąg do tego życia, tak była poruszona słuchając, że aż łzy mimowolnie popłynęły z jej oczu. Zawstydziała się ich sama nieboga; ale łzy te nie spadły na próżno. Adam ujrzawszy je spoważniał raptem i pod ich to niewątpliwie wpływem zakwitnął w myśli jego jeden z najpiękniejszych kwiatów poezji naszej...

Adam wiersz swój musiał ułożyć w drodze, bo go za po wrotem do domu od razu na czysto napisał...

Z ZAPISEK ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

1830

11 sierpnia. Mickiewicz bardzo grzecznie mnie przyjął, ale jest bardzo błydy i słaby; małego wzrostu, wychudłej twarzy, ale pięknych, spokojnych, melancholicznych rysów... Jest zimny, ponury, wygląda na rozsądnego bardzo człowieka. Dziwne czasem robimy sobie o ludziach wyobrażenia, które upada za ich poznaniem...

21 sierpnia. Mickiewicz nieco się ożywił i lepiej z nami zapoznał. O, jakże fałszywe sądy były o nim w Warszawie! Rozległej on jest nauki, umie po polsku, po francusku, po włosku, po niemiecku, po angielsku, po łacinie i po grecku. Doskonale zna politykę europejską, historiją, filozofiją, matematykę, chemiją i fizykę. W literaturze nikt może w Polsce tyle nie ma znajomości. Słyszac go mówiącym zdaje się, że każdą książkę czytał.

Sądy ma bardzo rozsądne, poważne o rzeczach. Smutny zwyczajnie i zamyślony; nieszczęścia już mu zmarszczki na trzydziestoletnim czole wryły. Zawsze spokojny, cichy, ale znać we wzroku, że rzucona iskra zapali śpiący płomień w piersiach...

Wydał mi się być ideałem człowieka uczonego i geniuszu pełnego...

4 września. Ogółem podróż ta przyjemna mnie była, a towarzystwo Mickiewicza niezmiernie pożyteczne. Nauczyłem się od niego zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać; wielu przesądów, uprzedzeń i fałszywych wyobrażeń się pozbyłem — i niezawodnie to wpływ będzie miało na dalsze moje życie, wpływ dobry i szlachetny...

ANTONI MALCZEWSKI

LIST DO PROF. PICTETA

o wycieczce na Południową Iglicę Chamoni i na Mont-Blanc, przez pewnego szlachcica polskiego, w pierwszych dniach sierpnia roku 1818

Przełożyła Janina Narzymska — skrót

Genewa, w sierpniu 1818

...Podziwiałem jak wszyscy wasze wysokie góry i doliny; lecz nade wszystko podobały mi się wybrzeża Genewskiego Jeziora; niestrudzenie pogrążałem się w kontemplacji lodowców Chamoni i niecierpliwiełem się, że nie mogę ich oglądać o zachodzie słońca, bo chmury wciąż zakrywały ich wierzchołki. Wreszcie jednego z tych wieczorów lipcowych widok Mont-Blanc tak mnie zachwyił, że postanowiłem obejrzeć go z bliska... Nie widziałem nic poza Mont-Blanc i myślałem tylko o szczęściu dostania się na jego wierzchołek. W Sallanches — starałem się o wskazówki i otrzymałem bardzo dla moich planów niekorzystne: dowiedziałem się o niezliczonych trudnościach, o bezdennych przepaściach... jednym słowem, że niemożliwym jest dostać się na Mont-Blanc. Wyśmiano mnie nawet, gdy objawiłem mój zamiar zrobienia tej wycieczki... Lecz przewodnicy rozproszyli wkrótce moje wyobrażenia o tych strasznych przepaściach. Zrobiliśmy parę wycieczek na lodowiec; dowiedziałem się też o Południowej Iglicy (*l'Aiguille du Midi*), na którą się nikt jeszcze nie dostał. Powoli zapomniałem o Mont-Blanc, całkiem zajęty tą Iglicą: a przecież pierwsze moje myśli skierowałem ku królówi gór... Postanowiłem, dostawszy się na Iglicę, szukać stamtąd przejścia na Mont-Blanc, a powrócić zwykłą drogą...

Ruszyłem w drogę na Południową Iglicę z 6 przewodnikami. Minęliśmy Montouvert i Morze Lodowe (*Mer de Glace*) z zamiarem przenocowania w Tacul, dokąd przybyliśmy o godzinie 7 wieczór... Nie jest to zbyt wygodne schronienie; są to skały wśród lodowców, w sąsiedztwie małego jeziora, które na noc znika. Było dosyć zimno... Nazbieraliśmy naprędce rododendronu, którego na tych skałach jest jeszcze dosyć, a za chwilę wielki ogień ogrzewał i rozweselał towarzystwo. Śmiejąc się i gawędząc zjedli-

śmy wieczrę. Nasłuchałem się ślicznych historyj o tych górach, a potem pokładali się wszyscy wkoło ognia; dla mnie zachowano honorowe miejsce na kamieniu nieco gładszym od innych. Znajdowaliśmy się pod osłoną odłamu skały, a za najbliższym powiewem wiatru dym przychodził głaskać wszystkie twarze; zresztą widok był zanadto niezwykły, by można się tak obojętnie wobec niego zachować. Podniosłem się więc i w pewnej odległości przechyliłem przez kamień. Księżyc oświetlał tę rozległą pustynię skał i lodowców, gdzie nic nie rozweselało oka, ani myśli nie dawano spoczynku; ci ludzie zaś, uspieni wkoło ognia już dogasającego, przybyli zda się w krainę śmierci, by ulec nieuniknionemu losowi, który wróżyły im lodowce.

Zimno wypędziło mnie w końcu z mego obserwatorium: przewodnicy obudzili się, podsycili ogień i spędziliśmy resztę nocy na pogawędce. O 4 rano przygotowaliśmy się do drogi... Dla ostrożności powiązaliśmy się sznurami i ruszyliśmy w drogę. Szliśmy wzdłuż brzegu jeziora, które znikło, gdyż widzieliśmy tylko kamienie, tworzące jego dno. Minąwszy kilka szczelin, które się spotyka po drodze do Wąwozu Olbrzyma (*Col du Géant*), znaleźliśmy się na płaszczyźnie okrytej śniegiem. Tu naradziliśmy się nad obraniem dalszej drogi. Mieliśmy do wyboru trzy lodowce, którymi można było dojść na Południową Iglicę. Pierwszy, na prawo, zdawał się zanadto stromy i popękany; wybraliśmy drugi, którego stok był dość łagodny, a wkrótce marzyłem już tylko o pięknych dolinach, które mieliśmy odkryć. Znaleźliśmy jednak tylko przepaści, a dopiero w końcu, po wielu trudach połączonych z pewnym niebezpieczeństwem ujrzelśmy Południową Iglicę, na której wierzchołku stanęliśmy o 4 godzinie wieczorem.

Od strony Chamonix przedstawia się ona jako dwie skały przedzielone grzebieniem, pokrytym śniegiem. Dostaliśmy się na niższą z dwóch skał, a nawet na grzebień, ale druga jest niedostępna, przedłuża się ona w kilka ostro zakończonych iglic. Przekonał się, że nie ma co myśleć o dostaniu się tędy na Mont-Blanc. Widok roztaczający się ze skały, na którą przybyliśmy, był bardzo rozległy. Poprzez Wąwóz Olbrzyma odkrywa się tu wielka część Lombardii; a piękne Włochy widziane przez lodowiec przypominają te pola elizejskie, które starożytni oglądali za grobami... Było późno i należało koniecznie wrócić do schroniska w Tacul, bo byliśmy przemoczeni, zmęczeni i niedostatecznie ubrani, by noc spędzić na śniegach...

...Podróż na Mont-Blanc — ze względu na drogę, której się trzymałem, niewiele się różni od odbytej niegdyś przez pana de Saussure. Szliśmy przez górę *de la Côte*, opierającą się na skałach, zwanych *Grands Mulets*, a nazajutrz, 4 sierpnia, o godzinie 12 ½ dosięgnęliśmy szczytu... pogoda była prześliczna... Spędziliśmy 1 ½ godziny na szczycie; widok stąd wydał się mi

wspaniały — i przewyższał wszystko, co mogłem sobie z góry wyobrazić. Świeżość dolin i lasów, wdzięczne zarysy jeziora mogą zachwycić myśli i oczy, ale tu, wśród chaosu gór, olbrzymich i niekształtnych brył, które się wśród śniegów ukazują, wydaje się człowiekowi, że jest obecny przy stworzeniu. Wszystko, co ludzkie, znika i ginie; spostrzega się zaledwie niewyraźnie zarysy miast, naznaczonych tylko ręką przeznaczenia, aby kiedyś stały się rzeczywistością. Wszystko zwiastuje tę chwilę — i odchodzi się spieszenie, aby nie być ogarniętym tym wielkim ruchem, który się przygotowuje. Opuściliśmy więc miejsce, z którego roztaczał się widok jedyny na świecie, a przed 6 godziną wieczorem przybyliśmy do *Grands Mulets*. Radość z udanego przedsięwzięcia sprawiała, że na wszystko patrzyliśmy z zachwytem, a wejście na Mont-Blanc było przyjemną rozrywką w porównaniu do smutnej i strasznej Iglicy Południowej. Nazajutrz weszliśmy dumnie do Chamonix...

SEWERYN GOSZCZYŃSKI

PODRÓŻ MOJEGO ŻYCIA

Wydał Stanisław Pigoń

(Wyjątki)

Dzieje pierwszego dzieciństwa są dla mnie pełne spomnień najróżnorodniejszych, bo przyniosłem ze sobą ogromny zapas życia i nadzwyczajną żywość wrażeń. Pamięć moja przeto dochowała mi nie tylko główniejsze koleje tej epoki życia, ale najdrobniejsze szczegóły, a w obrazach coraz żywszych i trwalszych w miarę, jak postępowałem w życiu...

1814. Odwieziono mię do szkół do Winnicy. Był to właśnie pierwszy rok otwarcia gimnazjum... Zaczynam pisać prozą, celuję w ćwiczeniach szkolnych. Czytanie: „Tysiąc nocy i tysiąc dni“. Umiem wszystko na pamięć, com raz przeczytał. Postępuję w naukach z nadzwyczajną łatwością. Mam wielką swobodę wewnętrzną. Siła fizyczna rozwija się do podziwienia...

1816. Z początkiem orku 1816 jadę do szkół do Humania... Zaświadczenie drukowane, dane mi jako list pochwalny, jednemu z najpierwszych uczniów w pierwszej klasie w Winnicy. Sprawilo to, że prefekt ks. Skibowski wprowadził mię bez żadnych egzaminów do klasy II... Wkrótce szczególnym przypadkiem poznałem się z Bohdanem Zaleskim, który był wtedy w klasie III. Za tym poznanie się poszedł związek najściślejszy. Oba nie mieliśmy w całych szkołach, stosownie do naszego wieku i do naszych klas, którzy by nam jednego lub drugiego zastąpić mogli. Przyglęliśmy do siebie wszystkimi władzami naszymi. W tym związku rozbudził się we mnie organ poezyi...

Przez ten czas nauka szła mi jak najlepiej. Na popisie publicznym byłem jeden z najpierwszych do najpierwszych nagród... Z zapasem kilku poetów polskich od Józefa Zaleskiego wyjechałem na wakacje...

1817. W tym roku objawił się dopiero w owocu mój zaród poetyczny. Nie wiem, skąd zachciało mi się zostać poetą, a to zachcenie było tak silne, że przez jakiś czas główna moja modlitwa podczas mszy studenckiej była prośba do Boga, aby mi dopomógł zostać poetą. I zdarzyło się, że nam dano do przełożenia wierszem polskim jedną z ód Horacyjusza... Mój przekład pokazał się najlepszy i zrobił mi w szkołach sławę poety. To mi dodało ducha i zacząłem pisać poema o Kościuszcze, gdzie po prostu wchodziło tylko opowiadanie mojego ojca o bitwach, w których się znajdował, jak np. pod Zieleńcami, pod Dubienką. Była to pierwsza moja próba w epepei narodowej...

1819. Wchodzę do klasy V, rok I... Jesteśmy w jednej klasie: ja, Zaleski i Grabowski. Związujemy się w stowarzyszenie Za-Go-Gra. Wydajemy pismo: „Ćwiczenia Umysłowe” na wzór „Ćwiczeń Naukowych” krzemienieckich... Moja reputacja poety rośnie. Ks. Skibowski poleca mi, abym dla niego przepisał kilka moich poezyj, co spełniłem. Rękopis ten miał być złożony w biblijotece szkoły. To samo zrobił Bohdan Zaleski. On pisał daleko więcej ode mnie, oryginalnie i tłumaczył... Zasiłkiem moich natchnień głównym jest natura otaczająca mię: wiosna, jesień, niebo pogodne lub chmurne, lasy, wody, pola itp... Ogniska literatury w Warszawie i Wilnie rzuciły aż na nasz zakąt swój odblask. Czytaliśmy Gazetę Warszawską, którą Zaleski przywoził z domu, Pamiętnik Warszawski, Dziennik Wileński, Wiadomości Brukowe, a nawet pisemka krakowskie i lwowskie. Zaczęła objawiać się walka klasycyzmu z romantycznością. Rozprawa Brodzińskiego „O klasyczności i romantyczności” zrobiła na mnie wrażenie, ale nie była mi zupełnie zrozumiałą. Co Brodziński mówił przeciw klasycyzmowi, odpowiadało moim instynktom; nie przystawała niemczyzna, która przewiewa z tej rozprawy. Wszakże główna jej myśl, emancypacja polskiej poezji, bardzo mi się podobała i znacznie wpłynęła na sprostowanie moich wyobrażeń o poezji polskiej.

Co mi najwięcej pomaga, to ruch wewnętrzny w kierunku życia czynnego, publicznego. Ciasno mi na Ukrainie, w kółku szlachty ukraińskiej. Moje żądze rwą mię ku ognisku ruchu polskiego; wzdycham za Warszawą, stąd zaniedbuję życie obecne...

Z końcem tego roku opuszczam szkoły humańskie. Główny powód: pęd do życia w sferze obszerniejszej, z czego powstał zamiar spólny z Józefem (późniejszym Bohdanem) Zaleskim jechania do Warszawy, a podrzędny: zatargi moje z prefektem, księdzem Skibowskim, które mi robiły nieznośnym dalszy pobyt

w Humaniu; dlatego nie skończywszy szkół, bo byłem drugoletnim w klasie piątej, porzuciłem Humań...

1820. W lipcu czy sierpniu wyjeżdżamy z Bohdanem Zaleskim do Warszawy; przybywamy podczas sejmu... Jestem jak odurzony, nie mogę sobie dać rady w Warszawie... Literatura nie zaspakaja mnie...

1821. Wkrótce, to jest w roku 1821 na wiosnę czy w lecie, jesteśmy wprowadzeni do związku Wolnych Braci Polaków... Opuszczam Warszawę w sierpniu, pieszo... Była to już późna jesień, kiedy stanąłem w Humaniu...

1828. Jestem znowu w tej Warszawie, którą przed 7 laty pożegnałem; pełno spomnień, pełno znajomych... Postąpiłem w sferze literackiej warszawskiej. „Zamek kaniowski” wyszedł właśnie z druku i zrobił wrażenie. Znalazł stronników zapalonych i złośliwych przeciwników. Dmochowski Salezy puścił w obieg wierszyk przeciw niemu, pamiętam dwie zwrotki:

Nad rozmową dwóch puszczyków
Dziwi się zgraja krytyków,
Obraz Szwaczki i Nebaby
Ma dla niej dziwne powaby.

A mistyczny pan Mochnacki
Dowiedzie w stylu mistrzowskim,
Że przy tym „Zamku kaniowskim”
Trembecki pójdzie pod placki.

1830. Zaczynam wchodzić do tajemnych robót gotujących powstanie: najbliższy mój stosunek z Nabelakiem, który jest także w tej robocie i głównie ze strony cywilnych, spólnie z Bronnikowskim Ksawerym, znosi się z wojskowymi. Z tego powodu znajomości moje mnożą się. Nic to nie przeszkadza moim pracom pisarskim...

29/XI. Wracam do siebie rano, kończę moje tłumaczenie Walter-Skotta, odnoszę do drukarni i odtąd jestem cały w czynności, a naprzód uwiadamiam Mochnackiego, który właśnie pisał rozdział o muzyce do swojego dzieła „O literaturze polskiej”, ale go nie skończył, przekreślił i wyszedł do spiskowych...

OSOBOWOŚĆ MAURycego MOCHNACKIEGO

Artur Śliwiński, Maurycy Mochnacki, wyd. drugie, 1921,
Zakończenie — wyjątki

Żywiołem Mochnackiego było nieustanne tworzenie; rzeczy skończone, skryształizowane, dokonane, przestawały go zadowalać. Mochnacki był człowiekiem ruchu i w miejscu stać nie umiał. Siła twórcza pchała go nieustannie naprzód, kazała pogardzać tym,

co zostawało poza nim. W ten sposób oddalał się ciągle od swego otoczenia i od dzieł własnych...

Na gruzach jego myśli wznoszone były całe gmachy ideologii politycznej. Przekształcały się partie na emigracji, zamierały jedne i powstawały nowe, a w każdej z nich można by wskazać strzępy potężnych myśli, które pierwszy wygłosił Mochnacki... Czerpali też z dzieł znakomitego pisarza i monarchiści, i republikanie, i konserwatyści, i demokraci, słowem, politycy wszelkich barw i odcieni. Demokraci przejęli się z czasem ideą opierania wszelkich rachub wyłącznie na siłach własnych, monarchiści wysnuwali z dzieł Mochnackiego ideę dynastii...

Wymierali zwolna tułacze, traciły moc życia ich pisma, programy, rozpadały się wszystkie organizacje, a myśl Mochnackiego nie przestawała żyć na obczyźnie i w kraju. Krytyka literacka w Polsce kilkadziesiąt lat z rządu przerabiała i trawiła prace literackie Mochnackiego, a jego „Powstanie Narodu Polskiego” stało się manifestem rewolucyjnym dla następnego pokolenia...

Uwielbiał wielką siłę i wielki czyn i z okrzykiem takiego czynu umierał. Grzebiąc Mochnackiego emigracja polska pogrzebała na cmentarzu w Auxerres życiową, rzeczywistą wiarę całego pokolenia. Wiara ta tkwiła w idei czynu i z idei czynu brała swój początek. Nie wypływała z tęsknoty i marzeń. Nie była patriotyczną kontemplacją ani wybuchem uczuć, lecz w najtrudniejszym położeniu usiłowała tworzyć rzeczywistość polską. Ta rzeczywistość tkwiła nie na emigracji, lecz w kraju. Tak ją widział i tak ją ujmował Mochnacki. Ale tego nie rozumieli tułacze...

...Nie przebaczone mu chwili upadku, choć błąd swój odkupił później krwią i pracą ofiarną. Ale też często przeciwnikom bardziej niż ów błąd przeszkadzał jego umysł bystry, przenikliwy, nieustannie czujny, czynny i twórczy, a niezdolny do kompromisu. Szkodziły Mochnackiemu jego słowa, co tak często z miazdzącą siłą młotów uderzały z przerażającym hukiem w kowadło nierozumu i zgubnych konwenansów. Mochnacki w młodości swej padł w walce ze straszliwym i podstępny wrogiem. Ale nie kupczył sumieniem w walce ze swoimi, nie zdobywał uznania i spokoju za cenę ustępstw z własnych przekonań. Zmieniał się, ale idea jego była niezmienna. Umarł mając zaledwie lat trzydzieści. A umarł stargany burzą polityczną. Jako młodzieniec był już mężem dojrzałym, oddanym całkowicie sprawie publicznej. Powiedział prawdę, gdy twierdził, że romansem jego młodości była Polska niepodległa... Nie szumiała młodość Mochnackiego wśród łatwych uciech życia, lecz spalała się na popiół wśród klęsk i nieszczęść, od których kraj ginął. Młodość Mochnackiego sterała się na drogach, które w ciemnościach wskazywał swoim jasnowidztwem, by zamordowanej ojczyźnie wrócić życie i zdrowie. Nieraz miotał nim niepokój, a krwawe cierpienie zatapiało swe szpony w twardym jego sercu i w sto-

sunkach z ludźmi czyniło go trudnym, ostrym, niesprawiedliwym. Był sam duchem niespokojnym, ale żył w czasach, kiedy błogi spokój stawał się usypianiem własnego sumienia albo występkiem. Budził podziw, częściej jeszcze budził lęk i grozę. On najwięcej prawd bolesnych wypowiedział współczesnym, a więc najwięcej musiał wycierpieć...

Z TEORYJ ROMANTYZMU ZACHODNIEGO

AUGUST WILHELM SCHLEGEL

Z WYKŁADÓW O DRAMATURGII

Wykład I, wyjątki — przełożył Z y g f r y d D ą b r o w s k i

Wiadomo, jak przed 350 prawie laty ożywiło się na nowo studium starożytnej literatury przez rozszerzenie się znajomości języka greckiego (łaciński nigdy nie wymarł): wydobyto na światło autorów klasycznych i przez druk udostępniono ogólnie; pilnie wygrzebywano pomniki. Wszystko to dawało duchowi ludzkiemu różnorodne podniety, stało się epoką w historii naszej kultury; owocne oddziaływania tego okresu sięgają aż po nas i będą sięgać w przyszłość niewymierzoną. Ale też zaraz przy studium kultury starożytnej zaczęto dopuszczać się zabójczego nadużycia. Uczni, którzy przede wszystkim byli w jej posiadaniu, a nie mogli wyróżnić się przez własne dzieła, przypisywali starożytnym bezwarunkową powagę; rzeczywiście ze znacznym pozorem słuszności, ponieważ są oni w swoim rodzaju wzorowi. Uczni twierdzili, że tylko przez naśladowanie starożytnych pisarzy można osiągnąć prawdziwe zbawienie ducha ludzkiego; w utworach nowożytnych autorów cenili oni tylko to, co było albo zdawało się być podobnym do utworów pisarzy starożytnych. Wszystko inne odrzucali jako barbarzyńskie zwyrodnienie. Całkiem inaczej miała się rzecz z wielkimi poetami i artystami. Mimo żywego entuzjazmu, którym ich przejmowali starożytni, i mimo pragnienia, by z nimi współzawodniczyć, zmuszała ich odrębność własnego ducha iść własną drogą i wyciskać na swoich utworach piętno własnego geniuszu.

Tak było wśród Włochów już z Dantem, ojcem nowożytnej poezji: uznał on Wergilego swoim nauczycielem, a jednak stworzył dzieło, które spośród wszystkich, jakie dadzą się wymienić, ma najbardziej różną od Eneidy postać — i przewyższył mniemanego mistrza wedle naszego sądu ogromnie siłą, prawdą, rozmiarami i głębią...

Właśnie te epoki, narody i stany, które jak najmniej odczuwały potrzebę samotwórczej poezji, najwięcej upodobały sobie naśladowanie starożytnych. Tak powstawały martwe ćwiczenia

szkolne, które mogły wywołać co najwyżej zimny podziw. Ale proste naśladownictwo jest w sztukach pięknych zawsze bezowocne: także i to, co bierzemy od innych, musi w nas niejako na nowo się narodzić, jeśli ma z tego urósć poezja. Cóż pomoże jakiegokolwiek urządzenie sztuczek z przyswojonym cudzym tworem? Sztuka nie może istnieć bez naturalności, a człowiek nie ma nic innego do ofiarowania swoim współbraciom prócz siebie samego...

Cała gra ruchu życia polega na zgodności i kontraście. Dlaczego nie miałyby to zjawisko powtórzyć się na wielką skalę w dziejach ludzkości? Może w tej idei dałby się odszukać prawdziwy klucz do historii starożytnej, nowej poezji i sztuk pięknych. Ci, którzy to brali pod uwagę, wynaleźli dla osobliwego ducha nowocześniejszej sztuki w przeciwieństwie do antycznej, czyli klasycznej, nazwę „romantyczny”. Rzeczywiście, wcale trafnie. Słowo to pochodzi od *romance* jako nazwania tych języków ludowych, które utworzyły się ze zmieszania łaciny z gwarami starogermańskimi, zupełnie tak samo, jak nowożytna kultura została stopiona w jedno z obcych składników plemiennych północnych i szczytków starożytności, gdy kultura starożytnych była o wiele bardziej jednolita. Kultura Greków była doskonałą pełnią wychowania naturalnego. Pochodząc z pięknego i szlachetnego plemienia, obdarzeni wrażliwością zmysłów i psychiką pogodną, żyli oni i kwitnęli pod łagodnym niebem w doskonałym zdrowiu, i dokonywali dzięki niezwykle sprzyjającym okolicznościom wszystkiego tego, czego tylko dokonać może człowiek swymi ograniczonymi siłami. Cała ich sztuka i poezja jest wyrazem świadomości tej harmonii wszystkich sił. Wymyślili oni poetykę radości.

Ich religia polegała na ubóstwieniu sił przyrody i życia ziemskiego, ale kult ten, który u innych ludów zaciemniał fantazję potwornymi obrazami, a serce uczynił nieczułym aż do okrucieństwa, tutaj osiągnął wielkość, powagę i słodycz.

A jednak nie możemy przyznać ich kulturze charakteru wyższego, jak tylko charakter oczyszczonej i uszlachetnionej zmysłowości...

U Greków natura ludzka była samowystarczalna; nie odczuwała ona żadnego braku i nie dążyła do żadnej innej doskonałości niż ta, którą faktycznie mogła osiągnąć własnymi siłami...

Zmysłowa ta religia pragnęła osiągnąć tylko doczesną pomyślność; nieśmiertelność, o ile w nią wierzone, stała w mrocznej odległości jako cień, jako niewyraźny sen tego czujnego, jasnego życia na jawie. W chrześcijańskich poglądach wszystko się odwróciło. Spojrzenie w nieskończoność zniweczyło to, co skończone. Życie doczesne stało się światem cieniów i nocą, a dopiero w zaświatach wschodzi wieczny dzień bytu rzeczywistego. Taka religia musi budzić to przeczucie, które drzemie we wszystkich pełnych uczucia sercach, i tę wyraźną świadomość, że dążymy do szczęśliwości tutaj nieosiągalnej, że nigdy żaden przedmiot ze-

wewnętrzny nie będzie mógł wypełnić duszy, że wszelka rozkosz jest ulotnym złudzeniem...

Poezja starożytnych była poezją posiadania, a nasza jest poezją tęsknoty: tamta stoi mocno na gruncie terażniejszości, ta waha się między wspomnieniem a przecuciem...

Uczucie jest w ogólności u nowożytnych serdeczniejsze, fantazja bardziej bezcielesna, myśl bardziej kontemplacyjna. Greckim ideałem ludzkości była doskonała zgodność i równowaga wszystkich sił, naturalna harmonia. Nowożytni natomiast doszli do świadomości wewnętrznego rozdzielenia, które uniemożliwia taki ideał; dlatego dążeniem ich poezji jest: te dwa światy, pomiędzy które czujemy się podzieleni, świat ducha i świat zmysłów, połączyć z sobą i stopić w jedną nierozzerwalną całość. Wrażenia zmysłowe powinny przez swój tajemniczy związek z wrażeniami wyższymi niejako uświęcić się, duch zaś przeciwnie pragnie swoje przecucia albo nie nazwane marzenia o nieskończoności zawrzeć symbolicznie w zmysłowym zjawisku.

W greckiej sztuce i poezji istnieje pierwotna nieświadoma jednolitość formy i materii; nowożytna, o ile pozostała wierna swemu właściwemu duchowi, dąży do ściślejszego przeniknięcia się tych obu przeciwieństw. Tamta rozwiązała swoje zadanie w zupełności; ta swojemu dążeniu do nieskończoności może tylko w przybliżeniu uczynić zadość i skutkiem pozoru niepełności grozi jej tym bardziej niedocenienie...

GERMAYNE DE STAEL HOLSTEIN

O NIEMCZECH

POEZJA KLASYCZNA I ROMANTYCZNA

Przełożył Henryk Balk

(Wyjątki)

Nazwę „romantyczny“ wprowadzono niedawno w Niemczech, aby określić poezję zrodzoną z żywiołu rycerskiego i chrześcijańskiego. Jeśli nie przyznamy, że pogaństwo i chrystianizm, północ i południe, starożytność i średniowiecze, świat rycerski i instytucje grecko-rzymskie podzieliły między siebie panowanie nad literaturą, nie zdobędziemy nigdy — z punktu widzenia filozofii — sądu o smaku antycznym i nowoczesnym.

Używa się często słowa „klasycyzm“ jako synonimu do „skonałości“. Ja używam go w innym znaczeniu, za klasyczną uważając poezję starożytnych, a za romantyczną tę, która w taki czy inny sposób wypływa z tradycji świata rycerskiego. Podział ten odnosi się zarazem do dwóch epok ludzkości: tej, która poprzedziła ustanowienie chrystianizmu, i tej, która potem nastąpiła...

Naród francuski, najbardziej cywilizowany z narodów łacińskich, skłania się ku poezji klasycznej naśladowując Greków i Rzymian. Naród angielski, najślawniejszy z narodów germańskich, kocha poezję romantyczną i rycerską i chlubi się arcydziełami, które posiada w tym rodzaju. Nie będę badać, który z tych dwóch gatunków poezji zasługuje na pierwszeństwo. Wystarczy pokazać, że ta różnaitość gustów płynie nie tylko z przyczyn okolicznościowych, lecz również z pierwotnych źródeł wyobraźni i myśli ludzkiej.

W poematach epicznych i tragediach starożytnych występuje prostota wynikająca z tego, że człowiek w tej epoce utożsamiał się z naturą i wierzył, iż zależy od przeznaczenia, jak natura zależy od konieczności. Człowiek wtedy niewiele rozmyślał i umieszczał na zewnątrz akcję swej duszy. Nawet sumienie wyrażało się w przedmiotach zewnętrznych, a pochodnie Erynijskie wstrząsały wyrzutami nad głową winowajców. Istotą starożytności był więc fakt, że człowiek; natomiast w czasach nowożytnych charakter zajmuje więcej miejsca...

Poezja pogańska jest tedy prosta i plastyczna jak przedmioty zewnętrzne; poezja chrześcijańska potrzebuje tysiącznych barw tęczy, aby nie zniknąć wśród obłoków. Poezja starożytna jest czystsza jako sztuka, poezja nowoczesna wywołuje więcej łez; nie chodzi nam jednak o spór między poezją klasyczną i romantyczną, lecz o rozstrzygnięcie pytania: naśladować pierwszą, czy czerpać natchnienie z drugiej? Literatura starożytna jest dla twórców nowoczesnych literaturą przeniesioną z obcego gruntu; literatura romantyczna lub rycerska jest dla nas rodzima, a rozwinęła się pod wpływem naszej religii i naszych urządzeń. Pisarze naśladowcy starożytnych, poddali się bardzo surowym regułom smaku; bo nie radząc się własnej natury ani własnych wspomnień musieli ulec prawom umożliwiającym zbliżenie arcydzieł starożytnych do naszego smaku, mimo że zupełnie się zmieniły wszystkie okoliczności polityczne i religijne, z których zrodziły się te arcydzieła. Lecz utwory artystyczne kształtowane na wzór starożytności, choć najdoskonalsze, cieszą się rzadko popularnością, gdyż w czasach dzisiejszych nie posiadają zupełnie piętna narodo-

Poezja francuska, najbardziej klasyczna ze wszystkich poezji nowoczesnych, jest jedyną, która nie rozpowszechniała się wśród ludu. Stance Tassa śpiewa gondolier wenecki; Hiszpanie i Portugalczycy wszystkich klas społeczeństwa umieją na pamięć wiersze Calderona i Camoënsa. Szekspira podziwia zarówno lud angielski jak warstwa wyższa. Do pieśni Goethego i Bürgera dorobiono muzykę i możecie usłyszeć, jak rozbrzmiewają od brzegów Renu aż po Bałtyk. Poetów francuskich podziwiają wszystkie cywilizowane umysły u nas i w reszcie Europy; lecz zupełnie

ich nie znają ludzie prości a nawet mieszczanie, bo sztuka we Francji nie wyrosła, jak gdzie indziej, z kraju, w którym rozwija się jej piękno.

Kilku krytyków francuskich utrzymuje, że literatura narodów germańskich przechodzi dopiero okres niemowlęcy sztuki. Opinia ta jest zupełnie fałszywa. Istnieją ludzie doskonale obeznani z językami i dziełami starożytnych i całkowicie świadomi wad i zalet rodzaju literackiego, który przyjmują lub odrzucają. A jednak charakter, przyzwyczajenia i wnioski logiczne doprowadziły ich do tego, że wołają literaturę opartą na wspomnieniach rycerskich i na cudowności wieków średnich od literatury, której podstawą jest mitologia Greków. Jedynie literatura romantyczna może się doskonalić, ponieważ tkwiąc korzeniami w naszej własnej ziemi może rosnąć i czerpać coraz nowe soki żywotne. — Wyraża ona naszą religię, przypomina naszą historię, jej pochodzenie jest dawne, ale nie starożytne.

Poezja klasyczna musi przejść przez wspomnienia pogańskie, aby do nas dotrzeć; poezja Germanów jest erą chrześcijańską sztuk pięknych; posługuje się naszymi własnymi wrażeniami, aby nas wzruszyć; geniusz, który ją ożywia, zwraca się wprost do naszego serca...

VICTOR HUGO

Z PRZEDMOWY DO „CROMWELLA“

Przełożył H e n r y k B a l k

...Poezja posiada trzy wieki, z których każdy odpowiada innej epoce ludzkości; owe wieki to o d a, e p o p e j a i d r a m a t. Czasy prymitywne są liryczne, czasy starożytne są epiczne, czasy nowożytne są dramatyczne. Oda opiewa wiekuistość, epopeja utrwala historię, dramat maluje życie. Znamieniem pierwszej poezji jest naiwność, znamieniem drugiej jest prostota, znamieniem trzeciej — prawda. Rapsodowie tworzą przejście od poetów lirycznych do poetów epicznych, jak twórcy romansów — od poetów epicznych do poetów dramatycznych. Bohaterowie ody są kolosy: Adam, Kain, Noe, bohaterami epopei są olbrzymi: Achilles, Atreusz, Orestes, bohaterami dramatu są ludzie: Hamlet, Makbet, Otello. Oda żyje ideałem, epopeja — wzniosłością, dramat — rzeczywistością. Wreszcie ta potrójna poezja płynie z trzech wielkich źródeł: z Biblii, Homera i Szekspira...

Ludzkość zaczyna więc opiewać to, o czym marzy, potem opowiada to, co czyni, a w końcu maluje to, o czym myśli...

Należy konsekwentnie dorzucić tutaj, że wszystko w naturze i w życiu przechodzi przez te trzy fazy: liryki, epiki i dramatu, ponieważ wszystko rodzi się, działa i umiera. Gdyby nie było rzeczą śmieszną łączyć fantastycznych skojarzeń wyobraźni z surowymi wnioskami rozumowania, poeta mógłby powiedzieć, że

wschód słońca to — oczywiście — hymn, południe to olśniewająca epopeja, a zachód słońca to ponury dramat, w którym walczą światło i noc, życie i śmierć...

Aby obrazem uzmysłować nasze myśli, moglibyśmy porównać prymitywną poezję liryczną do spokojnego jeziora, które odbija obłoki i gwiazdy nieba; epopeja to rzeka, która wypływa z tego jeziora i bieży odbijając w sobie swe brzegi, lasy, pola i miasta, aby — rzucić się w ocean dramatu. Wreszcie, podobnie jak jezioro, dramat odbija niebo; podobnie jak rzeka, odbija on swe brzegi; lecz on sam tylko posiada przepaści i burze.

Ku dramatowi więc zmierza wszystko w nowoczesnej poezji. „Raj utracony” był dramatem, zanim stał się epopeją. Jak wiadomo, w pierwszej z tych form objawił się wyobraźni poety, w niej też utkwił na zawsze w pamięci czytelnika, bo dawny zrab dramatyczny widnieje jeszcze wyraźniej pod budową epiczną Milтона. Gdy Dante Alighieri ukończył swe straszliwe Piekło, gdy zamknął jego bramy i gdy jeszcze tylko miał nazwać swe dzieło, instynkt jego geniuszu pozwolił mu zobaczyć, że ten wielokształtny poemat jest emanacją dramatu, a nie epopei; i na fasadzie tej gigantycznej budowli napisał swym piórem z brązu: *D i v i n a C o m o e d i a*.

Widać zatem, że jedyni ci dwaj poeci czasów nowożytnych, którzy są na miarę Szekspira, tworzą z nim jedność Współzawodniczą z nim w nadawaniu piętna dramatycznego naszej całej poezji: podobnie jak on łączą żywioł groteskowy z podniosłym; są jakby dwoma lukami budynku, którego on jest centralną podporą...

W dniu, w którym chrystianizm powiedział człowiekowi: „Jesteś podwójny, składasz się z dwóch istot: znikomej i nieśmiertelnej, cielesnej i duchowej, zakutej w łańcuchy pragnień, potrzeb i namiętności, i wzniesionej na skrzydłach entuzjazmu i marzenia, schylonej zawsze ku ziemi — i nieustannie płynącej ku niebu, swej ojczyźnie — w tym dniu zrodził się dramat.

Poezją urodzoną z chrystianizmem, poezją naszych czasów jest zatem dramat; znamieniem dramatu jest *r z e c z y w i s t o ś ć*; a rzeczywistość wynika z naturalnego związku dwóch żywiołów: *w z n i o ś l e g o i g r o t e s k o w e g o*, które przenikają się w dramacie, jak przenikają się w życiu i świecie. Bo poezja prawdziwa, poezja pełna polega na *h a r m o n i i k o n t r a s t ó w*...

A więc żywioł groteskowy jest jedną z najwyższych piękności dramatu... Dzięki niemu giną wszelkie wrażenia jednostajne. Wprowadza on do tragedii to śmiech, to grozę. Każę Romeowi spotkać aptekarza, Makbetowi trzy czarownice, Hamletowi grabarów...

Widzimy tedy, jak arbitralne rozróżnianie rodzajów literackich rozsypuje się w proch przed rozumem i dobrym smakiem.

Niemniej łatwo można zniszczyć rzekomą regułę dwóch jedności. Dwóch, a nie trzech jedności, bo jedność akcji, jedynie prawdziwa i uzasadniona, od dawna nie ulega wątpliwości...

Rzecz dziwna! Rutyniści utrzymują, że reguła dwóch jedności opiera się na prawdopodobieństwie, gdy tymczasem uwzględnienie rzeczywistości ją zabija. Cóż bardziej nieprawdopodobnego i absurdałnego niż ów westybul, ów perystyl, ów przedpokój, owo miejsce banalne naszych tragedyj, dokąd przybywają, nie wiadomo skąd, spiskowcy, aby deklamować przeciw tyranowi, gdzie zjawia się tyran, aby deklamować przeciw spiskowcom!... Dzisiaj zaczynamy już rozumieć, że dokładność miejsca jest jednym z pierwszych elementów oddania rzeczywistości...

Czy poeta ośmieliłby się zabić Rizzia gdzie indziej niż w kolumnie Marii Stuart? Zasztyletować Henryka IV gdzie indziej niż na ulicy *Feronnerie*, zatarasowanej wozami i karetami? Spalić Joannę d'Arc gdzie indziej niż w *Vieux-Marché*?

Jedność czasu nie da się bardziej utrzymać niż jedność miejsca. Akcja gwałtem wtłoczona w dwadzieścia cztery godziny jest równie śmieszna, jak akcja zamknięta w westybulu... Przeznaczyć tę samą ilość czasu wszystkim zdarzeniom! Jedną miarą mierzyć wszystko! Śmiech wzbudziłby szewc, który chciałby ten sam bucik wkładać na wszystkie nogi!...

Takie są oto te nędzne szykany, którymi od dwóch wieków przeciętność, zawiść i rutyna prześladowuje geniusza! W ten to sposób ograniczono lot naszych największych poetów! Tak to nożycami owych jedności obcięto im skrzydła!...



SPIS RYCIN

	str.
1. Wnętrze katedry w Amiens	7
2. Michał Anioł, rzeźba, Rzym, kościół św. Piotra w okowach	19
3. Wawel, romańska katedra na pieczęci z XII w.	21
4. Krypta św. Leonarda	21
5. Pomnik Kazimierza Wielkiego w katedrze wawelskiej	23
6. Kurza Noga (Stopka)	24
7. Podwórze zamkowe na Wawelu, rekonstrukcja Sławomira Odrzywolskiego	28
8. Kaplica Zygmuntowska, pomnik Anny Jagiellonki	30
9. Lorenzo Bernini, Wizja św. Teresy, rzeźba	50
10. Dwór w Łopusznie, rys. M. Cercha	65
11. Kominek w Letewszczyźnie	70
12. Kazimierz Ossoliński, kasztelan czchowski (portret, Muzeum im. Lubomirskich we Lwowie)	74
13. Krzysztof Zbaraski, koniuszy koronny, starosta krzemieniecki (portret, Muzeum im. Lubomirskich we Lwowie)	74
14. Maksymilian Franciszek Ossoliński, łowczy podlaski (portret, Muzeum im. Lubomirskich we Lwowie)	75
15. Daniel Chodowiecki, strażnik Czapski z starościaną Ledóchow- ską, rysunek	77
16. Wersal, sala zegarowa	82
17. Jean Ant. Watteau, taniec, obraz olejny	84
18. Warszawa, Zamek, sala balowa	89
19. Wilno, katedra, litografia z pierw. poł. XIX w.	90
20. Piotr Norblin, Autoportret, obraz olejny	92
21. Warszawa, Teatr Wielki w czasach Królestwa Kongresowego	113
22. Antoni Brodowski, Edyp i Antyгона, obraz olejny	115

SPIS RZECZY

I

	str.
Sztuka służebnica Boga	5
Władysław Jagiełło odnawia Akademię krakowską	9
Strój żaka krakowskiego	11
Przy stole	13
<i>Filippo Buonaccorsi Kallimach</i> : Życie i obyczaje Grzegorza z Sanoka	14
Jednostka w epoce renesansu	17
<i>Michel Angelo Buonarotti</i> : Twórca o sobie samym	19
Wawel	
Katedry romańskie	20
Biblioteka i szkoła katedralna	22
Gotyk	23
Renesans — pałac Zygmunta Starego	25
Kaplica Zygmuntowska	29

II

Książka polska w XVI wieku	32
<i>Mikołaj Rej</i> : Żywot i sprawy pościwego ślachcica polskiego, Mikołaja Reja z Nagłowic	34
<i>Jan Kochanowski</i> : List do Stanisława Fogelwedera	38
Sobótka	39
Pieśni dożynkowe	40
Wydawca o poecie	41
<i>Mikołaj Krzysztof Radziwiłł</i> : Peregrynacja do Ziemi Świętej	42
List Simonidesa do Jana Zamojskiego	44
Pieśń o kołaczu	45
Rzeczpospolita Babińska	46

III

<i>Stanisław Żółkiewski</i> : Testament hetmański	47
Barok włoski	
Arcydzieło Berniniego	50
Komedia barokowa	51
Commedia dell'arte	53

	str.
Opera włoska w Polsce	56
Promieniowanie kultury polskiej	58
Dwory w dawnej Polsce	
Krótka nauka budownicza	64
Fortalicje	67
Wnętrze domu	68
Tańce	71
<i>Jędrzej Kitowicz</i> : Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III	72

IV

Klasyczny teatr francuski	79
Rokoko	81
<i>Denis Diderot</i> : Prospekt encyklopedii	86
Styl stanisławowski	87
<i>Adam Kazimierz Czartoryski</i> : Katechizm kadetów	93
Ustawy Komisji Edukacji Narodowej	94
Zabawy przyjemne i pożyteczne	96
<i>Ignacy Krasicki</i> : Listy	97
W stolicy księcia biskupa warmińskiego	99
<i>Franciszek Karpiński</i> : Pamiętniki	101
Teatr w epoce stanisławowskiej	
Afisze Teatru Narodowego	105
<i>Wojciech Bogusławski</i> : Dzieje Teatru Narodowego	108
<i>Julian Ursyn Niemcewicz</i> : Pismo do Samoiłowa	109

V

Legiony	
Odezwa wodza	110
Z Dekady Legionowej	111
Empire	112
Obrona kultury narodowej	
<i>Jan Paweł Woronicz</i> : Rozprawa druga o pieśniach naro- dowych	115
List A. J. Czartoryskiego do S. Malewskiego	116
W Krzemieńcu	118
Ossolineum	120
Izabeli Czartoryskiej książka dla ludu	121
<i>Kazimierz Brodziński</i> : Wspomnienia mojej młodości	122
Wśród klasyków i romantyków	
Teatr Osiańskiego	125
W salonach gen. W. Krasińskiego	126
<i>Michał Grabowski</i> : Uwagi nad balladami	127

	str.
List Koźmiana do Morawskiego	128
Z listów Morawskiego do Świdzińskiego	129
Morawski do Odyńca	130
Niemcewicz w sporze klasyków i romantyków	130

VI

Adam Mickiewicz

W Ziemi Nowogródzkiej

Pamiętnik Fr. Mickiewicza	132
Ze wspomnień Ignacego Domejki	135

Filomaci

<i>Józef Jeżowski</i> : Przemowa na Posiedzeniu Wielkim Tow. Filomatów	137
<i>Adam Mickiewicz</i> : Powitanie Czeczota	138
Listy filomatów	140—142
Z listów Niemcewicza do Czartoryskiego	142

Raport Nowosilcowa	143
------------------------------	-----

Przyjaźń, miłość, poezja

Listy	145—148
-----------------	---------

W Rosji

Z pamiętników Ksenofonta Polewoja	148
Listy	149—160

W podróżach

Listy Mickiewicza do Malewskiego i Jeżowskiego	160—161
Ze wspomnień A. E. Odyńca	161
Z zapisek Z. Krasieńskiego	165

<i>Antoni Malczewski</i> : List do prof. Picteta	166
--	-----

<i>Seweryn Goszczyński</i> : Podróż mojego życia	168
--	-----

Osobowość Maurycego Mochnackiego	170
--	-----

Z teoryj romantyzmu zachodniego

<i>A. W. Schlegel</i> : Z wykładów o dramaturgii	172
<i>Germaine Staël Holstein</i> : O Niemczech	174
<i>Victor Hugo</i> : Z Przedmowy do „Cromwella“	176

Spis rycin	179
----------------------	-----

DO PODRĘCZNIKA
„MATERIAŁY DO LITERATURY POLSKIEJ“
TOM PIERWSZY
NALEŻĄ
„OBJAŚNIENIA“
MIESZCZĄCE SIĘ W DOŁĄCZONEJ KSIĄŻECZCE

15f

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
154383

Biblioteka WSP Kielce


0130012

